THE LIBRARY OF CONGRESS

THE LIBRARY OF CONGRESS

W ŻELAZNYCH KLESZCZACH

POWIEŚĆ ORYGINALNA
W TRZECH CZĘŚCIACH

NA TLE PRAWDZIWYCH WYDARZEŃ WSPÓŁCZESNEJ WOJNY EUROPEJSKIEJ

NAPISAŁ
TOMASZ PLON

NAKŁADEM I DRUKIEM
POLISH AMERICAN PUB. CO.
1501 W. DIVISION ST. ✠ CHICAGO, ILL.

PG7158
.P5W3
1915

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE

COPYRIGHT 1915 BY
POLISH AMERICAN PUBLISHING CO.
CHICAGO, ILL.

$1.50

DEC 17 1915
©CI.A416928

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Tajemnicza Zbrodnia.

— Słyszałeś?

— Słyszałem... straszna rzecz!

— Zamordowana w biały dzień...

— W naszej spokojnej dzielnicy, zamieszkałej przez pierwsze rodziny...

— I w dodatku w jego domu!

— Biedny profesor!

— Nieszczęśliwy człowiek!

Rozmowy takie biegły półgębkiem od domu do domu, od mieszkania do mieszkania i wywołały niezwykłe poruszenie w spokojnej zazwyczaj ulicy Schillera w mieście Milwaukee, Wis.

Mniej więcej w środku tej ulicy od strony dworca kolejowego stały trzy spore gmachy, w których mieścił się Uniwersytet Lessinga, a w odległości trzech bloków w cottage'u profesorskim znajdowała się niewiel-

ka willa, w której mieszkali państwo Maxowie Gruber.

Dnia tego willa otoczoną była licznym zastępem ciekawych, którzy wpatrywali się w spuszczone rolety i komentowali każdy cień, jaki się na nich przesunął.

Max Gruber był profesorem języków i literatury niemieckiej na Uniwersytecie Lessinga i miał za żonę kobietę, o której mówiono w kołach inteligencyi milwauckiej, że była równie piękną jak dobrą i szlachetną.

Było jej na imię Margerita i to imię miała także siedmioletnia córeczka państwa Gruberów, prawdziwy amorek w postaci uroczej dziewuchny.

Nikt z pośród licznego grona znajomych państwa Gruberów, ani też nikt w całem Milwaukee nie mógł był ani pomyśleć, że pani Margerita umrze nagle z ręki mordercy i to w domu ukochanego męża i pod jego bokiem.

Było to niestety tragicznym faktem.

Podziwiana przez wszystkich i tak bardzo wszystkim sympatyczna Margerita Gruber leżała bez życia w swoim parlorze na

dywanie, który czerwienił się od krwi nieszczęsnej ofiary.

Przy zwłokach klęczała córeczka, Małgosia, i z przerażeniem tuliła się do zimnych zwłok.

Opodal stał profesor Gruber, blady jak płótno i odpowiadał na rozmaite kwestye, stawiane przez koronera.

— Więc upierasz się profesorze — mówił tenże, — że wypadek zdarzył się w czasie, gdy odbywałeś drzemkę po pracy całodziennej.

— Słyszałem jakby przez sen huk strzału... potem służąca dobudziła mnie... — tłumaczył Gruber — gdy przybiegłem do żony, leżała bez życia...

Gdy domawiał tych słów czuć było głęboki ból w głosie, a na twarzy dwa rzędy łez.

— Boleśnie mi — rzekł koroner — że muszę poruszać tak okropną ranę, ale zbrodniarz musi być schwytany i ukarany.

— Musi zginąć! Życie za życie! — odezwał się na to człowiek jeszcze młody, stojący obok Grubera.

Wzrostu średniego, twarzy okrągłej, o ryżych włosach i oczach jak dwa świdry był on typem zawziętości pruskiej i miał ją w napół rozkazującym tonie i w układnych, a jednak niemal wojskowych energicznych ruchach.

Gdy domawiając kilku tych słów ujął za rękę profesora i spojrzał mu w oczy, było w tym ruchu i wzroku coś całkiem innego jak chęć pomocy w wykryciu zbrodniarza.

Wszystko w nim zdawało się mówić: "zniszczę, zgniotę, zemszczę się!"

Prawie, że się nie umiał pohamować i scisnął w swych silnych dłoniach rękę profesora jak w żelaznych kleszczach.

Z ócz profesora z poza łez żalu, błysnął teraz ból i wściekłość źle tajona.

— I ten powinien jak pies zginąć, kto do tego doprowadził — syknął półgłosem.

Na szczęście koroner przyklęknąwszy na chwilę przy zwłokach oglądał ranę na głowie zamordowanej, i nie zwrócił uwagi na tę niemą walkę dwóch, niby przyjaciół.

Ów mężczyzna z zacięciem pruskiem był bowiem kolegą szkolnym profesora z uni-

wersyteckich ław w Berlinie i uchodził za jego "nieodłącznego" w czasie kilkomiesięcznego pobytu w Milwaukee, gdzie reprezentował interesa handlowe pruskiego ministerstwa dla spraw kolonialnych.

Nazywał się Von Kolnitz i pochodził z bogatej rodziny pruskich junkrów. Dzięki swojej fortunie i ogromnym wpływom rodzinnym miał on przed sobą świetną karyerę polityczną i uważał się za jednego z tych, którzy są powołanymi do rządów.

Obecność jego przy śledztwie koronera była wielką pomocą dla biednego profesora, gdyż jakkolwiek cieszył się on ogólnem współczuciem, śledztwo wykazywało coraz to nowe ciemne szczegóły, które wymagały właśnie od niego i wyłącznie niemal od niego samego wyjaśnień.

W tym właśnie momencie podniósł się koroner od zwłok zamordowanej i patrząc nań uważnie mówił:

— Strzał trafił nieszczęśliwą z tyłu w kark i przedarł się w mózg, uciekała więc lub usiłowała uciec przed mordercą. Była w negliżu porannym, więc niewątpliwie za-

skoczył ją morderca nieprzeczuwającą nawet katastrofy. Mówi także o tem jej wzrok przerażony i ból, który zamarł na zagasłych licach.

Profesor spojrzał na twarz żony i zakrywszy w tejże sekundzie oczy, ryknął niemal strasznym płaczem.

Koroner poruszył go za ramię.

— Uspokój się pan — rzekł doń .— chwila jest poważna i potrzebujemy od pana wyjaśnień.

— Musisz dopomódz do wykrycia zbrodniarza — dorzucił z zawziętością Von Kolnitz, a w głosie jego było nieubłaganie dzikiej niemal złości.

Słowa te więcej oddziałały na profesora, aniżeli łagodna przemowa koronera. Zatrząsł się jakby od konwulsyjnego wewnętrznego wstrząśnienia, odjął ręce od twarzy, łzy otarł i stanął jak skamieniały.

Wzrok, który podniósł od trupa żony do wyniosłego swego przyjaciela, zawierał więcej niż wyrzut.

Koroner nie zwracał na to uwagi i dalej naprowadzał krytyczne szczegóły.

— Według pańskich zapodań — mówił ponownie uderzając z lekka profesora po ramieniu — drzemałeś w czasie strasznego zajścia w drugim pokoju, a jeżeli drzemałeś, więc nie był to sen mocny...

— Przy czystem jego sumieniu — zawołał na to z naciskiem Von Kolnitz — mógł po pracy zapaść na chwilę w sen kamienny.

— Mogło tak być niewątpliwie — odparł koroner — ale uwzględnij radco, że padły dwa strzały, pierwszy chybił, a rozbił szybę w oknie, przyczem huk strzału złączony z brzękiem rozbitej tak ogromnej szyby, mógłby z najtwardszego snu obudzić...

— Ale jego nie zbudził jednak — zaznaczył z lekkiem odcieniem ironii Von Kolnitz — on spał snem sprawiedliwego.

— To bardzo dziwne — zauważył koroner — a przytem brak nam wszelkiej wskazówki kto mógł wejść niepostrzeżenie o rannej godzinie do budoaru profesorowej nie obudzając podejrzenia służby. Co o tem sądzisz profesorze?

— Nie umię tego wytłumaczyć! — odparł drżącym głosem zagadnięty.

— Szkoda, wielka szkoda — rzekł teraz więcej chłodnym i strudzonym głosem koroner, — ale to komplikuje ogromnie sytuacyę. Niech tu przyjdzie służąca.

Policyant, który stał przy drzwiach sprowadził w mgnieniu oka silnie zapłakaną dziewczynę z głębi mieszkania.

— Nie płacz — powiedział do niej ostrym głosem koroner — ale odpowiadaj o co zapytam. Powinnaś przekonać mnie, żeś zupełnie niewinną...

— Ja za to ręczę! — odezwał się profesor z widocznym niepokojem.

— Nie rozumię jak możesz pan za to ręczyć — rzekł koroner — skoro tak twardo drzemałeś...

Na ostatnie słowa położył nacisk i zaraz zwrócił się do służącej:

— Mówiłaś przy pierwszem przesłuchaniu, że do dnia weszły do domu dwie osoby w przerwie mniej więcej dwóch godzin. Co to za osoby?

— Nie widziałam twarzy, gdyż okno mego pokoiku jest z boku — odparła służąca — ale słyszałam jak najprzód wszedł od werandy jeden...

— O jakim czasie?

— Mogła być szósta godzina.

— Kto drzwi otwierał?

— Nieboszczka, któżby inny...

— A pan?

Dziewczyna zawachała się.

Koroner badawczo patrzał w jej oczy.

— Mów prawdę — krzyknął — bo cię każę zamknąć. Czyżby pani poszła drzwi otwierać, jeżeli pan leżał w drugim pokoju w ubraniu i... drzemał.

Dziewczyna z jękiem spojrzała na swego chlebodawcę i głos jej zamarł na ustach.

— Mów — nalegał koroner.

— Pana wieczór nie było w domu.

— Nie mógłże więc to on sam wrócić nad ranem jako pierwszy z przybyłych.

— Mógł, ale to nie był nasz pan.

— Jakże to wiesz tak dokładnie, skoro nie widziałaś?

— Pan puka zawsze najprzód do okna pani, a potem wchodzi tak jakoś głośno, że zaraz poznam...

— Ale może nie chciał żony budzić i wszedł cicho...

— Nie, nie, to nie był nasz pan...

— Więc kto?

— Albo ja wiem...

— A ten drugi...

— Ten drugi zabił...

— Jak wiesz?...

— Gdy przyszedł pierwszy były szepty i wszystko potem ucichło. Drugi wchodził bardzo ostrożnie, ale kroki słyszałam wyraźnie. Gdy wszedł odrazu podniosły się głosy, słyszałam jakby kłótnię, następnie jakby łkanie, potem strzały. Gdy wpadłam do pokoju, pani leżała martwa bliżej drzwi na dywanie, a w drugim pokoju leżał nasz pan na sofie i spał.

— Powiadasz, że spał...

— Wstrząsnęłam nim mocno i ledwo że oczy otworzył...

— Czy nie zdziwiłaś się zobaczywszy

pana, skoro wieczorem nie było go w domu...

— Nie zastanowiłam się w owej chwili nad tem. Gdy się pan zbudził, powiedziałam mu, że trzeba ratować panią.

— A on?

— Najprzód nic nie powiedział, potem poszedł do parloru, przyjrzał się żonie, twarz nakrył rękami i milczał przez chwilę...

— A potem.

— Posłał mnie po lekarza...

— Czy nie mógł zatelefonować?

— Pewnie, że mógł, ale jednak mnie posłał.

— Daleko...

— Dobre dwadzieścia minut drogi!

Koroner zwrócił się w tej chwili do profesora:

— Co pan robiłeś przez te dwadzieścia minut? — zapytał z naciskiem.

— Telefonował do mnie — odpowiedział za zapytanego Von Kolnitz — i ja zaraz przybyłem.

— I co pan zastałeś?

— Trupa profesorowej i jego samego w rozpaczy.

— Co on panu powiedział?

— Prawie nic, był nieprzytomny. Zastąpiłem go telefonując do pana i do policyi...

— Tak, to prawda. Ale to wszystko jednak bardzo dziwne.

— Straszne!

— Najstraszniejsze — cedził teraz zwolprzez zęby koroner — że rewolwer pod oknem w trawie znaleziony, z którego dwa strzały świeżo były oddane, jest własnością szanownego pańskiego przyjaciela.

— Zbrodniarz mógł porwać rewolwer i użyć go...

— Gdzie był rewolwer panie profesorze?

— W biurku...

— W pana pokoju, w którym tak twardo drzemałeś, czy tak?

—Tak!

—To okropny szczegół — zauważył koroner.

Von Kolnitz zwrócił się teraz do koronera i odciągnął go na bok.

— Przyjdzie tu wnet — rzekł przyciszonym głosem — zaufany i sprawny detektyw naszego pruskiego konsulatu, pozwól mi pan zarządzić pewne dochodzenia. Idzie o mego przyjaciela z ław szkolnych.

— Panie radco — odparł koroner — radzę się panu z tem pospieszyć, gdyż sprawa wygląda źle dla profesora i możesz pan z góry przewidzieć opinię jury koronerskiej, jeżeli aż tyle doniosłych punktów pozostaje niewyjaśnionych.

— Dojdę prawdy...

— Masz panie radco wolną w tem rękę, ale profesor musi być pod strażą.

— To wywoła z góry uprzedzenie i skrzywi całe śledztwo...

— Atoli wobec tak ciężkich poszlak...

— Zostaw mi pan czas do południa. Wezmę profesora do konsulatu i wybadam po przyjacielsku, a detektyw mój zbada rzecz na miejscu.

— Ale wspólnie z detektywami prokuratorji, nie inaczej.

— Naturalnie!

W kilka minut potem Gruber odjeżdżał

w automobilu pana radcy konsularnego Von Kolnitza, a z tłumu zgromadzonego przed domem witały go nieme wyrazy gorącego współczucia. Znali go wszyscy z najlepszej strony i wierzyli w jego niewinność. Uderzało tylko wszystkich, że był taki sztywny i jakby skamieniały, gdy znalazł się w automobilu obok swego przyjaciela. Spodziewano się raczej twarzy zapłakanej i serdecznego w niej bólu.

Ale automobil potoczył się szybko, a w tłum weszli policyanci i zaczęli rozpędzać ciekawe gromadki.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Biały Murzyn.

W części fabrycznej miasta poza światem domów ludzkich, poza wygodą powietrza i światła słonecznego stały długim szeregiem jakby w ziemię powbijane nizkie domki najuboższych.

Chociaż w całem mieście było sucho, tu dokoła odwieczne trzęsawiska i błota tamowały drogę i ziały zgnilizną śmiecia i odpadków.

Ale to nie zrażało tych, których tu ostatnia nędza przygnała i którzy dusili się w małych izdebkach o tyle szczęśliwi, że choć dach mieli nad głową.

Byli i wśród nich wybrańcy fortuny, jako przedmiot zazdrości smutnej i ponurej tej osady, którzy cieszyli się komfortem osobnych mieszkań.

Do takich szczęśliwców należał uciekinier z Prus niejaki Jack Remler. W pojęciach jego "kajzer" i "kronprintz", pan "lejt-

nant" i pan "kapral" byli najwyższymi istotami olbrzymiego świata, w którym pierwsze miejsce zajmowała ziemia pruska, przykryta pikelhaubą, jako znamieniem wszechpotęgi "kajzera". Służyć pod tym znakiem było całem marzeniem i szczęściem dla naszego Jacka Remlera i był on wśród białych i wolnych jakby murzynem służby pruskiej.

A jednak znalazł się daleko poza ramami tej służby, jako nędzny uciekinier na obcej całkiem ziemi, wśród odmiennych całkiem i niezrozumiałych dla niego ideałów.

O to nieszczęście przyprawił go temperament gorący. Remler w czasie musztry pastwiąc się nad rekrutem polskim tak się rozhukał, że nieszczęśliwca zabił. Czekało go za to wieloletnie więzienie, atoli pan "lejtnant" Von Kolnitz, pod którym służył dopomógł mu w czas do ucieczki a głównie dla tego, że to on sam z nienawiści do Polaków, kazał mu był owego rekruta "dobrze" rozumu uczyć.

Remler drapnął do Ameryki i dzięki poleceniom swego protektora otrzymał miejsce przy jednej z browarni w Milwau-

kee, a po kilku latach posadę nadetatową służącego do specyalnych poruczeń przy konsulacie pruskim w tem mieście.

Był więc poniekąd urzędową, a jednak bardzo nieszczęśliwą figurą, gdyż tęsknił za kasarnią pruską, za światem "manszaftów", za paradą pułkową, za "komisbrodem" i za swoim panem "lejtnantem".

Gwoli jadła i opierunku ożenił się z niemką, ale trafił na babę sekutnicę i doli swej nie poprawił.

Była ona wdową po robotniku w miejscowej lejarni, a odziedziczyła po nim chałupinę w owem błotnistem i prawdziwie piekielnym zakątku, gdzie z tytułu swego dziedzictwa była jednak panią.

Remler zaraz od dnia ślubu został jej parobkiem, któremu za całą jego gorliwość i pilność pani małżonka nie szczędziła szturchańców i wyzwisk, a w przystępie gniewu przezywała go nawet okropnie dlań boleśnym mianem zbója.

I do tego strasznego życia, które było jakby sprawiedliwą karą Bożą, za śmierć niewinnego polskiego młodzieńca, przyszedł

także jasny promień dni lepszych, kiedy do Milwaukee zjechał pan "lejtnant" Von Kolnitz.

Remler wyniesiony został od razu do służby personalnej przy panu radcy handlowym i to wzmocniło jego stanowisko w całem domowem "zabłociu", a nawet w stosunku do żony, która uczuła się dumną, że jej "zbój" czemś jest i że niezgorzej zarabia.

Von Kolnitz nie mógł z drugiej strony w pośród wszystkich murzynów znaleść tak sobie oddanego i bezwględnie posłusznego.

Od wczesnego ranka czuwał Remler przy jego drzwiach i spełniał ślepo i bez szemrania każdy rozkaz. Nagrodę miał we wyobraźni swojej jedną, że Von Kolnitz wyrobi mu kiedyś łaskę "kajzera" i powróci go do Prus pod uwielbianą pikelhaubę.

Von Kolnitz potrzebował go w gruncie rzeczy ogromnie. Jego misya handlowa łączyła się bowiem z inną tajemnicą w sprawach wojskowych i dostaw na wypadek wojny i wymagała ścisłej dyskrecyi i zaufanej służby.

Z tej przyczyny miał Von Kolnitz przy

konsulacie pruskim specyalne biuro i gabinet niemal hermetycznie zewsząd zamknięty, a z gabinetu od wypadku odwrót przez żelazne schody bezpieczeństwa, prowadzące po przez jedno z okien biura na tylną elę.

Do tego tajnego gabinetu wprowadził Von Kolnitz w dzień tajemniczego morderstwa dokonanego na osobie pani Gruber nieszczęśliwego jej męża.

W czasie drogi, mając go przy sobie w automobilu, starał się dla ludzkiego oka okazać ożywionym i rozmownym, jakkolwiek mówił do człowieka siedzącego niemal bez ruchu i niezwracającego żadnej uwagi na jego słowa.

Atoli u drzwi swego gabinetu Von Kolnitz spędził wymuszony uśmiech ze swej twarzy, odłożył na bok giętkość wielko-światowca i stał się, czem był w istocie: szorstkim, bezwzględnym, pruskim junkrem. Bez ceremonii pchnął Grubera do wnętrza gabinetu i przywoławszy Remlera mówił doń w niedomkniętych drzwiach:

— Dzisiaj masz pokazać całą wierność i do joty co nakażę spełnić.

— Zu dienen! Według rozkazu!

— Pójdziesz do departamentowego sztoru i kupisz ubranie czarne, eleganckie, na miarę tego pana. Miara jakby na mnie. Łatwo trafisz. Kupisz także kapelusz okrągły z dużą krysą. Weź tego pana kapelusz na miarę. Wracaj co żywo. Z nikim nie mów ani słowa. Gdy zapytają w sklepie powiedz, że cię przysłali z Plankentonu! Pamiętaj!

— Zu dienen!

Remler zesunął się niemal po schodach a tymczasem Von Kolnitz zwrócił się do swego gościa, wskazując mu fotel przed biurkiem:

— Siadaj i pisz!

Na te słowa Gruber odcknął się jakby z letargu i z podniesionemi rękami chciał się rzucić na mówiącego.

— Sprawco mego nieszczęścia — jęknął — duchu piekielny, morderco!

Von Kolnitz odtrącił go silnym ruchem, tak że Gruber przechylając się opadł na fotel.

— Nie unoś się — rzekł doń — na twoich rękach jest krew, tyś to uczynił.

— Ale tyś mnie do tego doprowadził.

— Ja? Czyliż kazałem ci szpiegować żonę...

— Nie miałem pilnować kobiety, którą kochałem nad życie?

— Nie była twoją niewolnicą...

— Ale tyś chciał ją uczynić swoją, nędzniku!

— Nie mogłem tego uczynić bez jej woli...

— Ona miała przed tobą lęk i uwiozłem ją przed tobą aż tutaj...

— No i los tak zdarzył, że ją znowu spotkałem.

— Uplanowałeś to, niepomny przysięgi, niepomny tylu dowodów przyjaźni mojej w czasach dawnych, jak hyena rzuciłeś się na nasze szczęście...

— Ale to nie usprawiedliwia twego czynu.

Gruber zakrył twarz i załkał strasznym płaczem, który z duszy i ze serca, z całego jestestwa płynął.

Potem nagle uspokoił się i powstając zawołał do Von Kolnitza:

— Jej nie ma, ale i nas obydwóch nie będzie, zginiesz ze mną!

Von Kolnitz skrzyżował ręce na piersiach i szyderczo patrząc mu w oczy odparł:

— Jesteś w mojej mocy! Przy mojej nodze jest tajemna sprężyna. Jeden mój ruch nieznaczny, a cały personal konsulatu otoczy cię i odda gdzie należysz: do celi morderców!

Gruber z rozpaczą rozejrzał się dokoła i rzekł z pogardą:

— Jesteś zbirem i oprawcą, ale kary nie ujdziesz...

— I co jeszcze? — pytał drwiąco Von Kolnitz — czy nie pomyślałeś, że jeśli o zemstę idzie, to należy się ona tobie odemnie. Zamordowałeś kobietę, którą...

— Nie kończ! — zaryczał Gruber strasznym głosem — nie kończ, bo nie wytrzymam. Raczej powiedz czego jeszcze chcesz odemnie, po co tu mnie przywlokłeś?

— Usiądź więc i pisz!

— Co mam pisać?

— List do mnie!

— Do ciebie i o co?

— Że oddajesz mi twoją córeczkę w opiekę?

— Nigdy!

Von Kolnitz przyczaił się jak tygrys przed ostatecznym napadem i mówił następnie tonem łagodniejszym:

— Musisz zapanować nad sobą i zrozumieć sytuacyę. Przez pamięć dni dawnych chcę uratować cię od szubienicy, więc przebiorę cię, dam pieniądze i wypchnę w świat. Ale nie możesz uciekać z córeczką, gdyż rozpoznano by ciebie po niej. Ona na jakiś czas musi pozostać u obcych, którzy ją otoczą najczulszą opieką!

Gruber zapłakał na to jak dziecko. Wspomnienie córeczki i jej losu stopiło go na wosk. Von Kolnitz tryumfował w sercu...

Podsunął Gruberowi papier i wepchnął mu pióro do ręki:

— Pisz! — zawołał — czas nagli!

Z twarzą strasznie przez ból i rozpacz

wykrzywioną, a teraz łzami zalaną, zwrócił się Gruber do swego prześladowcy.

— Czy choć w tem mnie nie oszukujesz? Powiedz!

— To jej dziecko!

— Ale i moje!

— Przedewszystkiem jej. Temu dziecku chcę zastąpić jej miłość. Uczynię wszystko co w mej mocy!

— Przysięgasz?

— Powiedziałem! Pisz!

Gruber ciężko odetchnął jak człowiek, który się poddaje ostatniej konieczności i pisał za dyktatem:

"Drogi i jedyny przyjacielu i protektorze, zacny radco Von Kolnitz! Okoliczności, wśród których ś. p, żona moja utraciła życie, zmuszają mię opuścić to miasto i ten kraj. Nadużywam raz jeszcze Twojej dobroci i szlachetności i narażam Cię na zmartwienia i kłopoty, uciekając przez okno Twojego biura. Zabieram z konieczności pieniądze, jakie pozostawiłeś w otwartem biurku. Może zdołam kiedyś to zwrócić. Jako drogi zakład, zostawiam Ci biedną moją

ukochaną córeczkę. Weź w opiekę i oddaj pod dozór uczciwej pruskiej rodziny. Niech będzie pod okiem kobiety, która jej matkę zastąpi. Uczyń to przez pamięć dla mej przyjani!

Twój nieszczęśliwy

Max Gruber.

Zaledwie list do ostatniej dobiegł głoski, lekkie zapukanie do drzwi powstrzymało dalsze wybuchy żalu Grubera.

W gabinecie zjawił się Remler.

— Ogol pana i przebierz — rzekł doń Von Kolnitz.

Gruber poddał się wszystkiemu w milczeniu, a Von Kolnitz tłomaczył mu jak przez schody bezpieczeństwa, przez elę i boczne ulice dążyć ma do garażu konsulatu i jak ma dalej jechać w kierunku do Oshkosh i dalej.

W kwadrans potem zmieniony do niepoznania Gruber przejeżdżał przez miasto, aby przepaść na zawsze, jak kamień we wodę.

— Ja zaś — rzekł — skieruję nagonkę za tobą na Chicago i Nowy York!

Von Kolnitz zaś upewniwszy się przez Remlera, że się ucieczka dawnego przyjaciela powiodła, zamknął się z Remlerem i tak doń mówił:

— Chcę ci dać stały i dobry dochód i szansę powrotu do kraju.

Remler mało mu do nóg nie upadł.

— Panie lejtnancie! — zawołał z przejęciem wiernego psa.

— Nie dziękuj, ale słuchaj, abyś dobrze wszystko wykonał. Córkę tego pana, który drapnął przy mojej pomocy, weźmiesz na wychowanie. Pod strażą twojej żony utrzymasz to dziecko przy życiu, ale tak jak się utrzymuje psa. To córka mordercy i ma mieć los twardy. Ojciec zabił kobietę, którą kochałem. Jego córka ma to odcierpieć, albo być kiedyś narzędziem jakiejś strasznej zemsty. Jak się już dziecko zżyje z nędzną swą dolą, wezmę was do Europy i prędzej jak myślisz! Zrozumiałeś?

— Zu dienen!

— Żonie twojej sam dam instrukcye. Podobno to twarda kobieta.

— Zu dienen!

— Niechże ją męczy!

— Zu dienen! Podług rozkazów!

— A niech ją męczy zręcznie i pokryjomu — dodał złośliwie Von Kolnitz — a przy ludziach niech dziecku okazuje miłość i ubiera ją przyzwoicie!

Mówiąc to, wziął ze stołu list napisany przez Grubera i przeszedł do głównego biura konsulatu.

— Panowie — przemówił tam doniosłym głosem do urzędników.

— Człowiek, któremu zaufałem, profesor Max Gruber, umknął przed chwilą z mego gabinetu przez tylne okno i przez schody bezpieczeństwa, a to w czasie, gdy się starałem dopomódz mu do odparcia słusznych podejrzeń o udział w zamordowaniu własnej żony. Idę zawiadomić koronera. Pierwszy raz mi się zdarza, aby ktoś skorzystał w tak zuchwały sposób z kilkominutowej mojej nieobecności w biurze. Opłaciłem przytem moje zaufanie kilkuset dolarami, które pan Gruber zabrał sobie na pamiątkę!

Powiedziawszy to w stylu urzędo-

wym, zeszedł elewatorem na dół, wsiadł do automobilu i za kilka minut stał przed koronerem.

— Czytaj pan!

To mówiąc podał mu list Grubera.

Koroner przeczytał i chwytając się za głowę zawołał:

— Uciekł, więc to on był sprawcą, trzeba pogoń zarządzić.

Moi detektywi są na tropie!

— Chodźmy do prokuratora. Nie ma chwili do stracenia.

Von Kolnitz pomógł koronerowi wejść do automobilu, ale miał przytem jadowity wyraz w oczach.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Zapomniany Świadek.

Małgosia Gruber nie była zupełnie osamotnioną.

Gdy po długim płaczu, łzy oschły na jej dziecinnych licach i z niepokojem i lękiem rozglądała się po żałobnej izbie z niezmierzonego, rozpaczliwego mroku patrzało na nią z ogromnem przywiązaniem dwoje młodych i także od płaczu zaczerwienionych ócz.

Poszedł Von Kolnitz uprowadzając jej ojca, wnet po nim oddalił się koroner z urzędnikami i policyą, służąca poszła do sąsiadów, aby się rozgadać od serca, ale w kątku za kotarą zlekceważony i całkiem zapomniany został siedemnastoletni Piotruś, uczeń profesora i przygodny opiekun Małgosi.

W nocy poprzedzającej katastrofę, spał on na prośbę nieboszczki pani profesorowej przy łóżeczku dziewczynki, a to z tej przy-

czyny, że służąca poszła na spacer ze swoim gachem, a matka nie chciała pozostawić dziewczynki samej.

Piotruś z natury bardzo uzdolniony i wyrobiony nad wiek przez biedę, cierpienie i sieroctwo, przeżył więc od początku do końca całą rozegraną tajemniczą tragedyę i znał każdy jej szczegół.

Był nawet pewny, że go będą o wszystko wypytywać i czekał na swoją kolej za kotarą, ale kolej na niego nie przyszła.

Koronerowi wcale na myśl nie wpadło, aby Von Kolnitz mógł skłamać i przyjął za udowodnione, że przybył on na miejsce zbrodni tuż po wypadku na telefoniczne wezwanie profesora.

Nie rozważał więc bliżej jego słów, których nie poddawał w wątpliwości.

Tymczasem Piotruś wiedział doskonale, że Von Kolnitz, odegrał w całej tragedyi całkiem inną od zapodanej i więcej czynną rolę.

Piotruś pamiętał, że przy kolacyi jeszcze zapytywała nieboszczka męża, czy jedzie do Chicago na konwencyę nauczycieli

obco-narodowych i że profesor oznajmił jej na to, że musi jechać pociągiem o dziewiątej i powróci dopiero na drugi dzień ostatnim pociągiem.

Pamiętał także, jak tuż przed owym odjazdem na pociąg przyszedł Remler i przyniósł od Von Kolnitza do pani list, który przypadkiem w mniemaniu, że to list do niego, otworzył Gruber.

Nie wiedział oczywiście Piotruś co zawierał ów list, atoli spostrzegł odrazu, jakie przygnębiające wrażenie wywarł przyniesiony list na profesorze i słyszał, jak mówił on do siebie w wielkiem podnieceniu:

— Wrócę, skopię go i wyrzucę!

W myślach Piotrusia przesuwały się dalej jak w kalejdoskopie sceny smutnego dramatu. Więc najpierw pozorny odjazd profesora na dworzec. Pół godziny potem przyjazd Von Kolnitza. Następnie długa rozmowa, a potem pełna wrzawy kłótnia między nim, a profesorową. Wreszcie nagły powrót profesora, straszna scena między profesorem i Von Kolnitzem, potem strzały i niespodziewana katastrofa.

Miał także w uszach swoich Piotruś rozpacz profesora, gdy tenże zobaczył żonę martwą, gdy przekonał się, że kula przeznaczona dla Von Kolnitza, trafiła w jego własną, ubóstwianą żonę.

Najstraszniejsze wrażenie wywarła jednak na Piotrusiu bezwzględność i zdecydowanie Von Kolnitza, który w mgnieniu oka, rzucił profesora na łóżko w drugim pokoju i derą go aż po uszy przykrył, a sam jak cień utonął w mroku przyległej alkowy.

W tej alkowie było łóżeczko Małgosi, a w kątku na dywanie o parę tylko kroków od Von Kolnitza był on sam: Piotruś.

Słyszał więc jak weszła służąca, jak nie mogła się dobudzić niby śpiącego profesora, jak ją potem wyprawiono po lekarza i jak po jej odejściu rzucił się Von Kolnitz na profesora:

— Zamordowałeś ją — wołał — zniszczyłeś życie kobiety, której nie byłeś wart, w grób ją zaprowadziłeś przez twoją głupią i nędzną zazdrość.

Gruber oszalały z rozpaczy i bólu, rzu-

cił się wzajem na Von Kolnitza jak wściekły.

Przez długą chwilę, która zdawała się być wiekiem, wili się w konwulsyjnem starciu, aż ich rozerwał dzwonek i zmusił ich do zapanowania nad sobą.

Niebawem koroner rozpoczął dochodzenia.

Piotruś rozważał to wszystko i zastanawiał się, co ma uczynić. Przypomniał sobie, jak zaledwie parę dni temu ten sam Von Kolnitz za drobne i niezawinione opóźnienie w doręczeniu przesyłki od Grubera, wymyślał go od świń i jak do niego wołał z pogardą:

"Du verfluchter polnischer hund, ty przeklęty polski psie".

Mógł się teraz za to zemścić. Mógł skompromitować go opowiadając ławie koronerskiej szczegół po szczególe z kompromitującego zachowania się Von Kolnitza.

Ale zaraz przyszło Piotrusiowi na myśl że żaden Polak choć najbiedniejszy nie bawi się w denuncyacyę i że w tym wypadku kompromitując zarozumiałego pruskiego

junkra zdradził by i na haniebną śmierć skazał ojca Małgosi.

Tego nie chciał uczynić, czuł, że na to się nie zdobędzie, że nic na jej krzywdę nie powie.

Był synem polskiego powstańca, który wyemigrował do Ameryki po upadku ruchu wolnościowego i tu jako robotnik w kopalni węgla życia dokonał. Piotruś żył teraz przy matce, która pomagała znacznie starszej od Piotrusia córce w krawiectwie. Profesor Gruber uczył języka niemieckiego w szkole publicznej, do której Piotruś uczęszczał i w której tenże zdobył sobie opinię jednego z najpilniejszych uczni.

Gruber go polubił i używał do pomocy w domu, aby w zamian choć kilkoma dolarami przyczynić się od czasu do czasu do ulżenia jego matce i siostrze.

Piotruś, we wszystkiem dokładny, nie chciał przyjmować jałmużny i starał się wedle sił odpłacić Gruberowi jego pomoc. Czynił to przez sumienną troskę o zabawę i bezpieczeństwo jedynaczki Gruberów w czasie nieobecności rodziców.

Teraz właśnie od trumny nieszczęśliwej matki wpadł jej wzrok na niego, a we wzroku tym i w spojrzeniu tyle było wiary dziecinnej, tyle zaufania.

Piotruś podniósł się i postąpił ku Małgosi, a ona jak ptaszę biedne podbiegła ku niemu, ręce niby skrzydła ku niemu wyciągnęła i na szyi mu zawisła.

— Piotruś — szepnęła — weź mnie ztąd, ja się boję!

Widział i czuł jak drżała na całem ciele i rozpoznawał całą okropność jej położenia, z którego sama dziewczynka nie zdawała sobie sprawy.

Nie namyślając się wiele, wziął ją na ręce i wyniósł z mieszkania przez boczne schody i tylne przejścia.

W kilkanaście minut był już z nią w skromnem mieszkaniu swej matki i siostry.

— Weźcie dziecko jak swoje i więcej jak swoje — mówił — wszystko wam za nią odrobię i odpłacę.

— Ani ojciec jej, ani krewni nam jej i tak nie zostawią — zauważyła matka.

— Ojciec w strasznem nieszczęściu —

odparł Piotruś — i k to wie co z nim się jeszcze stanie, a krewnych nie ma...

— Na razie ją bierzemy do siebie — odezwała się matka i zwracając się do córki zapytała:

— A ty co o tem myślisz?

Siostra Piotrusia myślała oczywiście jej myślami i tuliła już do siebie dziewczynkę, która ująwszy ją za szyję zapytała nieśmiało:

— Czy ty także kochasz Piotrusia?

— Naturalnie, on taki dobry!

— Mój Piotruś!

Zmęczenie dziewczynki było tak wielkie, że niemal z temi słowami na ustach usnęła, zaś Piotruś pobiegł napowrót do mieszkania Gruberów.

Zanim tam wszedł, przybrał pozę najniewinniejszą.

Niedola nauczyła go zaraz w młodych latach, że nie należy głośno myśleć i że świat możnych, u władzy będących, chce mieć zawsze to złudzenie, iż wszyscy mu są tak podlegli, że ani myśli i uczuć własnych nie wyrażają.

Szedł więc jak bezmyślny, choć w całem jestestwie miał myśl nad wiek swój wielką.

— Jak ocalić Małgosię.

Spodziewał się, że na górze przy zwłokach zastanie dalszy ciąg dochodzeń koronerskich i że dowie się czegoś stanowczego o losie profesora.

— Jakiż on biedny i nieszczęśliwy — mówił sobie w duszy — jak się wywikła i wydostanie z żelaznych szponów swego... przyjaciela!

— Ten Von Kolnitz! jakże go nienawidził Piotruś! Czemuż nie będzie mógł opowiedzieć koronerowi prawdy? Dlaczego w życiu tak się wszystko dzieje, że i prawda zabija? Dlaczego nie można wyznać jej śmiało i odważnie?

Z ponurego tego rozważania wywarło go silne potrącenie. To Remler biegł po schodach z takim rozmachem, że mało go nie zepchnął.

— Czyś oślepł? — hardo go upomniał Piotruś, który nie lubiał tego pruskiego stupajki.

— A, to ty? — odparł Remler gorączkowo — czyś nie widział Małgosi?

— Zkąd miałem ją widzieć. Albo co?

— Przepadła bez śladu, a ja miałem ją ztąd zabrać... Co ja powiem panu "lejtnantowi?

— Miałeś ją zabrać do Von Kolnitza.

— Naturalnie! On bierze dziewczynę w opiekę.

— On? Von Kolnitz?

— Tak.

— A ojciec?!

— Umknął bez wieści!

— I Von Kolnitz nie wie dokąd?

— Nie!

— A koroner?!

— Pogoń wysłał za nim, a teraz mnie wyszle w pogoń za dziewczyną i uczyni mnie odpowiedzialnym za jej zniknięcie... dodał z goryczą pełną przestrachu — pan lejtnant mnie tego nie przebaczy.

— A cóż go to tak bardzo obchodzi? On nigdy nie miał dla Małgosi dobrego słowa!

— Ale on jest opiekunem?

— Opiekunem? I przez kogo mianowanym?

— Ojciec żądał tego piśmiennie...

— Z własnej woli?

Remler spojrzał podejrzliwie.

— Co się pytasz tak głupio — krzyknął na Piotrusia.— Napisał tak do pana lejtnanta i koniec! Gdzie ona jest? Czyś ją widział?

— Sam jej szukam. Może jest u sąsiadów.

— Obejdę wszystkich! — odparł Remler, biegając po schodach.

Piotrusiowi zaraz myśl nowa wpadła do głowy i z pośpiechem go odwołał:

— Panie Remler!

— Co takiego?

— Ja myślę, że jak ojciec uciekł, to ją z sobą zabrał, on ją ubóstwiał...

— Profesor jej nie zabrał...

— Zkąd wiesz?

— Wiem i basta.

— Ale pomyślno panie Remler. On może was listem w błąd wprowadził, a sam wrócił i dziecko zabrał!

— Von Kolnitz gotów mnie zabić, ale to co mówisz, muszę mu zaraz powtórzyć — zawołał Remler — i wybiegł co żywo.

W tej chwili schodził także z góry koroner a za nim służba sanitarna niosła zwłoki w całun owinięte, aby je przewieźć do laboratoryum sekcyjnego.

Piotruś przycisnął się do ściany, a gdy smutny orszak przeszedł, powlókł się za nim i za zmarłą jako jedyny współczujący.

W chwili, gdy wóz sanitarny odjechał, Piotruś w tłum ciekawych wmieszany, myślał przez chwilę czy ma wracać do domu, do Małgosi.

Ale niepokój w sobie miał o to, co Von Kolnitz zarządzi, czy właśnie do domu jego matki szpiegów nie wyśle i pragnąc to uprzedzić zdecydował się sam do niego pójść.

Narażał się osobiście, ale narażał się dla bezpieczeństwa Małgosi, co do której z rozmowy z Remlerem, dowiedział się, jak ogromne groziło jej niebezpieczeństwo.

Ten potwór Von Kolnitz nie może jej dostać! — to mówiło tak silnie do woli Piotrusia, że złamał w sobie ogromne umęcze-

nie i obawę przed Von Kolnitzem i poszedł do konsulatu.

Jak Remler dobrze przewidział, Von Kolnitz na wieść o zaginieniu Małgosi wściekł się i popadł jakby w szał.

Okładając Remlera pięściami wył mu niemal w uszy:

— Jak ja ją tracę, to i władzę nad nim tracę i zemstę moją tracę na zawsze. Ale ty jesteś dobry na zbója, ale nie na stróża!

— Vergebung, przebaczenia panie lejtnant! On miał automobil, zawrócił się z drogi i dojechał prędzej, jak ja mogłem dojść.

— Łotr, podszedł mnie! — syknął Von Kolnitz i zobaczywszy krew płynącą po twarzy obitego Remlera, rzekł doń:

— Obetrzyj pysk, zamknij go na kłódkę i ani pary nie puść o naszem podejrzeniu, a raczej pewności, że to on ją wywiózł.

Remler zmasakrowany wyprostował się jak mógł i powtórzył swoje sakramentalne:

— Zu dienen!

Von Kolnitz - mimo silnego wewnętrznego poruszenia uśmiechnął się:

— Pruski chłop jak się patrzy! każdy z nich taki! — rzekł do siebie.

Remler mu teraz do nóg się rzucił:

— Panie lejtnant, proszę, niech przebaczą.

Von Kolnitz rzucił mu parę dolarów.

— Masz na plaster — zawołał doń — i zostań jakim jesteś. Prusy takich potrzebują najwięcej.

Remler znowu w drzwiach otarł się o Piotrusia.

Ale chłopaka dostrzegł także Von Kolnitz i przed siebie wzywał:

— A chodź, chodź panie sekretarzu Gruberów — mówił z ironią — ty będziesz coś wiedział o tej małej?

— Przychodzę, aby powiedzieć, że jej nie ma nigdzie u sąsiadów. Obszedłem do koła, naprzód tych, u których bywali państwa Gruberowie, potem wszystkie domy koło szkoły, i nikt nie widział dziecka.

— Czy tobie można wierzyć?

— Niech pan słucha jeszcze chwilę. Mówiła mi jedna przechodząca niewiasta, że widziała Małgosię z jakimś panem bardzo podobnym do profesora. Niósł on ją na rękach, wsadził na placu w odległości dwóch bloków do automobila i szybko popędził...

— To on był panie lejtnant! — wykrzyknął Remler.

— Czy nie kazałem ci gębę zamknąć?— ofuknął go Von Kolnitz i dał mu znak, aby wyszedł.

Potem zwracając się do Piotrusia, rzekł z pozornym spokojem:

— Dobrze zrobiłeś, żeś mi to zaraportował. Mogę i ja coś dla ciebie uczynić,, byleś miał w sobie więcej pruskiego ducha. Ty przecież z Prus!

— Z Polski!

— A czy Poznań nie należy do Prus?

— Jużcić, kiedy zabrali...

— I nie oddadzą mój chłopcze... Ucz się śpiewki: "Ich bin ein Preusse", a to będzie dla ciebie zdrowiej, bo jako Prusak będziesz miał przyszłość. My wszędzie rządzimy, nawet tutaj!

— Panie lejtnant — ozwał się na to nieśmiało Piotruś, — czy ja mogę jeszcze coś powiedzieć?

— I owszem!

— Ja pana widziałem ubiegłej nocy wchodzącego do domu profesora i widziałem pana w walce z nim...

— Szpiegowałeś?

— Nie panie, ja tam spałem tej nocy.

Von Kolnitz zbladł jak chusta. Z nerwowym ruchem przeszedł się po gabinecie, a potem z przymuszonym uśmiechem rzekł do chłopaka:

— Jesteś pojętny i lubię takich. Daję ci dziesięć dolarów, abyś sobie kupił nowe ubranko.

Piotruś spojrzał mu bystro w oczy.

— Panie lejtnant — rzekł niemal szeptem dobrze akcentując każde słowo, atoli — ja i tak milczeć będę szanując pamięć nieboszczki, ale mój ojciec nie uczył mnie, aby się sprzedawć i nie jestto także polski honor, aby niszczyć przyjaciela. Oto co ci miałem powiedzieć panie lejtnancie pruski.

Spamiętaj to sobie od ubogiego syna polskiego powstańca!

— Chamy, a jednak szlachcice, oni tacy wszyscy — zawołał Von Kolnitz.

Ale Piotruś już go nie słuchał.

Zadrasnął on śmiertelnie Von Kolnitza, był teraz atoli pewny, że go tenże nie każe już szukać i badać. Bez dalszych więc rozpraw opuścił jego gabinet.

Von Kolnitz zostawszy sam, usiadł w fotelu z zamkniętemi oczami, jakby dla uspokojenia nerwów, a potem zadzwonił i kazał do siebie prosić pana konsula.

Tenże stawił się natychmiast, gdyż choć rangą wyższy, miał pruski respekt, przed potomkiem niezmiernie bogatej rodziny krzyżackiej i przed człowiekiem, którego wpływy w Berlinie sięgały bardzo daleko i trafiły zawsze do celu.

— Miałeś nieprzyjemność, jak słyszałem radco, z tym Gruberem — rzekł wyciągając rękę na powitanie — ale takich rzeczy niepodobna nam uniknąć w naszem powołaniu.

— Dzięki za życzliwość — odparł Von Kolnitz — atoli nasza pruska ojczyzna może i z tego skorzystać.

— Czy tak?

— Gruber to człowiek ogromnie zdolny, użyjemy go gdy chwila przyjdzie.

— Czy masz jaki plan radco?

— Na razie proszę wziąść go w nasze tajne registra. Przypuszczam, że uciekł do Texas, a może nawet do Meksyku.

— Czy nie wiesz radco o jakim jego przyjacielu, do którego mógł się tam zwrócić o pomoc.

— Wspólny nasz kolega szkolny Gesler, generalny konsul w Vera Cruz.

— W takim razie odszukamy go.

— Zapamiętam tę przysługę! — rzekł Von Kolnitz, żegnając konsula.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Ojcowskie Serce.

W małej, schludnej mieścinie opodal steru w drodze do Oshkosh, Wis. zatrzymał się późnym już wieczorem automobil z wyglądu bardzo pański, czego ani kurz nie mógł całkiem zakryć, który w szybkiej jeździe obielił go zewsząd.

Z automobilu wyszedł człowiek średniego wzrostu, elegancko ubrany i rozejrzał się dokoła wzrokiem ponurym i niespokojnym.

Tuż przed nim stał w otoczeniu kilku drzew i krzewów wijących się od drogi aż hen w głąb niewielki schludny dworek, z którego właśnie wyszła, a raczej wybiegła młoda jeszcze, bardzo blada i widocznie strapiona niewiasta.

Zobaczywszy automobil i widząc pana, który nim przyjechał z ogromnym pośpiechem, zwróciła się ona do przybyłego i niemal błagalnie odezwała się doń:

— Jeżeli jesteś ludzkim człowiekiem, zechciej mnie zawieźć do lekarza. Uratujesz moje dziecko?

— Ależ najchętniej — rzekł przybyły — jakżeż to daleko?

— Dobre pół godziny drogi.

— Dobrze, proszę siadać.

— Niechże pan zaczeka, przyniosę dziecko!

— A to po co? Lekarza przywieziemy tutaj!

— Nie panie! To pociągnęłoby za sobą znaczne koszta, a mój bez pracy.

Przybyły nie oponował, a kobieta wbiegła napowrót do domu i wnet powróciła z dziewczynką na oko sześcio lub siedmioletnią, z twarzą rozpaloną i pochyloną na pierś matki.

— Ona bardzo chora — zapewniała matka, — a mój poszedł do doktora na piechotę dopiero przed małą chwilą. Dopędzimy go niewątpliwie i zabierzemy z sobą do lekarza.. Wszakże pan na to pozwoli?

Widok dziewczynki tak chorej i proste

słowa matki sprawiły na przybyłym tak silne wrażenie, że aż łzy zaświeciły mu w oczach. Z gorliwością też nadzwyczajną wsadził matkę i córkę w głąb automobilu, a zajmując sam przednie miejsce, rzekł do matki:

— Pani widocznie nie tutejsza, gdyż zaledwie zrozumieć mogę łamaną angielszczyznę.

— Jestem z Polski pruskiej — odparła niewiasta — i dopiero od niedawna...

— Za chlebem?

Żałosny uśmiech zawitał na to zapytanie na ustach niewiasty.

— Jeszcze gorzej — rzekła — bo za dachem...

— Jakto mam rozumieć. W Prusach przecież dachu nad głowami poddostatkiem.

— Dla Niemców, ale nie dla Polaków. Nas wywłaszczają!

W oczach powożącego automobilu błysło współczucie.

— Dziecię tu zrodzone? — zapytał.

— W kraju. Wyrzucili nas w troje z ziemi, naszej własnej od czasów niepamię-

tnych. Nie dali dziecku róść pod rozłożystą lipą, którą sadził nasz pradziad. Sierotą dziś to dziecko po Ojczyznie.

— Jakżeście tu trafili?

— Bieda nas gnała i to wszystko. Do Chicago jeszcze był bilet, a potem nogi własne. Jeden z przechodniów powiadomił nas, że w fabryce dla wyrobów z drzewa w Oshkosh jest praca i mój ją dostał. Ale teraz strajk i ostatkami gonimy. W dodatku dziecko się rozchorowało.

— Powożący automobilem pochylił się do chorej i rzekł:

— Jakże miła dziewczynka. Moją mi przypomina.

— A więc i pan masz dziewczynkę.

— W tymże samym wieku. Biedactwo.

Mówiąc to tak żałośnie westchnął, że aż go kobieta za rękę ujęła.

— Czy także chora?

— Gorzej!

— Jeszcze coś gorszego, o to bardzo źle, a pana żal, boś pan poczciwy...

Dojechali właśnie, do męża kobiety,

zabrali go z sobą i automobil popędził lotem błyskawicy.

— W kwadrans byli już u lekarza, który stan dziewczynki znalazł bardzo groźnym i zgniewał się na rodziców, że ją narażali na wstrząśnienia w drodze.

— Żałujecie grosza na lekarza i zapraszacie sami śmierć. Tak zawsze u Polaków.

—Pan jesteś ajryszem doktorze — rzekł ojciec dziewczynki — i wam dobrze, bo wy tu jakby pierworodni, a nas Polaków wydziedziczają w kraju z ziemi własnej, a tu od pracy.

Lekarz słuchał zdumiony.

— Tak panie. I do tego dziecko i my dwoje walczymy ze śmiercią, aby się jej nie dać. I walczymy od lat.

— Przyjadę do was jutro sam — rzekł na to lekarz — i ostatków od was nie wyciągnę.

— Odpłacimy panu do grosza, gdy pracę znów dostanę — odparł ojciec — my Polacy wiemy, że za wszystko trzeba płacić.

— Ale nie za życzliwe serce.

— Obyście wy ajrysze dali nam i cier-

piącym ludom serce przynajmniej sprawiedliwie, a już byłoby i nam i wam lepiej.

— Podajno rękę panie Polak — rzekł doktor — może i do tego przyjdzie.

Inna matka przystąpiła do lekarza i nasza trójka wyszła, aby znowu automobilem wrócić do domostwa.

Pan, który powoził, nie miał latarni na przodzie i walczył z ciemnościami, a rodzice tulili dziewczynkę. W ciszy więc sunęły naprzód automobilowe koła.

Przed domostwem dopiero obydwoje rodzice zwrócili się do swego dobroczyńcy z prośbą, aby wstąpił do izby i wypoczął. Zgodził się na to dość chętnie, a gdy przy skromnym posiłku podano mu łyżkę, zjadał z apetytem nieomaszczone i ledwo posolone kartofle z misy polskiego rozbitka, wywłaszczonego przez Prusaków.

Oczy jego z zajęciem przyglądały się przytem wszystkiemu w tym dniu. Najlepsza izba przy kuchni oddana była niewiastom: matce i córce, a straż najwyższą miała tu Matka Boska Częstochowska, której

obraz starokrajski, w dużych złoconych ramach wisiał nad łóżeczkiem dziewczynki.

W drugiej izbie, która była jadalnią, parlorem i pokojem ojca, wisiał ponad drzwiami krzyż czarny z wieńcem cierniowym w środku i z napisem: "Za wiarę i wolność". Była to pamiątka z powstania Mieroszewskiego w Poznańskiem z r. 1846. Na ścianie głównej wisiał portret osiwiałego oficera w konfederatce o trzech rogach, gdyż konfederatka o czterech rogach była w oczach prześladowców pruskich w owym roku 1846 dowodem tendencyi rewolucyjnych.

Pod portretem oficera był napis: "Pułkownik Plagowski, szermierz o prawa ludu".

Jego imię było imieniem rodzinnem tej polskiej rodziny, której głowa Ignacy był jego rodzonym synem, a siedmioletnia Zochna, córeczka Ignacego i Zofii z Jackowskich wnuczką.

Z tego, co słyszał od swych gospodarzy nabarał gość przekonania, że natrafił

na dom z gruntu uczciwy, o tradycyach dobrych i uczciwości bezwzględnej.

— W takim domu nie mieszka zdrada — pomyślał — i nie strach takim ludziom zwierzyć się.

Gdy więc żona usiadła w drugiej izbie przy chorej, gość ujął dłoń pana Ignacego i rzekł doń:

— Nie zapytałeś pan nawet jak się nazywam?

— A cóż po imieniu? Skoro miałeś serce ratować dziecko nieznanych sobie bliżej Polaków, to nie ma w tobie nic pruskiego.

— A gdybym jednak był Prusakiem?

Ignacy zamyślił się.

— To bym powiedział — rzekł po namyśle — żeś białym krukiem w pośród nich...

— I nie odepchnąłbyś mnie?

— A czy to odpychaliśmy Prusaków, gdy prowadzili nas na śmierć na polach Sedanu i pod murami Paryża w r. 1870? To oni nas odpychają i chcą nas wygnać z ziemi własnej, skoro już nas obecnie nie potrzebują.

— To co mówisz, wstrzymuje mi słowa na ustach — zauważył gość — gdyż masz jak widzę nieprzeparty żal i wstręt do Prus...

— A ty jesteś?

— Berlińczyk...

— I co tu robisz w tej mieścinie?

— Uciekam, aby ratować się przed łotrem, który moje życie rozbił i przed ziemską sprawiedliwością, która chodzi z zawiązanemi oczami.

— Więc jesteś uciśnionym jak ja i my wszyscy. Braterstwo niedoli nas łączy. Podaj rękę i wypłacz się przedemną. Ulży ci to, a może coś wspólnie wymyślimy.

— Jesteś szlachetnym człowiekiem...

— Polakiem!

— Oby was poznała i uszanowała ludzkość...

— Teraz mów! Czas płynie!

Zochna już na szczęście i na pociechę strapionej matki usnęła, więc oboje Plagowscy usiedli społem przy gościu, a on u tych na pozór prostych ludzi widząc wielkie serca z prawdą całą wyszedł i rzekł:

— Jestem Max Gruber, profesor języka niemieckiego w Uniwersytecie Lessinga.

Plagowscy poruszyli się na to niepomiernie zdziwieni, ale profesor ich uspokoił:

— Straszne moje nieszczęście — mówił — niech mi ułatwi drogę do waszego serca. I ja mam córeczkę jak wy i wyrwać ją muszę z rąk oprawcy. Podszedł mnie i sam mu ją w opiekę oddałem. Ale serce ojca nie ma we mnie spokoju. A odkąd wasze dziecko widzę, krwawy wyrzut w sumieniu czuję. Ja ją opuściłem. Ja ją mojemu prześladowcy oddałem. Temu potworowi, temu niegodziwcowi, moją drogą, moją anielską jedyną Małgosię!

— Odbierzesz mu ją i prędzej jak myślisz, ale opowiedz nam kto ten potwór.

— Nazywa się Von Kolnitz, jest synem cesarskiego marszałka dworu, właścicielem milionowej fortuny, a obecnie konsularnym radcą handlowym w Stanach Zjednoczonych z siedzibą chwilową w Milwaukee.

— Dlaczegoż właśnie w tem mieście?

— Poszedł tam za mną, a raczej po-

szedł za moją żoną. Dziewięć lat temu będzie jak ją poznał na balu Szlarafii w Berlinie. Moja Małgorzata była wówczas panną, a w młodem kole dziewcząt królewną z wdzięku, prostoty i ujmującej dobroci. Serce jej należało już do mnie i mój przyjaciel ówczesny Von Kolnitz wiedział o tem doskonale, ale gdy mu wpadła w oko, buta junkra wygnała z jego twardego serca pamięć o mojej przyjaźni, o długoletniem koleżeństwie, o obowiązkach honoru. Zaczął ją formalnie oblęgać, a jego obcesowość przejmowała grozą jej prawe serce. Przyspieszylibyśmy ślub, ale zdaje się, że go to jeszcze więcej rozdraźniło. Miał przytem na swoje usługi całą potęgę wpływów i moc pieniędzy. Na wszystko znalazł sposób, wszędzie nas dopadł, zawsze umiał moją Małgorzatę samą zaskoczyć i strasznie oboje cierpieliśmy, aż w końcu z rozpaczy rzuciłem świetne szanse, jakie miałem w Berlinie przy jego protekcyi i do Ameryki z żoną przed nim uciekłem.

— A on przybył za wami?

— I oczywiście także w celach rządo-

wej polityki. On o tem nie zapomina nigdy. Zawsze reperuje, umacnia i tu i ówdzie od fundamentu buduje pruski system . Chcę być szczerym z wami, choćbyście mieli mnie odepchnąć. Ta jego usilność poza obrębem spraw osobistych łączyła go ze mną. Tylko, że ja byłem i jestem więcej idealistą.

— A on jako żelazne kleszcze...

— Niewątpliwie. Co on ma w planie, to ma wnet przygotowane, opracowane i siły na zawołanie w stosownej chwili. Uderza i zwycięża. Jeżeli przegra nie upada, ale zbiera nowe zasoby i wali znów jak taranem w napotkane przeszkody. Jeszcze raz pokonany zaczyna pracę od dołu. Wiele poświęca, ale przeciwnika tak w końcu zmorduje, że się mimowoli zdaje na jego łaskę. I ja nieszczęsny tak uczyniłem. Dałem mu w moc własne dziecko. Uciekłem przed niewolą, a teraz jestem w najgorszej. Jego żelazne ręce dławią mnie!

— Kara Boska za nas. System, który miał nasz Naród duchowo zabić, zwraca się przeciw własnym braciom. Ten system cie-

bie od nich odciął. Teraz ty go dotknij w sam szpik i złam potężnego junkra.

— Chyba bym go zabił, ale kula moja zamiast w jego mózg, trafiła w serce mojej żony. O ja nieszczęśliwy!

— Córeczkę mu najprzód wydrzyj!

— Zrobię to. Czuję w sobie siłę teraz nadludzką. Zbudził się we mnie ojciec.

— A jak tego dokonasz dla jej szczęścia, tak dla dobra niemieckiego narodu, niszcz potem i druzgotaj system pruski. Z żelaznych kleszczów ratuj twój lud i całą ludzkość.

— Bywajże, idę!

— Jakże się przedostaniesz?

— Pięściami mury porozwalam, z piekła nawet dziecko moje wyrwę...

— To są słowa szalone, a ty musisz mieć krew zimną. Czy nie wiesz, że Von Kolnitz ma i tu w tym kraju wolności swoją małą armię? Czy nie pamiętasz, że jej trzeba ujść? Miałem i ja w Prusach rachunek do załatwienia z pewnym landratem, który kazał dzieci nasze katować za modlitwę w

języku ojczystym. Poszedłem doń w dniu odjazdu mojego do Ameryki i zaskoczyłem go w gronie kumpanów. Zapewniam cię, że nietylko szklanki i talerze na ich stole moją sękatą potłukłem, ale każde uderzenie polskiego dziecka na ich gębach odrachowałem. Potem zamknąłem przerażone łatałajstwo na klucz, poskoczyłem do jednego ze znajomych, przebrałem się co prędzej za żebraka i pieszo wywędrowałem na zawsze. Żona z dzieckiem czekała już w Bremen.

— Więc i mnie chcesz tak przebrać.

— Musisz się zmienić do niepoznania, jeżeli chcesz go podejść...

W godzinę potem niepokaźny jakiś robotnik, jakich wiele przejeżdża na sezonowe roboty, z czarnemi rękami i osmoloną twarzą zakupił na najbliższej stacyi kolejowej bilet do Chicago.

Gdy wsiadł z fajeczką w przedziale dla palących, wyglądał jak całe szare jego otoczenie. Uczonego profesora niktby w nim nie rozpoznał.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Wśród Nędzarzy.

— Hej ciotko, a gdzie to tak spieszycie? — wołał policyant do tęgiej niewiasty z męskimi ruchami, która podtrzymując niemal do kolan suknię, z pośpiechem z kamienia na kamień przechodziła główną ulicę ubogiego "zabłocia".

Od czasu do czasu noga jej zapadała w błoto i wówczas klęła niemiłosiernie, jak w tej chwili, gdy ją zagadnął stójkowy.

Stróż bezpieczeństwa publicznego ważył u niej więcej, aniżeli najlepsza gazeta, gdyż był on zbiornikiem plotek lokalnych, więc się kobieta na jego wołanie od klątew swoich i od błota tak spiesznie odwróciła, że zachwiała się i sama w błoto runęła. Policyant był już przy niej i podnosił ją co żywo, wołając:

— Ależ ciotko Remler, Pan Bóg was stworzył jako fortecę, a wy jak na szczudłach chodzicie...

— A czy to należało wam w ucho mi krzyczeć — broniła się pani Remler, która dla swej ruchliwości w okręgu cieszyła się popularnem mianem ciotki — Mogliście po ludzku pozdrowić, a byłabym uszła wypadku...

— Cóż za wypadek — śmiał się policyant — wasze pruskie kolana rozgruchotały parę Milwauckich kamieni...

— Bodajże cię, jeszcze kpisz ze starej...

— Wam do starości dalej, jak mnie do generała...

— A licho was wie, czy nie będziecie jeszcze generałem. W Berlinie to ani na was pies hauknął, a tu już jest z was wielki policyant Elm.

— Nie łżyj ciotko. Z Berlina mnie przedstawili i nominowali...

— Von Kolnitz wszystkiem cię zrobił. On posłał cię do mnie.

— Do Remlera, nie do was...

— A Remler bezemnie co?

— Prawda, on gemajner, a wy pon kaprol!

—Koniec końców, przez nas wszedłeś między ludzi...

—Powiedz ciotko między nędzarzy, między polsko - czeskie i niemiecko - ruskie biedactwo, między wszy wasze...

— Ta... ta... ta... nie wymyślaj mój Elm, gdyż wśród uczonych i dostatnich byłbyś szczezł, a tu wśród naszego "zabłocia" jesteś jako duża żaba, co pochłania mniejsze pełzające gady...

— Przynajmniej to dobrze, że jako ropucha przyznajecie się do mojego kuzynostwa.

— Nie bądź niewdzięczny Elm, pokłóciłam ja Polaków, pokłóciłam Czechów i Rusków, a tutejszych Niemców spiknęłam w jedno i dostaliśmy komitymana, a ty przez to job...

— Zawsze mówię niech żyje Von Kolnitz i wy ciotko - Remler. I właśnie dlatego was wołałem...

— Jest ta co nowego?

— Słyszeliście, że zaginęła córka Grubera...

—Jakżebym nie słyszała? Przecież to ja miałam ją mieć w garści...

— Von Kolnitz podejrzywa, że ona tu jest...

— Jeżeli gdzie jest, to jeden Piter wie, nikt inny, a ja od niego jak od cholery uciekam, to impertynent i żmija. Kąsa jak gad!

— Czy wy jednak nie wiecie, co się robi z gadem jak kąsa?

— Gada się zabije, ale nie człowieka, czy i ja mam być zbójem, jak wy wszyscy...

— Ach pocóż zaraz zabijać, kiedy tu w Ameryce można najniewinniejszych zamknąć!

— Powiedziałam, że Elm będzie jeszcze generałem...

— Teraz słuchajcie! Von Kolnitz chce wogóle tego chłopaka od świata odciąć, a wam dopomódz...

— No proszę, chłopca wezmą, a mnie zapłacą. I jakże to?

Wchodzili właśnie do izby Remlerów, gdzie zasiedli przy stole w ciężkiej atmosferze limburskiego sera i kwaszonej kapusty...

Ciotka Remler wyjęła z szafy butelkę piwa, a gdy obydwoje z niej podpili, Elm tak mówił:

— Von Kolnitz dał mi tych 10 złotych pięciodolarówek, popatrzcie tylko, że złote i prawdziwe...

To mówiąc rozsypał je na stole, a ciotka Remler garnęła je do siebie z wielką zachłannością...

— I to dla mnie? — pytała skwapliwie.

— Dwa dla mnie — odparł Elm — pięć dla was zaraz, a trzy potem...

— Kiedy?...

— Zaprzysiągniecie warant, że Piotruś zakradł się do was i te trzy złote pięciodolarówki wam ukradł. Ja pójdę z tym warantem do niego na rewizyę i niby je znajdę. Potem oczywiście wam monety oddam. Czy rozumiecie?

— Tak, bardzo rozumię, że się ubieram zaraz w moje atłasy i marsz do sądu. Już ja mu pokażę! Pan Piter ze swoją psią gębą pójdzie do dziury...

— Nie koniec na tem. Trzeba wydobyć z niego wszystko o Małgosi.

— Twój łotrowski mózg pewnie już to obmyślił.

— A to już u was ciotko gleba taka, że choćby człowiek nie chciał, złe ma na myśli...

— Albo to nie byłeś już w Berlinie bandytą. Przecież nie uciekałeś ztamtąd dla miłości "zabłócia"?

— Przy was racya ciotko jeżeli idzie o to, żeśmy się udali jako para łotrzyków. Hę?

— Więc co?

— Jak go zaaresztuję tego Piotrusia, to go tu przywlokę na wizyę lokalną i tu go oboje bić będziemy, aż nam powie prawdę o Małgosi...

Ciotka Remler aż się zatrzęsła z dzikiej radości.

— Za to, że mnie potrącił i jeszcze skarżył o pobicie dziatwy u sąsiadów w zaprzeszły czwartek, ja mu teraz skórę porozdzieram i papryki mu w rany wsypię. Niech cierpi.

— I niech nam powie wszystko o tej

Małgosi... Von Kolnitz osobno i dobrze to wynagrodzi.

Ciotka Remler była już ubrana i poszli oboje zaprzysiądz warant...

W tym samym czasie do mieszkania Piotrusia Porębskiego, jego matki i siostry zapukał ubogi podróżny.

Piotruś otworzywszy drzwi, już go do izby zapraszał, kiedy go tenże nagle za rękę silnie ujął i do siebie pociągnął.

Chłopiec chciał krzyknąć, ale padł mu w oczy rzewny wzrok podróżnego i oniemiał.

Przed nim stał profesor Gruber.

— Zdziwiłeś się, żem wrócił — rzekł doń — ale za nią przyszedłem, za moją jedyną Małgosią. Temu rozbójnikowi jej nie zostawię.

— Jej nie ma Von Kolnitz. Małgosia u nas.

— Jakże to?

— Wykradłem ją, zanim się opatrzył.

— Gdzie jest?

Piotruś drzwi do izby na oścież otworzył, a w blasku dziennym, jako czysty promień słoneczny z kolan pani Porębskiej spadła ojcu w ramiona jego ukochana jedynaczka.

Przytuliła się do niego jak ptaszę, kiedy odnajdzie gniazdko swoje, a on całował ją przez łzy i patrzał raz po raz w jej niebieskie oczęta i nie mógł się dość jej napatrzeć i nią nacieszyć.

Naraz dziewczynka ujęła twarz ojca w drobne dłonie, spojrzała mu woczy i zawołała:

— Chodźmy teraz do mamy!

— Przecież wiesz, że ona u Boga — odezwał się na to Piotruś, podczas gdy ojciec na wspomnienie żony z okropnym walczył bólem.

— Tak, dusza jej w niebie, — odparła dziewczynka — ale ciało jej tam na dywanie leży we krwi, idźmy do niej i pochowajmy!

— Już i to zrobione — jęknął ojcioc.

— Tyżeś to uczynił, tyś sam jej grób wykopał i dlatego tak się przebrałeś? Cze-

mu nie mogłam tobie dopomódz? Przecież jestem dość silna!

— Na drugą wiosnę będziemy razem na jej grobie sadzić kwiaty.

— Czemuż nie teraz? Dlaczego nie dziś?

— Nie pora Małgosiu!

Z żywością dziecinną po chwili znowu dziewczę zagadnęło.

— Tatusiu, ale ten Von Kolnitz tu nie przyjdzie?

— Przecież ci dawał cukierki? — odparł ojciec, aby dojść jej myśli.

— Nie chcę jego i nie chcę jego cukierków. On zabił moją mamę!

— Co znów mówisz?

— Widziałam tatusiu tego wieczora jak tatuś wyjechał, jak on mamę szarpał, jak na nią krzyczał i jak moja biedna mama płakała i prosiła go, aby się zmiłował.

— Nędznik — syknął Gruber.

— Tatusiu, niech Von Kolnitz tu nie przychodzi...

— Dobrze.

— Albo nie, to pojedźmy ztąd wszyscy troje, tatuś, ja i Piotruś...

— A mnie to zostawisz? — zapytała Porębska.

Małgosia pobiegła do niej, zarzuciła jej ręce na szyję i zawołała:

—O, ciebie bym także wzięła, ale ty masz córkę i musisz jej strzedz. Czy chcesz, aby była równie samą, jak ja, gdy mnie zabrał Piotruś od mojej biednej mamy?

Pani Porębska nie miała czasu odpowiedzieć, gdyż drzwi popchnięte jakąś silną ręką z zewnątrz otworzyły się i stanęli w nich naraz policyant Elm i Pani Remler.

Oboje zobaczywszy Piotrusia, skierowali się ku niemu.

— Oto ten gagatek, co mnie okradł — krzyczała ciotka Remler — patrzcie no państwo, jaką to on ma w dodatku niewinną minę. Złodziej przebrany za baranka.

W Piotrusiu krew się zagotowała, ale zanim zdobył się na odpowiedź, Małgosia zeskoczywszy z kolan pani Porębskiej, ustawiła się przed nim z rozpostartemi ramionami.

— To jest mój Piotruś, dobry, kochany Piotruś — odezwała się z dziecinną gorącością uczuć — i ty nie mów na niego złych słów. On tobie nic nie wziął!

— Pięciodolarówki złote mi wziął!

—To nieprawda, on tu był z nami i nie mógł być u ciebie. On by tego nie zrobił. On ich nie potrzebuje. My nie chcemy twoich pięciodolarówek.

— Popatrzcie państwo jak je zręcznie schował — zawołał naraz Elm, który położył się niemal na ziemi, poszukując niby pilnie pod ścianą przy łóżku — oto aż trzy sztuki.

Ale gdy tych słów domawiał, Gruber mu na kark wskoczył i do ziemi twarz mu przycisnął, że aż Elm z bólu ryknął.

— Podrzuciłeś nędzniku! — krzyknął profesor — dobrze to widziałem, piękny z ciebie stróż prawa.

Teraz ciotka Remler przyglądnąwszy się lepiej Gruberowi rozpoznała go...

— A więc to tak, to pan tu?

Piotruś nie dał jej dokończyć.

Odwróconą tyłem ujął za kark, pchnął do bedromu, drzwi za kobietą zatrzasnął i zamknął na klucz.

— Trzymaj go! — rzucił równocześnie profesorowi, mając na myśli Elma.

Sam zwrócił się do matki i wystraszonej Małgosi i szepnął im słów kilka.

Zaczęły się zaraz ubierać do drogi, podczas gdy on sam wziąwszy powrozy używane do rozwieszania bielizny, skrępował przy pomocy Grubera Elma i usta mu chustą zamknął.

Wszystko to trwało bardzo krótko, ale wśród ogromnego wrzasku i walenia w drzwi silnej ciotki Remler, której gęba była jeszcze przeraźliwsza, jak trąba jerychońska.

Piotruś skinął więc na Grubera.

— Weźmy się teraz do niej — rzekł.

Ale gdy tylko drzwi otworzyli, baba wystraszona i wściekła z gniewu, zaczęła regularną bójkę. Odebrał też Piotruś z profesorem dość guzów, zanim zdołali i ją skrępować i zakneblować.

Jeszcze i wówczas rzucała się jak pis-

korz, atoli odpowiadał już jej tylko głuchy jęk Elma, którego ciężarem swoim mimowoli potrącała.

Oboje byli teraz przy sobie w bedromie, starannie na klucz zamkniętym i nikt już przygłuszonego ich jęku ztamtąd usłyszeć nie mógł.

Piotruś wybiegł na ulicę, ale go tylko jedna z przechodzących niewiast zapytała:

— A co to u was taki był hałas?

— Matka mnie wyszturchała — odparł rezolutnie chłopak — ale nikomu nic do tego.

— A jeżeli matka, toć miała prawo! — rzekła niewiasta i odeszła kiwając głową jakby w przytakiwaniu surowości matczynej.

Tymczasem Piotruś poszedł do modniarki, u której pracowała i wrócił z nią do domu, tłumacząc po drodze półgębkiem ważne zdarzenie dnia tego.

W domu odbyli wszyscy krótką naradę z Gruberem i wynikło z niej, że profesor wyszedł jak był przyszedł i w swojem przebraniu podążył sam do Pawulskich. Panna Po-

rębska zaułkami przyprowadziła w tym czasie Małgosię na stacyę kolejową i zawiozła ją do nich również. Mieli ją tam spotkać z Piotrusiem i postanowić, jak się dalej obrócić i przed pogonią zabezpieczyć.

Pani Porębska poszła do jednego z polskich aldermanów, aby u niego szukać opieki.

Piotruś zaś wziął na siebie misyę ogromnie trudną, aby z mieszkania Gruberów wydobyć ważne papiery profesora tudzież przechowane tam pieniądze i nieco z garderoby Małgosi i miał do dnia podążyć z tem również do Pawulskich.

Do policyi miejscowej pocztą zwyczajną wysłano taki list:

"Panie kapitanie. Dałeś się przekupić pruskiemu radcy handlowemu Von Kolnitz i namówiłeś panią Remler, żonę Jacka Remlera, aby zaprzysięgła fałszywie, że ją okradł najniewinniejszy Piotruś Porębski. Ale prawda wyszła na wierzch i gdyśmy chcieli tym podstępem ująć chłopaka i zadość uczynić naszemu chlebodawcy panu radcy Von Kolnitz'owi, uczciwi ludzie nas

ujęli, związali i polecili nam prosić pana kapitana, abyś nas ukarał i łajdactw oduczył.

Policyant Eim i ciotka Remler".

List ten przyszedł do władzy przynażnej nazajutrz około 9tej i dołączono go do aktów śledztwa przeciw Elmowi o opuszczenie posterunku i ucieczkę, względnie tajemnicze zniknięcie.

Zaraz poszła na miejsce wypadku do mieszkania Porębskich komisya i znalazła istotnie Elma i ciotkę Remler w pozycyi strasznie ciasnej i umęczonych niepokojem, czekaniem i głodem.

Stawił się także zaproszony najuprzejmiej pan radca Von Kolnitz i odbył z panem kapitanem długą naradę.

Po tej to naradzie dostał Elm od pana radcy jeszcze trzy pięciodolarówki, a ciotka Remler całych pięćdziesiąt dolarów.

Śledztwo przeciw Elmowi zmieniło się, zarazem w śledztwo przeciw z miejsca pobytu nieznanym profesorowi Maxowi Gruberowi i Piotrowi Porębskiemu.

— Już my ich dostaniemy!— zapewniał kapitana pan Von Kolnitz, zabierając go w

swoim automobilu do mieszkania Gruberów, aby rozpatrzeć się tam w pozostałej spuściźnie.

— Remler pozostawiony był tam na straży wszelakiego dobra i miał surowy nakaz ani na krok się nie ruszać i spać w dawnym gabinecie profesora.

Atoli sumienie Remlera jeszcze od czasu doświadczeń europejskich było ogromnie czułe na wszelkie stosunki z nieboszczykami i z ich duchami. Dlatego też Remler przeniósł sofkę do przedpokoju, upił się do nieprzytomności i legł przy sofce na podłodze w stanie tak bardzo tragicznym, że nawet ani duch żaden z tamtego świata nie miał ochoty i mocy do jakichkolwiek z nim konferencyi.

Von Kolnitz i pan kapitan policyi musieli go kilkakrotnie i bardzo porządnie kopnąć i wylać ponadto na jego łeb spory kubeł lodowej wody, aby go nareszcie rozbudzić.

Zanim jednak sam się rozejrzał i swemu panu lejtnantowi zdał sprawę ze swojej

duchowej nieprzytomności, tenże odpiął z jego piersi następującą kartkę:

"Dziękuję ci, kochany Remler, żeś się raczył stoczyć do rzędu zwyczajnych świń pruskich, których godnym komendantem jest twój Von Kolnitz. Dzięki twojej tak wzorowej służbistości zdołałem spakować wszystkie papiery mojego byłego profesora Grubera, całą korespondencyę jego żony i osobną kasetę z listami i dokumentami twojego Von Kolnitza. Jeżeli chcesz je mieć z powrotem, niech pisze na Berdyczów. Najspokojniej wynoszę kufer przez frontowe drzwi, albowiem także i ów policyant, który miał czuwać u wejścia, gra najspokojniej w karty w salunie. Ciebie zaś budzić nie chciałem. Niech to uczyni twój Von Kolnitz. Kłaniaj się twojej żonie i pożegnaj ją raz jeszcze odemnie. Twój Piotruś".

Von Kolnitz zbladł jak chusta, gdy to przeczytał.

— Te Polaki — rzekł do kapitana — to już od młodu takie sprytne, że nawet nas doświadczonych wyprowadzają w pole.

— I nie można nimi owładnąć.

— Trzeba ich tem dalej trzymać od władzy. Wy ajrysze macie z nami jeden i ten sam interes.

— Mają oni jednak coraz więcej wyborców i ztąd liczą się z nimi politycy. Ja takiej np. Porębskiej aresztować nie mogę. Aldermani polscy przerzuciliby zaraz radę miejską do góry nogami.

— Przyjm pan system pruski. Gazem nieustannych udręczeń zatruwaj takim życie i zmuszaj ich do ucieczki.

— A czemużeście tego nie przeprowadzili w Prusach.

— Tam, to jakby ich dusza w ziemi siedziała. Polaków z polskiej ziemi nic nie wydostanie.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W niewoli meksykańskiej.

Zalajas dawał bal.

Było to w Vera Cruz wypadkiem dnia, albowiem Zalajas był wprawdzie ogromnie bogaty, ale był także niesłychanie skąpy.

Córka jego Lina uparła się jednak, a Lina miała głos decydujący w jego domu.

Była mu ona po zmarłej jego niedawno żonie najdroższą, gdyż była jej najwierniejszym portretem, tylko, że zamiast ponurych ram ubóstwa z czasu jego ożenienia się, miał ten portret teraz złote ramy z jego dorobku.

Atoli i bez tych ram Lina miała w sobie samej dużo siły pociągającej. Czarny węgiel meksykański był w jej brylantowych przenikliwych oczach, w hebanowych jej włosach i przebijał się w delikatnej oliwkowej jej płci. Temperament żywy i gorący

miarkowała wrodzona jej dobroć, atoli była w niej także dziwna stanowczość, którą usprawiedliwiał ojciec jedynie tem, że to był spadek po nim.

Zalajas był pastuchem za czasów prezydentury Diaza, ale brał udział w kilku partyzantkach i jak utrzymywali jego wrogowie, obłowił się sporo w całym szeregu rozbójniczych awantur. Drzewo na szubienicę dla niego było już nawet ścięte i zwiezione, ale w ostatniej niemal chwili łzy jego późniejszej żony wyjednały mu łaskę starego Diaza i otworzyły mu drogę do bliższych z nim relacyi.

Wkręciwszy się raz do przedpokoju możnych z lisim sprytem i kocią zwinnością, wdzierał się na coraz wyższe szczeble i dobił się w końcu teki ministeryalnej.

Na jakiś czas przed wybuchem rewolucyi przeciw Diazowi usunął się jednak w ściśle prywatne życie na łonie rodziny, złożonej z żony i córki Liny. Długo jednak krążyły wieści, że Zalajas działał w potajemnem porozumieniu z wrogami Diaza i przez

to uratował swój majątek od konfiskaty, a szyję swą od powrozu.

W tymże czasie umarła mu żona i to było jednym powodem więcej, że deskami zabił wspaniały swój pałac w stolicy Meksyku i przewiózł się do Vera Cruz.

Tu został od razu ogromną i wpływową figurą i łączony był nieustannie z wypadkami w Meksyku.

Żył jednak w dużym domu dość samotnie i bardzo skromnie. Nie pozwalał sobie na żadne zbytki i jak złośliwi głosili miliony zbijał.

Jedynie dla córki Liny nie szczędził nigdy nic i dla niej wyprawiał wreszcie pierwszy wielki bal w swojej rezydencyi.

Zaproszenie Jego Ekscelencyi byłego ministra Zalajasa było każdemu pożądane, gdyż była to sposobność otrzeć się o dyplomatów, bankierów, dygnitarzy świeckich i wojskowych.

W gruncie rzeczy wszystkie zaproszenia i przygotowania do balu, zostawały pod wyłączną komendą córki jego Liny i jej przyjaciółki Margerity Merz.

Margerita o dziesięć lat młodszą była od Liny i całkiem odmiennego typu. Delikatna jej płeć z lilii i mleka miała aureolę prześlicznych blond włosów do koła nadobnie uformowanej głowy. Ciemno niebieskie słoneczne oczy cudownie przytem ubierały szlachetny profil jej twarzy. Malowała się na niej błyskami purpury wrażliwość uczuć, a półcieniem tęsknoty i smutku, jakaś głęboka tajemna myśl.

Obydwie dziewice były w każdym razie niezwykłą parą, która już w kontraście wdzięków i przymiotów, tworzyła niezrównany czar.

Któżby nie przyjął zaproszenia na bal pod taką komendą?

Lina przewróciła cały dom do góry nogami. Najlepsi dekoratorzy pracowali przez dziesięć dni nad urządzeniem sali głównej i bocznych salonów. Kwiaty i snopy elektrycznego światła złożyły się przytem na niezwykłą wspaniałość.

Stary Zalajas strasznie jęczał podpisując czeki, ale ostatecznie tuż przed balem

był zadowolony ogromnie z przygotowań i całując córkę w czoło, rzekł do niej:

— Nie przypuszczałem, że tak pięknie to urządzisz!

— Dobry gust Margerity ogromnie mi dopomógł — odparła Lina.

— Tylko proszę cię, niech mi ona nie burmistrzuje tu ze swoim ojcem. Nie chcę, najdroższa, naszemi pieniędzmi innym drogi torować.

— Brzydki zazdrośniku! — zawołała Lina z wielkiem przymileniem — czyż nie wiesz ile zawdzięczam jej ojcu?

— Wykształcił cię co prawda, ale ja mu za to zapłaciłem...

—Ale on taki niezrównany...

— Profesor i nic więcej i to jeszcze jaki tam profesor. Żeby choć był profesorem uniwersytetu, ale taki jak on "prywatny", to nie. Nie zapominaj, że jesteś córką ministra...

—Ach wiem o tem, Jego Ekscelencyo panie Zalajas.

— A, czy to źle brzmi?

— A "profesorowa Lina Merz", czy to może źle brzmi?

Zalajas zerwał się z fotelu.

— Ani nawet tego nie mów głośno, moja córka nie może być żoną ubogiego niemieckiego nauczyciela.

— Ale to taki piękny człowiek. Czy papa widział jak on odbija od naszych meksykańskich pastuchów?

To ostatnie słowo bardzo ubodło Zalajasa, więc rzekł z gniewem już niemal:

— Lepiej, żebyś wyszła za naszego bogatego pastucha, aniżeli za tego niemieckiego dziada. A przytem to stary grzyb! Jego córka mnie już przerasta.

Znając atoli upór córki, Zalajas zaczął sprawę wnet z innej strony.

— Lino, mój promieniu słoneczny... — rzekł pieszczotliwie — ja tobie widzisz niczego nie odmawiam, gdyż kocham cię nad życie, ale czy to sprawiedliwie, aby Margerita Merz wydzierała mojej jedynaczce najlepszą partyę w sezonie.

— Och to stara piosnka z tym Herma-

nem Geslerem. Przecież to fanfaronik i nic więcej. Przytem młodszy odemnie.

— Cicho, nikt twojej metryki nie widział.

— Ale najważniejsze ojcze, że ja do niego nie mam wcale sympatyi...

— A dla kogo ty masz sympatyę? każdą dobrą partyę odrzucasz.

— Bo mi przedstawiasz stuletnich ministrów Diaza lub dziatwę z Europy.

Zalajas się zachmurzył, ale go córka ujęła za szyję, ucałowała i rzekła:

— Jeśli to mój bal, niech mi ojciec myśli nie chmurzy, przecież się dziś nie zaręczam. No, niech się ojciec uśmiechnie!

Tuliła go do siebie i głaskała, aż całkiem udobruchała.

Rozśmiał się w końcu Zalajas i wyglądał jak księżyc w pełni.

Rozmaici dygnitarze już się schodzili i wnet otoczyli go kołem.

Córka odeszła na przywitanie Merzów, gdyż ich odrazu dostrzegła w świetnym tłumie gości u drzwi wchodowych.

Profesor Max Merz wyglądał istotnie imponująco. W twarzy miał delikatny, choć nieco ostrzejszy profil Margerity, a w niebieskich oczach poważną zadumę. Ruchy jego odznaczały europejskiego arystokratę, a cały wygląd przedstawiał jeszcze młodego stosunkowo człowieka, z silną energią i rycerskiem zacięciem. Przy meksykańskich wołach, poprzebieranych w złociste mundury, musiał podobać się kobiecie o szlachetniejszych porywach.

Lina przywitała się z nim i z jego córką bardzo serdecznie, atoli z rezerwą dobrze ułożonej gosposi, przestrzegającej miary nawet z przyjaciółmi.

Margericie towarzyszył Herman Gesler, więc obojgu z lekka pogroziła palcem i szepnęła przytem przyjaciółce:

— Trzymajcie się tylko zdala od mego ojca, aby mu nie psuć humoru.

— Czy pani buntuje Margeritę przeciw mnie? — zapytał z uśmiechem Herman.

— Musisz się pan tak urządzić, aby bunt nie mógł poskutkować. Musisz się mieć wogóle więcej na baczności.

—Oho!

—Mój panie, jesteśmy w Meksyku, a nie w Europie i rewolucye u nas na porządku dziennym.

— A ja na tę rewolucyę nic bym nie poradziła? — zagadnęła Margerita.

— O jeśli o ciebie idzie, to w twoich rękach zwycięstwo...

Zaśmieli się wszyscy serdecznie i rozeszli.

Lina została sam na sam z profesorem Merzem i dała mu znak wzrokiem, aby poszedł z nią do sąsiedniej sali.

Oboje stanęli tam wśród wspaniałości pięknych palm i spojrzeli na siebie ze smutnem przygnębieniem.

— Nie pochwalisz mnie nawet profesorze — odezwała się Lina — a ja tyle przezwyciężyłam trudności, aby ten bal się powiódł.

— I to istotnie wspaniale, towarzystwo świetne! Ale czy potrzebnym był ten trud?

— To dla Margerity i dla ciebie profesorze!

— Dla nas?

— Dla szczęścia Margerity i dla twego powodzenia profesorze trzeba było przełamoć niechęć towarzystwa.

— Przeciw nam?

— Przeciw ludziom nowym, którzy muszą żyć z towarzystwem, do jakiego ich los przerzuca.

— A czy to prowadzi do szczęścia?

— Usuwa poniekąd przeszkody, które je oddalają.

— Jesteś pani dziwnie szlachetną...

— Powiedz raczej profesorze: wierną.

— W przyjaźni zaiste niezrównaną.

— Czy tylko w przyjaźni?

— Są okoliczności, wśród których marzyć trudno o czemś więcej.

— Miłość mój panie nie marzy, ale słabość każdą i trudność każdą łamie.

— Ale czy można złamać sam los, który idzie za nami nieubłagany, despotyczny, twardy...

— Sądzę, że nie należy myśleć o dawnych niepowodzeniach, a nową drogę trzeba budować całkiem na nowo...

— A jeśli nie można odrobić, co tkwi

nieubłaganego w przeszłości, jeśli to ściga nas i towarzyszy wszystkim nowym wysiłkom naszym...

— To trzeba zerwać odważnie z wszystkiem, co wpływ tej przeszłości podtrzymuje i ugruntować szczęście na nowych podstawach.

— Oh, łatwo to mówić, ale czy zgodziłaby się pani porzucić ojca i dostatek, a przytem wszystkiem stosunki i długoletnie nawyknienia, aby pójść w los dziwny nowego życia....

— Z człowiekiem ukochanym: tak!

Przy tych słowach uścisnęła mu dłoń tak serdecznie, że chyba nie mógł nie odczuć gorącej prawdy w jej słowach.

Zdawało mu się na chwilę, że usuwają się z przed jego oczu świetności balu i wspaniały orszak gości i staje przed niemi w blasku niezwykłej dobroci, anioł żywy i z wyciągniętemi ramionami przyzywa go do siebie.

Profesor Merz już chwiał się i padał na kolana przed tym aniołem, ale zaraz jakaś

myśl straszna przebiegła mu przez mózg i dziwnym żalem przejęła mu serce.

Przymuszając się do spokoju, rzekł do Liny:

— Pozwól pani, że pójdę przywitać jej ojca!

Z widocznem rozczarowaniem cofnęła na to Lina wyciągniętą już do niego swą rękę i zawołała:

— Czy i wasz Schiller był takim formalistą jak pan?

Profesor Merz pochylił głowę i oddychał ciężko.

— Miej pani litość nademną — wyszepnął — może kiedyś pani mnie zrozumie.

— Byłoby dla nas obojga i dla twojej córki lepiej, gdybyś był ze mną całkiem otwarty.

— Może wnet przełamię się sam w sobie. Wtedy wypowiem wszystko i odsłonię wszystko i będziesz czytać sama, ile hołdu i uwielbienia mam dla Pani.

— A przecież odpychasz mnie!

— Nie chcę jedynie sam zgasić słońca,

którego promienie podtrzymują mnie przy życiu...

— Max, te promienie na zawsze twoje, one płoną tylko dla ciebie...

— Lino!

— W poruszającej tej chwili zjawił się przy nich Zalajas z generalnym konsulem pruskim Geslerem.

— Profesor Merz — rzekł Zalajas — zawsze, jak widzę, w todze prelegenta i tak moją pannę zajął, że zapomniała o innych gościach.

— Nie zapomniałam ojcze i oto właśnie spieszę na salę odtańczyć kontradansa z twoim i naszym wspólnym, drogim przyjacielem, profesorem Merzem!

To mówiąc, podała ramię Merzowi, który z uprzedzającem ugrzecznieniem, poprowadził ją do tańca, podczas gdy Zalajas zacisnąwszy zęby, ledwo, że się mógł powstrzymać od wybuchu gniewu.

— Polityka dzieci — odezwał się do Geslera — druzgocze rozumne plany nas starych.

— Czy zawsze?

— Myślę teraz jedynie o sprawach moich rodzinnych.

— Przecież jesteś Ekscelencyo najszczęśliwszym ojcem. Twoja córka, to piękność i dobroć w jednem przecudownem stworzeniu!

Zalajas uczuł się mile połechtanym i odparł:

— Czy nie sądzisz pan, że taki brylant, jak o niej mówisz, powinien się dostać w ręce jakiejś pierwszorzędnej, dobrej rodziny...

— A wszakże masz tu Ekscelencyo zgromadzenie najlepszych...

— Zawsze o to dbałem w odniesieniu do mojej córki, ale ona przez swą szlachetność, lgnie niekiedy do ubóstwa.

— To dobry rys charakteru!

— Ale gdy to może powikłać jej szczęście?

— Oh, nie sądzę Ekscelecyo, w chwili stanowczej weźmie ona zawsze twoje racye pod uwagę...

Ta myśl uspokoiła Zalajasa.

— Masz racyę panie konsulu.

Gesler go wnet opuścił, aby po chwili zaczepić profesora Merza, który po odtańczeniu kontradansa z Liną, stał na boku w smutnem zamyśleniu.

— Jak tam z tobą, profesorze Gruber — odezwał się doń·

— Moje nazwisko Merz — odparł z naciskiem zagadnięty.

— Ale nie dla mnie i nie dla tych, co znają akta pewnych spraw dawniejszych.

— Czy wypowiadasz mi pan w ten sposób przyjaźń?

— Jedynie ostrzegam!

— Przed czem?

— Abyś na lodzie nie budował pałaców! Przebacz otwartość i nie bierz tego za złe!

Merz nic nie odpowiedział, a nowi goście wnet ich rozdzielili.

Krótka rozmowa z konsulem ogromnie dotknęła profesora.

Szczęście, które mu tak ofiarnie niosła Lina, a które on sam odpychał w niepewności przed okropnymi skutkami pewnych

odkryć z przed lat przeszło dziesięciu, stawało się istotnie być poważnie zagrożonem.

Zkąd atoli przyszło na myśl Geslerowi teraz właśnie wyjść z groźbą, której nie użył przez całe lata.

Czyżby Von Kolnitz wpadł na jego trop? a gdyby nawet tak było, czyliż tu w granicach obcego państwa, on już obecnie meksykański poddany, potrzebował obawiać się jeszcze Von Kolnitza?

Jedna tylko Lina mogła nim wstrząsnąć aż do szpiku kości i siłę jego wszelką na zawsze zdruzgotać, gdyby go odstąpiła i rzuciła bezbronnego na pastwę języków.

Ale Lina nie była chyba "fundamentem z lodu", ona go kochała tą płomienną miłością, która żyje tylko w gorących sercach meksykanek, pojmujących uczucia, jako płomień potężny, który coraz rośnie i wzmaga się i całem jestestwem władnie, aż dopóki zupełnie nie zagaśnie.

Merz czuł, że mógł rachować na Linę i po rozmowie dorywczej z konsulem, postanowił się zwierzyć przed nią z przejść swoich.

Powiedział sobie zarazem, że nie uczyni tego na tym balu, ale że owszem postara się ożywić Linę i ucieszyć tryumfem z powodzenia balu i tryumfem nad nim.

Zbliżała się właśnie do niego na ramieniu portugalskiego konsula, młodego markiza De Cardos, który się zaliczał do jej adoratorów, a miał za sobą rozległe stosunki, tytuł i majątek.

Lina słuchała właśnie jego wynurzeń i szukała sposobu, jakby się ich grzecznie pozbyć, gdy zobaczyła profesora. Zaraz ku niemu skierowała kroki i podając mu rękę, rzekła z uśmiechem do Markiza:

— Dzięki za twoją uprzejmość markizie. Innym razem będziesz miał we mnie lepszego spowiednika. Dzisiaj mam za wiele gości, a przed sobą właśnie jednego z tych, którzy są bohaterami wieczoru.

Markiz spojrzał z lekceważącem zdziwieniem.

— Czyżby szanowny profesor, — rzekł z ironią — zamienił pióro na szpikulec...

— Nie jestem kucharzem — odparł z

przesadnym ukłonem profesor — i nie piekę na rożnie portugalskich wieprzków.

— Albowiem świń najwięcej w Prusach, co jest powszechnie znanem na targach wszechświata.

— Ale i to jest znane w towarzystwie wszechświata — odezwała się teraz dobitnie Lina — że się nie atakuje nawet ubocznie najlepszych i najserdeczniejszych przyjaciół gospodyni domu.

— Profesorze — zawołał konsul — jesteś pomszczony przez boginię nas wszystkich. Mój respekt!

Z temi słowy oddalił się De Cardos w stronę Geslera, a Merz ująwszy rękę Liny, dziękował jej za dobre słowo.

— Wyrzucam sobie przytem — dodał — żem przed małą chwilą nie odpowiedział na jej drogą mi przyjaźń, jakbym powinien. Ale pewne rzeczy wymagają szczerego wyjaśnienia z mej strony i ja je pani dam niebawem. Teraz zapewniam tylko, że jesteś jedyną istotą, która ma hołd całej duszy i wszystkich uczuć moich.

Purpura okryła aż po białka oczu twarz

Liny, a oczy jej zaświeciły, jak dyamenty w blaskach słońca.

Była w tej chwili tak olśniewająco piękną, tak zachwycającą.

Merz uczuł, że nie mógł się oprzeć tak niezwykłej istocie i że już jest całkiem w niewoli meksykańskiej.

Aby pokryć obopólne pomieszanie, podał Linie ramię do walca i uniósł ją formalnie z poezyą prawdziwego uczucia, z werwą młodego kadeta, który ma szczęście tańczyć na balu dworskim z księżniczką.

Niezrównany ten taniec zwrócił powszechną uwagę na sali i wszyscy z zajęciem przyglądali się zgrabnym obrotom i harmonii walca, oddanego przez nadobną gosposię i jej rycerskiego partnera.

Z roziskrzonemi oczami, promienna własnem szczęściem przyglądała się temu tańcowi Margerita, a asystował jej młody Herman Gesler.

— Nie wiedziałem, że ojciec pani jest tak świetnym tancerzem — rzekł tenże.

— Oh, i pan tak musi tańczyć.

— Wprawię się, aby zdobyć pochwałę pani.

— I tańczyć będziemy razem na balu dworskim w Berlinie. Nieprawdaż?

— Pod jednym warunkiem?

— Pocóż zaraz warunki?

— Widzi pani, to system pruski. Zawsze podstawa musi być ugruntowana.

— Więc jaki warunek?

Gesler z miłością spojrzał w poczciwe, niebieskie oczy Margerity.

— A czyż pani się nie domyśla?

— Wcale nie liczę się do domyślnych. Jestem pruskiem dzieckiem i trzeba mi na system pruski wszystko wyłożyć.

Herman zaśmiał się wesoło.

— Przecież pani to rozumie, że oboje tak bez niczego nie możemy iść na bal dworski. Musimy...

Margerita palce swe różowe przyłożyła do jego ust.

— Jesteś pan nieznośnym i nie kończ.

— W takim razie nie możemy być razem na balu dworskim...

— Ja już znam pański warunek...

— Panno Margerito.

— Mój panie!

— Czy mogę marzyć o szczęściu.

— O migdałach niebieskich każdemu wolno marzyć...

— A o promieniu słonecznym, którym jesteś pani, gwiazda moja...

— Mój panie, gwiazda i promień słoneczny, to razem za wiele światła. Czy aby pan nie oślepniesz od tak ogromnego blasku?

— Nie Margerito, wcale nie!

— Mówisz "Margerito", a czyś to już pochował "pannę Margeritę", twoją jak powiedziałeś gwiazdę.

— W sercu to tak. Wszystkie tam uczucia panią obejmują i hołd pani składają wieczysty.

— Ej, Hermanie!

— Margerito!

— Zdaje się, że ty będziesz jak mój ojciec profesorem literatury, a nie ministrem handlu.

— Zrób mnie najpierw twoim ministrem, najdroższa!

— Pomówimy jeszcze o tem. Teraz nie traćmy czasu. Muzyka gra.

Herman podał jej ramię i poszli w wir tańca.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Cienie z dni słonecznych.

Parostatek "George Washington" pełnił już od lat służbę przewozową na linii Nowy York — Vera Cruz i niemal regularnie co trzy miesiące był przez kilka dni przynajmniej w Vera Cruz.

Przewoził on dostawy dla kupców meksykańskich, czasopisma i pocztę dla amerykanów i tajemnice polityczne przez agentów konsularnych, poprzebieranych często gęsto za pasażerów handlowych, a nieraz dla niepoznania i za służbę okrętową.

Od czasu, gdy Huerta opanował rządy w stolicy Meksyku, ruch ten tajemniczy pod flagą handlową Stanów Zjednoczonych, przybrał rozmiary regularnej wymiany dyspozycyi i planów w przedmiocie ułożenia wewnętrznych stosunków w Meksyku.

"George Washington" przewoził więc tajne instrukcye dla Linda, prezydencyonalnego wysłannika ze stolicy Stanów, dla

zwolenników Huerty, dla popleczników Madery od jego rodziny z Nowego Yorku, dla Carranzy od jego reprezentantów przy Białym Domu Washingtońskim i od ambasadorów: hiszpańskiego, francuskiego i niemieckiego z Washingtonu.

Niemiecka poczta była zazwyczaj ogromna, gdyż rząd pruski umiał doskonale wyzyskać konflikt urzędowego Meksyku ze Stany Zjednoczonymi i rozszerzał w całym Meksyku duże siecie niemieckiego ruchu handlowego.

Baron Von Kolnitz, który teraz był pierwszym radcą legacyjnym przy ambasadzie niemieckiej w Washingtonie, kierował odnośną maszyną z wielką zręcznością i z żelazną pruską konsekwencyą.

Niemiecki konsul generalny w Vera Cruz, Gesler, otrzymywał z każdym nowym wjazdem parostatku "George Washington" całe stosy instrukcyi i sekretnych zlezleceń i otrzymał je także kilka dni po balu u Ekscelencyi Zalajasa przez specyalnego kuryera.

Był nim Remler. Zmienił się on przez ostatnich lat dziesięć do niepoznania, ale nie zmienił w niczem swej wierności dla byłego swego pana lejtnanta, a obecnie pana barona Von Kolnitza. Jak żydzi przyjścia specyalnego żydowskiego Mesyasza, tak Remler oczekiwał nieustannie na dekret cesarski, przywracający mu rangę w kraju ojczystym, a tymczasem wysługiwał się wiernie swemu panu i dobrodziejowi.

O rodzinie Gruberów prawie, że zapomniał, gdyż po długich, daremnych poszukiwaniach, wszystkie urzędowe czynniki w Milwaukee i w Chicago, zwątpiły były wreszcie najzupełniej w możność odszukania zbiegów.

Jadąc atoli tym razem jako kuryer ambasady w Vera Cruz, natrafił Remler na twarz, która mu dziwnie odświeżyła w umyśle czasy tak dawne, a jednak okropnością wypadków wciskające się w pamięć na zawsze.

Oto w jednym z podróżnych rozpoznał Remler i to ponad wszelką wątpliwość, Pio-

trusia. Tenże zmienił się już obecnie wprawdzie w pana Piotra, ale nie taił się nawet z rodzinnem imieniem Porębski i nie zaparł się znajomości z Remlerem, gdy go tenże na chybił trafił, na pokładzie po imieniu zagadnął.

Gdy Remler zawołał dość nieśmiało:

— Piotruś! — zaraz silna młoda ręka zwaliła mu się na kark, a w uszy wpadł mu komplement:

— Naprawdę ten stary zbój tutaj!

Remler wcale się nie obraził, ale nie omieszkał wdać się w rozmowę z dawnym Piotrusiem i wnet dowiedział się, że ma do czynienia z oficerem kompanii przewozowej, który miał na parostatku władzę większą, aniżeli ma w Prusach pan kapral nad swoim oddziałem.

Remler nie doświadczył atoli żadnej innej nieprzyjemności od Piotrusia, prócz bardzo stanowczego upomnienia, aby się nie ważył go szpiegować i w drogę mu włazić, gdyż może być wrzucony żywcem w słynne trzęsawiska meksykańskie przy Ve-

ra Cruz i zsunąć się w ich błotnistej i cuchnącej fali aż na dno piekła.

Remler wierzył w to święcie, że Piotruś, który się uporał przed laty z jego babą i z Elmem, wpakuje go w istocie w czeluści piekielne, a że chciał za życia koniecznie raz jeszcze oglądać stary faterland, więc sobie przysięgał, że o swojem odkryciu nie piśnie nikomu, jak chyba ze względu na przysięgę służbową samemu baronowi Von Kolnitz.

Swoją drogą w jego pruskiej krwi taki tkwił wrodzony pociąg do szpiegostwa, że po wylądowaniu zaczaił się jak kot i poszedł noga za nogą za Piotrusiem, aby się dowiedzieć, jakie to on ma w Vera Cruz poparcie. Piotruś, który to przeczuwał, zaciągnął go w okolicę najodludniejszą do austeryi meksykańskich anarchistów i tam mu takie lanie sprawił, że Remler cały dzień lizać się musiał z odebranych cięgów.

W gorączce srogiego bólu wygadał się przytem Remler, że sam pan baron wybiera się do Vera Cruz, a może nawet do Meksyku z tajną misyą wysoce polityczną.

Wiadomość o tem zaniósł Piotruś do profesora Merza, którego dom regularnie za każdym przyjazdem parostatku odwiedzał.

Były to jedyne promienne godziny w jego smutnem życiu, gdyż chociaż się przy ogromnym wysiłku pracy dobił stopnia oficera w kompanii przewozowej, musiał starać się o utrzymanie staruszki matki i spłacać znaczny dług adwokatów, którzy dawną jego sprawę o pięciodolarówki Remlerowej, po całej formie wreszcie umorzyli i z listy spraw sądowych skreślili.

Był on w lepszej pozycyi, jak dawniej, ale był zawsze biedakiem i wiele także cierpiał pod względem uczuciowym.

Jego Małgosia przy jego własnych i ojca swego staraniach, zapomniała niemal zupełnie o bliższych szczegółach strasznych przejść w dzieciństwie, których nawet wówczas, gdy była dzieckiem i wypadków tych współaktorem, nie pojmowała.

Jej miłość dla Piotrusia z dni dziecinnych zamieniła się w sympatyę, która u-

szczupliła się okropnie przez parę lat jego przygotowawczej służby w marynarce i przez to, że wizyty jego stale się powtarzające były w gruncie rzeczy krótkie i nic w jej nowe życie interesującego nie wnosiły.

Dla niej był on miłym znajomym i to wszystko.

Obwiniał ją Piotruś w sercu o niewdzięczność, ale zdawało mu się jednak, że zdoła swą wiernością i wytrwałością w uczuciach, pozyskać jej serce napowrót.

Nie liczył się jednak z tem, że Małgosia żyła teraz w kołach przeważnie niemieckich i miała w swej wyobraźni zbyt wielki zapał dla pruskiej myśli kulturnej, aby mogła zrównać się z nim w poglądach i odczuć jego miłość dla Polski.

Piotruś zapomniał pod wpływem płomiennej swej miłości dla dawnej niezapomnianej Małgosi, że "jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem" — i łudził się teoryą o braterstwie ludów, o tych samych szlakach kultury zachodniej, o tych samych ideałach dziejowych.

Szeleństwo czerwonych w ich planie wieczystej wojny z caratem, dawało mu z ich platformy pociechę, że pójść trzeba będzie kiedyś z Niemcami na Newę, spalić Petersburg, zburzyć tron cara i fundament dla wolności całej słowiańszczyzny ufundować.

Małgosia rosła i coraz była cudowniejszą, coraz więcej ujmowała go za serce, coraz głębiej wdzierała się w jego duszę, więc i on wszystkie skrupuły odkładał na bok, wszystkie różnice przed samym sobą zakrywał i dzieło niemożliwe uważał za dokonane i przeprowadzone, gdy dwa bieguny w jeden w pragnieniach swych zbijał.

Piotruś nie chciał także tego zrozumieć, że nawet dla profesora Merza był niewygodnym, gdyż był świadkiem jego przejść dawnych, odświeżał mu je w pamięci i wprowadzał innych na tajemnice dni dawnych, był więc z jednej strony niemiłem wspomnieniem okropnych zdarzeń, a z drugiej strony jakby cieniem poprzedzających te zdarzenia dni słonecznych.

Tym razem powitał go też Merz z rażącą nawet niechęcią:

— Ciągle podróżujesz — rzekł doń — prowadzisz koczownicze życie, które zgubiło wasz naród.

Że też nie możecie się ustatkować!

Chłopak obecnie już pod wąsem, przyjął tę gorycz niemal pokornie, gdyż bał się zrywać węzłów z domem profesora.

— Czyż nie wiesz pan — odparł — że marynarka handlowa, to mój zawód i chleb dla matki i dla mnie i może kiedyś lepsza przyszłość...

— Ah, co za przyszłość!

— Mam już obecnie rangę oficera.

— Taki oficer, to tyle co paker, to nic.

— Jesteś profesorze dziwnie gorzkim.

— I nie bez powodu. Wytykają mi tu i tak stosunki z rewolucyonistami meksykańskimi, a to przez ciebie. Ty jako Polak, masz rewolucyę na dnie serca.

— To jest gra słów!

— Mówię to całkiem seryo. Nasza pruska racya stanu nie chce mieć nic do czynienia z tym systemem i ja także. Jako Prusak, jestem z moim cesarzem i z moim rządem...

— I z bratem Von Kolnitzem?

— Zkądże tobie ten łotr na myśl przyszedł?

— Otrzymał on misyę tajną do Vera Cruz i miasta Meksyku.

— Przyjeżdża?

— Za jakich trzy miesiące!

— Ha, niech i tak będzie! — odparł profesor z pozornym spokojem.

W tej chwili wbiegła do pokoju Margerita.

Zobaczywszy Piotrusia, z żywością podała mu rękę:

— A to ty? Witaj!

— Zabawię tym razem przez trzy dni. Może Małgosia da się namówić na wycieczkę.

— To i niebezpieczne i całkiem niemożliwe! — stanowczo wtrącił profesor.

— I nie mów także do mnie przez "ty", gdyż to dziwnie wygląda. Ja przecież już dużą panną jestem!

Mówiąc to, podała mu obie ręce i w kółko z nim kilka razy obróciła się.

— Prawda, że bardzo wyrosłam — szczebiotała — a przecież do dorosłych panien nie mówi się "ty".

— A z tytułu lat dawnych?

— Przecież lalek już nie noszę na rękach i do kołyski się nie kładę, więc i dobrej kochanej męskiej niańki już nie potrzebuję. Przecież ty to rozumiesz Piotrusiu.

— Niewątpliwie, zaczynam rozumieć.

— Ale ja zawsze ciebie lubię Piotrusiu, a możesz także liczyć na mnie we wszystkiem. No, bądź zdrów!

To już nie mam przyjść?

— Tym razem nie!

— Więc dobrze, ale mam jeszcze słowo do profesora.

— Wielki sekret i przedemną! — przekomarzała się Margerita.

— Sprawa dotyczy tylko ojca.

— Więc zapewnie piekielnie nudna i dlatego uciekam. Do widzenia Piotruś.

Podała mu rękę, uściskała ojca i wyfrunęła, jak czarodziejski ptak.

Piotruś zaś stał przez chwilę smutny i

do głębi poruszony. I dopiero, gdy go Merz dla rozbudzenia potrącił, rzekł doń:

— Remler jest w Vera Cruz i jeszcze o was nie wie!

— A bodaj przepadł!

— Radziłbym uważać — dodał Piotruś — to szpieg z nałogu i łotr z krwi swojej.

— Ależ to bydlę, takiego nigdy nie lękam się!

— W każdym razie przestrzegam pana.

— Dziękuję!

— Więc do widzenia!

— Szczęśliwej drogi!

Piotruś wybiegł i w sam czas, gdyż już nie mógł wytrzymać dłużej bólu, który mu pierś rozrywał.

Całe wymarzone szczęście swoje widział rozbite.

Tak mu było w sercu, jakby był obecnie na pogrzebie własnym.

Czuł, jak krwawe łzy w gardło mu się cisnęły i jak go dusiły nielitościwie.

* * *

W tym samym mniej więcej czasie, generalny pruski konsul Gesler w biurze swojem rozprawiał się z synem swoim Hermanem.

— Zmieniłeś się w ostatnich czasach ogromnie — mówił doń — twoja serdeczna otwartość wobec mnie, niemal znikła zupełnie. Prawie że cię nie widzę. Co się z tobą dzieje?

— Ojcze, wiesz dobrze — odrzekł z zakłopotaniem Herman — że w Vera Cruz zebrało się teraz towarzystwo ze wszystkich państw Europy, a to zajmuje i rozrywa.

— Bardzo to dyplomatycznie przedstawiasz, ale o ile zauważyłem, sentymenta twoje zwracasz w jedną tylko stronę. . .

— Ojciec to zauważył?

— Ślepy nie dojrzałby, żeś już niemal zamieszkał u Merzów.

— Przecież profesor to i ojca znajomy, bardzo wykształcony i oczytany człowiek!

— No a panna, jakże z nią?

— Bardzo miła...

— I nic więcej?

— No i utalentowana...

— Mogę ci powiedzieć cokolwiek więcej...

— Czy i ojciec się zalicza do jej przyjaciół?

— Któżby nie życzył takiemu istotnie pięknemu i jak słusznie powiedziałeś, miłemu dziecku, jak najserdeczniej powodzenia...

— I ojciec to mówi szczerze?

— Z całą pewnością!

— To mnie prawdziwie zachwyca!

— Zkądże to?

— Bo ja ją mój ojcze podziwiam.

— I co dalej?

— Uwielbiam!

— No i...

— Kocham!

— Wiedziałem o tem mój synu i chciałem z tobą w tej sprawie porozmawiać.

— Tylko z góry zapewniam, ojcze, że zdecydowany jestem pokonać wszystkie trudności.

— Ale są i takie trudności, których pokonać niepodobna!

— Ojciec myśli zapewne, o czem i ja wiem doskonale, że ona jest ubogą dziewczyną i że to jej ubóstwo dzieli nas kompletnie.

— Mylisz się mój kochany. Moja synowa nie musi być majętną. Wystarczy naszego chleba i dla niej!

— Więc może to, że ona jest z niskiego rodu...

— Pod tym względem musiałbym ją nawet bronić, gdyż ojciec jest z dobrej pruskiej rodziny, a matka nawet ze szlacheckiej.

— W takim więc razie przeszkody nie ma żadnej. Przecież jej charakter?

— Ze wszech miar prawy i szlachetny...

— Prezentacya...

— Świetna!

— A więc?

— Przeszkoda nie leży w niej!

— A więc ma cierpieć za ojca?

— Tego nie powiedziałem!

— Powiedzże już raz ojcze wszystko wyraźnie, nie męcz mnie!

— Na to ci przedkładam mój synu, że pewne rzeczy sam Bóg nawet ukrył przed nami, aby serca zbytnio trwogą nie przytłaczać.

— Moje serce silne. Wszystko przetrzymam...

— Są ciosy, które od razu wszelką wytrwałość łamią. Ja chcę tobie, a także i jej samej tego oszczędzić.

— Cóż to takiego może być?

— Gdybyś się dowiedział, przyznał byś mi racyę, ale ja ciebie proszę, nie naciskaj na mnie i poprzestań na serdecznem zapewnieniu mojem, że nie możesz ożenić się z nią, a gdybyś uparł się pod tym względem, sprowadziłbyś na nią nieszczęście.

Herman powstał na to silnie rozdrażniony:

— Ojciec ma mnie za dziecko!

— Bądź szczęśliwym, że tak jest. Byłoby w tej zwłaszcza chwili dla ciebie i dla twego szczęścia straszną katastrofą, gdy-

byś nie miał we mnie ojca i przyjaciela. Bywajżé!

Herman na to spokorniał i pocałował ojca w rękę, ale rozmowa była już przerwaną, gdyż do gabinetu konsula przyprowadzono w tej chwili kuryera niemieckiej ambasady w Washingtonie.

Był nim Remler.

Przychodził pożegnać się i odebrać papiery powrotne.

Herman usuwał się już dyskretnie do dalszych pokoi, ale go ojciec skinieniem ręki zatrzymał.

— Jestto sprawa urzędowa — rzekł — a ty jako młodszy funkcyonaryusz, powinieneś zaprawiać się do spraw bieżących.

Remler spojrzał przy tych słowach konsula z podełba na Hermana i uderzając się w głowę, zawołał:

— Ależ to ja za tym panem drugi dzień chodzę i odszukać go nie mogę.

— Za mną? — z ogromnem zdziwieniem zapytał Herman.

— Nie inaczej!

— I czemże sobie na ten wyjątkowy honor zasłużyłem?

— Byłeś pan w towarzystwie młodej damy, która jest niewątpliwie osobą poszukiwaną od wielu lat przez barona Von Kolnitza.

— Mości kuryerze bredzisz! Nie chodziłem tam z jakąś staruszką, ale z młodziuchną panną, która z pewnością nie zna twego barona.

— Może go sobie nie przypominać, ale zapytaj ją pan tylko o barona, a zobaczysz, jaką żałosną zrobi minę...

—Dlaczegoż żałosną?

— Z powodu wspomnień bardzo przykrych...

Dalszych wyjaśnień nie mógł dać Remler, gdyż okręt odjeżdżał za godzinę, a dokumenty, które zabierał z sobą, wymagały omówienia. Już atoli to, co powiedział, dało wiele Hermanowi do myślenia.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Z Tego Samego Szlaku.

— List do was! — z temi słowy wszedł profesor Merz do kuchni w swoim domu w Vera Cruz i podał pracującej tam niewieście doręczone przed chwilą przez listonosza pismo.

Niewiasta skwapliwie wzięła list, przyjrzała się grubym, sporym literom na stronie adresowej i zawołała:

— Bogu dzięki, od nich!

— Z Oshkosh?

— Tak!

— Pismo jakby od starego Pawulskiego?

— Od ojca, oczywiście, że to od niego!

— Dajcież przeczytać moja Marto — rzekł profesor — mnie to łatwiej przyjdzie jak wam...

— A ja i tak drugi raz muszę potem sylabizować...

— Czyż mnie nie uwierzycie?

— Oh, z wami to jakoś dziwno...

— Dziwno! To pani Marta Pawulska dziwaczy!...

— Ja na was tylko patrzę profesorze, a co myślę, to myślę. Was nie trapię...

— A gdybyście moja Marto cośkolwiek z tego myślenia mnie zawierzyli?

— Na nic by się zdało, bo w was profesorze siedzi jednak Prusak.

— Powiedz: człowiek...

— Naturalnie, że człowiek, ale widzi pan w Prusaku, to obok człowieka, jest także kawałek dyabła...

— Ha, ha, ha, z rogami?

— Czasem to i te rogi widać!

— A kiedyż to was ubodłem? Przecież od dnia, w którym podjęliście się wychowania mojej Małgosi i pojechaliście z nami w daleki świat, słowa marnego wam nie powiedziałem...

— Ale tę swoją Małgosię przeprowa-

dziliście na swój szlak. Prusaczka z niej, że aż serce boli...

— A wy tak samo, moja Marto, przeprowadziliście na swój szlak waszą Zochnę.

— Eh, to jest polska Zochna i koniec.

— Wychowała się razem z Małgosią.

— Jak niańka przy panience.

— Rówieśnicą była. Z twoim bratem Plagowskim nie układałem przepisu, aby była sługą. Widziałem w niej towarzystwo dla Małgosi tak samo, jak u was, moja Marto, widziałem opatrznościową dla niej opiekę.

— Z was Prusaków okrutni dla nas przyjaciele i dobrodzieje, ale z naszego...

— Jeśli wam nie dałem, o ile sam dać mogłem, toć w każdym razie nic wam nie wziąłem...

— Zochna ma zranione serce!

— A czyż moja wina?

— Małgosia go urzekła...

— Strasznie to brzydkie słowo. Przecież ona na Piotrusia prawie, że nie patrzy...

— Zabrała go z duszą, sercem, z oczami i ustami, no i ze łzami Zochny. Tak wy robicie zawsze z nami.

— No naturalnie. Prusy są winne, że wasza Zochna nie może dostać Piotrusia...

— Gdybyś nie był mnie aż tu wyciągnął z sobą profesorze, miałabym Zochnę wśród swoich i w szczęściu.

— W biedzie...

— Bieda wśród swoich jest jednak kawałkiem szczęścia.

— Obiecuję wam powrócić was moja Marto do swoich, a może nawet z waszym Piotrusiem...

— Byłby cud!

— Może zdołam was przekonać, że z Prus nie wszystko najgorsze.

— Tego znowu nie powiedziałam, że najgorsze, ale że się do korzeni życia naszego dobrali, mrowiem nas obsiedli i jedzą...

— Ale ja was pani Marto nie zjadłem i dlatego może zjeżdża tu z Prus wasz dawny kamrat.

— Przepraszam, kamrata z Prus nie miałam. Przed zamążpójściem mojem, grasował wprawdzie w naszym domu, jakiś pruski zawalidroga, ale prędko zczezł, gdy się przekonał, że posagu nie mam. Brat mój, którego profesorze poznałeś w Oshkosh, byłby mnie był zresztą ubił, gdybym owego pruskiego zawalidrogę była poślubiła. Jakże to? Czyż tu istotnie przyjechał?

— Przysłał go baron Von Kolnitz...

— Więc Remler w Vera Cruz?...

— Tak, moja Marto.

— Z przyjemnością wytłukłabym mu wszystkie zęby...

— Na razie racz sobie spamiętać, szanowny wrogu prusactwa, że Remler ma sam dość ostre zęby i że je szczerzy na moją Małgosię. Biada mi oczywiście, jeżeli zechcecie teraz pomścić Zochnę...

— Siedzi w was cały Prusak, jeżeli tak oceniacie polskie serce. Plagowska jako Polka, nie połączyłaby się nigdy z takim gałganem, jak Remler, aby złamać serce panienki, którą wychowała...

— Z was szlachetna kobieta, moja Marto i wasz naród polski jest szlachetny...

— Dlatego chcecie nas zjeść...

— Ja takiego apetytu nie mam.

— Bieda was może trochę przerobiła, ale gdy chwila przyjdzie, odżyje w was profesorze junkier pruski...

— Dobrze będzie, jeżeli tymczasem, zwrócicie uwagę waszą Marto na zdradzieckie sieci, jakie tu Remler zakłada...

— Wiem, co mam zrobić...

— A ja w zamian wezmę w obroty Piotrusia...

— To jest sprawa Małgosi...

— Wcale nie. Z nią coś innego się święci...

— Oh wiem! Wam w głowie złote galony konsula, ale nie dla psa kiełbasa.

— Serce nie sługa...

— Ostatecznie powiem wam prawdę profesorze. Gdyby wasza Małgosia wyszła za Piotrusia, to weszłaby w szlachetny ród polski, a przy pruskim śledziu szczęścia nie znajdzie.

— Zato wasza Zochna...

— Oh, dla niej co Bóg da!

Gdy Marta domawiała tych słów, do pokoju wpadła mała, zgrabna bruneta i z pasyą zagniewanego dziewczęcia, zawołała:

— Mamo, z tą Małgosią nie można wcale wytrzymać. Ona zabije Piotrusia przez swój upór...

— Nie wiedziałem, że moja córka jest tak srogą — odezwał się na to Merz.

Zochna, gdyż to ona była, dostrzegłszy go teraz, zamilkła i usiadłszy przy oknie, podparła się na obu łokciach i patrzyła z uporem gniewnym w dal...

— Ależ Zochno, — upominała matka— pana profesora powinnaś grzecznie przywitać.

— Przecież ja go tu nie prosiłam — odburknęła Zochna — ani mu w drogę nie wchodzę...

— Aż tak już jest z nami! — rzekł na to śmiejąc się profesor.

— A tak!

— Ejże moja panno, bo się poskarżę Piotrusiowi.

Zochna zerwała się z krzesła, jak oparzona.

— Proszę nie mówić "Piotrusiowi" — odezwała się — gdyż to już dorosły mężczyzna, trzeba mówić: "panu Piotrusiowi", a potem ja nie chcę, aby się kto wtrącał w moje sprawy...

— Zochna, opamiętaj się, bo dostaniesz po karku — zawołała teraz matka...

— To od mamy — odparła rezolutnie dziewczyna — ale ten pan nie jest moją mamą...

Profesor Merz zbliżył się na to do Zochny i rzekł:

— Nie tracę nadziei, że jeszcze będziemy przyjaciółmi...

— To będzie bardzo trudno, bo ja Polka, a pan...

W tej chwili silna ręka matki spadła istotnie na jej kark.

— Głupico, milcz!

Zochna rozpłakała się, a profesor wycofał się z pośpiechem i zniknął w głębi mieszkania.

Matka zaczęła czytać list:

Z TEGO SAMEGO SZLAKU.

"Droga siostro — pisał Plagowski — stare moje oczy widzą przed sobą olbrzymie wschodzące światło. Wieści o wielkiej wojnie pomiędzy naszymi wrogami, poruszają tu wszystkich starych wiarusów. Jeźli wojna istotnie wybuchnie, to trzeba nam będzie zgotować Prusakom nowy Grunwald. Tymczasem bieda zmusiła ciebie przed laty po śmierci męża pójść z córeczką w dom pruski i chociaż twój pan człowiek nie zły, nie pójdzie nigdy naszym szlakiem. Porębska jeszcze więcej płacze nad swoim Piotrusiem. Małgosia, to jego nieszczęście, a on podobno zakochany w niej po uszy. Matka go zaklina, aby zarzucił myśl o niej. Najświętsza kochanka Ojczyzna jego i nas wszystkich daleko potężniej woła".

Zochna, która stała za matką i wspólnie z nią list czytała, rzuciła się teraz matce ze łzami na szyję:

— Mamo, niech mi mama ten list da, serdecznie proszę.

— Co chcesz z nim?

— Pójdę za Piotrusiem. On chodził przed chwilą w parku miejskim tak okropnie strapiony. Ten list go od złych myśli odprowadzi...

Matka spojrzała na Zochnę z wielką miłością, a ona wyrwała jej niemal list stryja, zarzuciła chustę na głowę i wybiegła.

Matka pomyślała chwilę, potem przyodziała się nieco lepiej, jak miała w zwyczaju na co dzień i wyszła po chwili za córką. Twarz jej była poważna. Wzrok rozjaśniony. Wyglądała, jak prawdziwy stróż anioł.

Piotruś był w parku, ale już nie był sam. Zochna poczerwieniała aż po białka oczu, gdy zobaczyła przy nim Małgosię.

Przekonawszy się, że rówieśniczka jej zbyt głęboko utkwiła w jego sercu, sama namawiała ją i przedstawiała jej, aby nie pozwalała mu odjeżdżać w zbyt ciężkiem przygnębieniu i rozmówiła się z nim raz jeszcze.

— Mały promień nadziei — mówiła do Małgosi, gdy ból przejmujący ściskał

jej serce — doda mu nowej energii i może powstrzyma od rozpaczliwego jakiego kroku.

— Sumienie mi mówi — odpowiedziała jej na to Małgosia, — że nie powinnam go łudzić...

— Przecież go tak lubiałaś...

— Przywiązanie, które jest wynikiem wdzięczności, to nie miłość...

— Atoli właśnie przez wdzięczność powinnaś się przezwyciężyć...

— Unieszczęśliwiłabym go...

— A jeźli z rozpaczy zabije się...

— On tego nie zrobi...

— Kto wie?!...

— W każdym razie okłamywać go nie będę...

— Więc nie pójdziesz rozmówić się z nim?...

— Nie!

— Nawet gdy ja ciebie o to proszę·

— Ależ za nic w świecie!

Zochna zirytowana pobiegła na to do matki i zostawiła Małgosię również silnie wzruszoną.

Córka profesora była istotnie w bardzo ciężkiem położeniu. Rozumiała dobrze, ile jest winna Piotrusiowi za długie lata jego przyjaźni, a z drugiej strony uczuwała dla Marty i jej córki Zochny, nie mniejszą przyjaźń. Była zanadto prostoduszną, aby miała grać fałszywą rolę wobec Piotrusia i krwawić przytem serce szlachetnej dziewczyny i jedynej swej przyjaciółki od serca.

Ten ostatni wzgląd był o wiele ważniejszym dla niej, aniżeli uczucia, jakie żywiła dla Hermana Geslera. Te uczucia osłaniał bowiem mrok mglistych, ale w rzeczywistości strasznych wspomnień bardzo dawnej, ale nie całkiem zaginionej w umyśle przeszłości. Ileżby ona dała za to, aby te wspomnienia nie żyły i nie istniały nigdy, ale właśnie Piotruś wywoływał je zawsze na nowo. Każde jego przybycie było rozkopywaniem mogiły serdecznej i dobywaniem z niej krwawych, okropnych, a niestety prawdziwych wydarzeń...

Chociaż więc rada była Zochna dopomódz i czuła, że nie powinna była teraz Piotrusia oddalać na zawsze, jednak obawiała

się, że z gry podwójnej wyniknie nowa katastrofa.

Odmówiła więc Zochnie, gdy ją ona prosiła, aby raz jeszcze z Piotrusiem pomówiła i rozstawszy się z nią, poszła boczną drożyną, prowadzącą z parku do konsulatu niemieckiego.

Poszła tą drożyną bez ukrytej intencyi, ale jednak serce wprowadziło ją na ten szlak, który był wytyczną jej ukochanego.

Tymczasem w zamyśleniu w połowie drogi tuż przy parku, potrąciła niemal człowieka, którego chciała właśnie uniknąć.

Piotruś stał przed nią.

Wzruszyła się ogromnie, zobaczywszy go bladym i dziwnie zmienionym i mimowoli wyciągnęła doń rękę.

— To pan...

— Jak mnie widzisz Małgosiu...

— Pan odjeżdża?...

— Taki los rozbitka.

— Mówisz te słowa tak żałośnie.

— Jestem w rzeczywistości podwójnym rozbitkiem: straciłem ziemię ojców i serce najdroższe.

— Jesteś Polakiem i powinieneś mieć w sobie serce mężne i duszę bohatera...

— A jeśli serce złamane?

— Panie Piotruś, czas wiele wśród nas zmienia. Czy nie zmienił wszystkiego w koło mnie?

— O tak, niewątpliwie, zmienił tak dalece, że mnie pogrzebał...

— Odchodzisz wracając do swojej gleby. Ty nie możesz być szczęśliwym z Niemką, z Prusaczką...

— Małgosia!

— Wołasz mnie w szale, abyś mnie przeklinał w dniach rozwagi.

— Nigdy!

— Skały obcej się czepiasz i wzdychasz za szczęściem z obcą tobie sferą, a w sercu sam się przed tem wzdrygasz...

— To przesada...

— Czy nie gardzisz baronem, czy nie potępiasz Geslera, czy nie chciałbyś udusić, jak hyenę Remlera?

— Czy to ludzie z twego świata?...

— Ale czy z twego? Czy ty zdołasz znieść ich i zżyć się z nimi?

— Ale bez ciebie zginę!

— Poza mną samo szczęście dokoła ciebie. Zdolności twoje prowadzą cię na pole zasług dla Ojczyzny, praca twoja da chleb i dach matce, braterstwo, czerstwe zdrowie i siły wróci osamotnionej siostrze, a jedno słowo gorętsze, da tobie serce młodej i uroczej polskiej bohaterki.

— Chyba ją ze snów sprowadzisz?!

W tej chwili wzrok Małgosi padł na cofającą się już w pomieszaniu Zochnę.

— Otóż i ona! — rzekła z przejęciem do Piotrusia— sam zobacz, jaką odrzucasz perłę.

Mówiąc to, przyzywała rówieśniczkę.

— Zochna, chodźże do nas!

Wnet stanęła Zochna przy nich.

Małgosia wyciągnęła do niej obie ręce i przyprowadziła niemal biedactwo do Piotrusia.

— Pamiętaj pan — rzekła — co mu powiedziałam na pożegnanie. Możesz być bohaterem swego Narodu i najszczęśliwszym z ludzi.

— Panno Małgorzato, Małgosiu, siostro.

— Czy nie widzisz pan — roześmiała się Małgosia — że jestem zaledwie kopcącą łojówką, której światło oby wnet blask prawdziwych słonecznych promieni zagłuszył i przysłonił na zawsze.

— Dla mnie nigdy!

— Oh mój panie nauczycielu, Polska to rzecz większa i przemówi do pana potężniej, jak pamięć o Prusaczce.

— Jesteś pani nielitośną...

— Ale Małgosia już nie słuchała. Przyspieszywszy kroku, przeszła szybko na drugą stronę ulicy.

W słonecznym blasku patrzał na nią "orzeł czarny", z tarczy umieszczonej nad bramą niemieckiego konsulatu. Uśmiechnęła się i spojrzawszy w górę, rozchmurzyła się w zupełności.

W jednym z okien stał Herman.

Tymczasem Piotruś i Zochna stali naprzeciw siebie ogromnie zafrasowani.

Piotruś wcale nigdy nie zadał sobie dotąd pytania, czy mógłby kochać Zochnę,

gdyż chociaż ją spotykał często i lubiał bardzo, nie patrzał na nią nigdy przez szkła uczuć.

Jak wielu z młodzieży, biegł za ogniem błędnym i w niechybną zgubę, a nie widział światła cichego, spokojnego i bezpiecznego, które rozjaśniało drogę obowiązku i szlak prawdziwego szczęścia.

Tym razem Małgosia wskazała mu Zochnę po raz pierwszy ze stanowiska jego narodowych uczuć i odrazu wszystko dobre od niej stanęło mu przed oczyma. Uznał, że było z jego strony niesprawiedliwością lekceważyć ją, chociaż nie uczuwał jeszcze szczególniejszego do niej pociągu. Już ją widział, ale nie widział jej jeszcze we właściwem świetle.

Uważał teraz za konieczne wyrwać ją i siebie z zakłopotania i tak do niej powiedział:

— Pani znasz niewątpliwie swoją przyjaciółkę, ale nie przypuszczałaś zapewne, aby nas oboje tak zręcznie potrafiła do muru przybić. Musimy ratować się, aby nas mur nie zawalił.

— Jeżeli ten mur tęsknicę pańską przywali — odpowiedziała Zochna — to gotowam ten mur ucałować.

— A co pani wie o mojej tęsknicy?

— Mój panie, czy to strusia nie widać, chociaż głowę w piasek włoży?...

— Albo to ja struś?

— Naśladujesz go jednak.

— Właśnie, że nie. Przekonaj się panno Zochno, jak zuchwale patrzę pani w oczy...

— I co w nich widzisz?

— Że jesteś dobrą...

— Co więcej?

— Że jesteś piękną...

— Zdawkowa moneta. A najważniejsze co?

— Że przybiegłaś tu nie daremnie.

— No i zgadłeś panie Piotrze...

— Piotrusiem nazywa mnie cały świat. Schowaj pani Piotra na czas jakiś, aż się postarzeję...

— To jest, na sto lat...

— Czy tak długo mam żyć?...

— Jeźli będziesz bohaterem, zdobędziesz ponadto nieśmiertelność.

— Jak widzę, dobrze być bohaterem.

— I trzeba nim być — odezwała się na to Zochna z naciskiem — jesteś Polakiem. Czytaj!

Pokazała mu list z Oshkosh, a on go czytał i czytał i naczytać się nie mógł.

Potem rzekł:

— Zostaw mnie panno Zochno z myślami mojemi i z tym listem. Tyle w mój mózg wdziera się naraz wielkich postanowień. Skupić się muszę i rozważyć wszystko.

— Przyjdźże do nas oddać nam list.

— Ależ niezawodnie. Mamę pani pozdrów...

Rozstali się uściskiem dłoni.

On pobiegł w gąszcza największe rozległego parku, ona wolnym krokiem wyruszyła z powrotem ku domowi.

Była ogromnie uspokojną i myśli jej wiły aureolę uznania dla Małgosi.

Nie wiedziała, że rówieśniczka jej by-

ła w tejże chwili przedmiotem zuchwałego ataku.

O kilka bloków od konsulatu niemieckiego Małgosia przeszła właśnie w boczną ulicę, w stronę domu profesora Merza, gdy naraz usłyszała za sobą wołanie:

— Panno Małgorzato!

Oglądnęła się niepomiernie zdziwiona i zobaczyła się oko w oko z człowiekiem, który już dwa razy zachodził ją z nienacka.

— Więc istotnie — rzekł ów człowiek — jesteś pani tą samą Małgorzatą...

— Jaką? Czyś pan oszalał?

— Jesteś Małgorzatą Gruber! To jest teraz dla mnie pewne i wezmę cię zaraz dla pewnych formalności na okręt pruski.

— Ale ja nie nazywam się Gruber, tylko Merz i dla żadnych formalności nigdzie iść nie potrzebuję.

— To się pokaże!

Przy tych słowach Remler, gdyż on to był, ujął Małgosię za rękę i stanąwszy przy niej tak blisko, że uczuła na twarzy swojej widoczny jego oddech, zapytał:

— A czy pani wiesz kto ja jestem?

— Napastnikiem i pijakiem. Każę cię ukarać.

— Mnie? Remlera?

Na to nazwisko zbladła Małgosia·

— Tyś Remler?!

— Abyś wiedziała!

— I czego chcesz?!

— Ciebie!

— Jakto mnie?

— Baron Von Kolnitz, twój opiekun, dał mi rozkaz, abym cię ujął i ująłem cię — mówił ściskając jeszcze silniej jej ramię. — Dam sygnał gwizdawką i zwiążą cię, jak panek.

Przy tych słowach już gwizdawkę do ust wkładał, gdy ją naraz silne uderzenie w bok z ręki wytrąciło.

Oglądnął się i zobaczył panią Martę Pawolską.

— Aha? to pani!

— W czas przychodzę panie myśliwy...

— Obowiązek moja pani i tyle...

— Z takiego samego obowiązku czychałeś na mnie przed laty, a teraz czychasz na tę synogarliczkę. Przypadła ci do gustu, panie bandyto pruski...

— Jestem reprezentantem mojego rządu.

— Strasznie nędzny reprezentant, który napada na bezbronne niewiasty...

— Ja jej nie napadłem, ja ją aresztowałem...

— Czy tu Prusy?

— Prusy są wszędzie, gdzie stąpi noga pruska...

— I któż ci dał, zapity zbóju, taki rozkaz na ziemi meksykańskiej?

— Baron Von Kolnitz!

— Byłam pewna! Ale i ty mój Remler jednego mogłeś być pewny, że jeźli mnie spotkasz w życiu, na sucho to spotkanie nie skończy się.

— Szukałem za panną Małgorzatą Gruber, a nie szukałem pani.

— Ale znalazłeś mnie! — zawołała pani Marta i silną ręką schwyciwszy go za

gardło, wstrząsnęła nim tak szybko, że runął z wielkim krzykiem.

Pani Marta jeszcze go na to silniej przytłoczyła i huknęła mu w uszy.

— Idź żywy i zczeznij, albowiem nie chcę pruskim ścierwem walać rąk. Ale jeźli cię raz jeszcze spotkam, albo jeźli zbliżysz się do tej mojej wychowanki, zaduszę cię jak gadzinę i w trzęsawisko wrzucę.

Powiedziawszy to, pani Marta kopnęła go nogą, że się aż w rynsztok potoczył i wziąwszy pod ramię wystraszoną Małgosię, poszła z nią ku domowi.

Remler z biedą kości pozbierał i ubranie z błota oczyścił.

Gdy się już z tem uporał, stanął jakby do szeregu, pięści ścisnął i zawołał:

— Pany Polaki, przyjdzie na was jeszcze od naszych Prus straszny grom!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Plan Zemsty.

Generał Rudolfo Fierro był w swojej stajni i przy swoim koniu wyścigowym.

Konia tego nie byłby oddał ani nawet za przyjaźń generała Gonuto Reyes, z którym przez szereg lat napadał i rabował bogatych kupców, aż do owych dni niezwykłych, które pod hasłem rewolucyi dla dobra ludu meksykańskiego, wyniosły ich wspólnika i herszta generała Villę na wodza powstańców.

Wówczas to z koniokradów i rabusiów przydrożnych, wszyscy trzej przedzierzgnęli się nagle w generałów i stanęli na czele ochotników, mających ochoty najwięcej do łatwego wzbogacenia się.

Generał Villa, który umiał czytać, pisać, dobrze grać w karty, polować na piękne meksykanki i uprawiać sport różnorodny, najprędzej ucywilizował się i wszedł

w stosunki z niektórymi kawasami konsulatów i z wyższą nawet branżą biur odnośnych.

Generał Gonuto Reyes bił się natomiast jak lew i zbierał sławę swego męstwa, a poza obrębem bitew z prawdziwymi wrogami, wychodził z generałem Rudolfo Fierro na wojnę z bogaczami meksykańskimi.

Właśnie powrócił Fierro z jednej z takich wojen, wytoczonych milionerowi Pablo Calles, który jako Carranzista, wyjęty był z pod prawa i którego wolno było zabić i obrabować każdemu.

Fierro miał na niego chrapkę, gdyż przed dwoma laty pokonał go Calles na wyścigach konnych w Naco, a tej zniewagi nie mógł Fierro przebaczyć.

Udobruchałby się jeszcze, gdyby Calles oddał mu dobrowolnie konia — zwycięscę i dorzucił kilka napełnionych złotem sakiewek. Atoli Calles miał przy sobie oddział wojsk Carranzy i czuł się bezpiecznym.

Na wezwanie generała Fierro o złożenie owego haraczu, kazał oćwiczyć posłań-

ców i powiedzieć ich panu, że porcyę batów ma i dla niego w pogotowiu.

Generał Fierro wściekł się z gniewu i urządził z generałem Reyes obławę na obywatela Palbo Calles.

Napad nocny udał się, a pisma całego świata ogłosiły to jako nowy tryumf wojsk Villi nad wojskami Carranzy.

Tryumfator uprowadził przy wielu innych łupach konia - zwycięscę i strzegł go teraz pilnie, gdyż za tydzień miały się odbyć w Vera Cruz wyścigi, a w czasie tych wyścigów miało nastąpić zbliżenie się generała Fierry do Huerty, a to za pośrednictwem jego zięcia generała Luiza Fuentes.

Fierro pilnując konia rozłożył się na słomie, przykrytej olbrzymiej wartości dywanem, zrabowanym w pałacu Callesa.

Rozczochrana jego głowa spoczywała na jedwabnych wzorzystych poduszkach, a w ustach pykała niebieskim delikatnym dymem fajeczka, pięknie w złocie cyzelowana.

Fierro patrząc na konia uśmiechał się z zadowolenia, że taką sztukę wypłatał Callesowi.

Przy nim siedział na skórzanym zydlu Reyes i starał się zwrócić myśli Fierry na temat bardzo poważny.

— Twoim koniem — mówił doń — zaimponujesz Fuentesowi ogromnie, ale Fuentes to niezwykły parobek i trzeba mu wykazać rzeczywisty nasz wpływ...

— Każę dla niego moim kawalerzystom upolować ze setkę Carranzistów i ściąć ich przy uczcie. To będzie coś imponującego.

— To będzie istna jatka i wywoła protesty dyplomatów...

— Ot gadasz! Ubawią się i pójdzie to w świat jako nowa wielka bomba.

— Możemy przygotować inną bombę, i to taką, że aż Wuj Sam zbaranieje.

— Co takiego?

— Trafia nam się sposobność wejść w stosunek z pruskim rządem, a to się przyda Huercie i utoruje nam drogę do wybitnych stanowisk.

— Słuchaj, a czy to nasze generalskie mundury nie dość wspaniałe.

— To prawda, że błyszczą, ale trudno wywalić z nich odrazu krwi Callasa.

— Myślisz, że Prusak to wywali?

— Zapewne, ale nie za darmo.

— Ileż wyniesie okup?

— Trzosy złota schowaj dla siebie i odeszlij je do El Paso, abyś je miał w pogotowiu, gdy lud meksykański połapie się i sam po władzę sięgnie.

— Więc co dać Prusom? Przecież nie mego konia wyścigowego?

— O to bądź spokojny. Twój koń będzie biegł do mety szybciej, jak my z bandytów na generałów.

— Więc co masz we łbie?

— Musimy wykraść dwie dziewki i nienaruszone odstawić panu baronowi Von Kolnitz.

— Tylko tyle?

— A czy to nie dość ryzykowne?

— Nie dla mnie! Mów co za dziewki.

— Znasz profesora Merza?

— Poznałem go na balu u tego starego wieprza Zalajasa.

— A zauważyłeś jego córkę?

— Naturalnie.

— A jej przyjaciółkę, młodą Polkę Zochnę?

— Obydwie do zakochania.

— Zakochanie musisz tym razem odłożyć na bok i traktować rzecz jak byznes. Za wykonanie "pracy" bez skandalu i rozgłosu daje nam baron swoje wpływy.

— Głupstwo. Czy to ja do rozbicia głowy Callesowi potrzebowałem pana barona?

— Na oko to ich nie potrzebowałeś. Ale on nam zabezpiecza nasze rzemiosło może na długie lata.

— Tego nikt zabezpieczyć nie może.

— Rozważ tylko brateńku, że Stany Zjednoczone wołają już na gwałt o nasze głowy i nie chcą uznać ani Villi, ani nawet Huerty. Prusy zaś mają w tem interes, aby Stany cokolwieczek dłużej tu zatrudnić i głębiej zawikłać. Baron tego pilnuje.

— Racya jest. Widzę nawet, że z głupca i opoja wyrabiasz się mój Reyesie na przyszłego ministra.

— Jeżeli taki gbur jak Zalajas mógł

nim być nawet za czasów mądrego Diaza, to za Huerty...

— Mogą cię zrobić ministrem wojny. To jest możliwe. Wtedy ja będę głównym dostawcą armii.

— Ogłodziłbyś ją za kwartał i wywołałbyś najstraszniejszą rewolucyę wojskową. Przytem zostawże także job dla barona.

— Ej, ej, jakie to żarłoctwo u tych Prusaków.

— Musimy im wciąż podsuwać innych na żer, aby nas nie zjedli.

— A jak zjedzą cały Meksyk?

— Będziemy już wtedy milionerami, a milion to jak duża skała, gdy się toczy, to całe mrowia roboczych sił pcha na swą drogę. Nie zginiemy.

— Niechże będzie. Schwytam dziewki i odstawię na statek pruski.

— Parostatek: Prinz Joachim! pamiętaj!

— Czy kapitan statku poinformowany?

— Jest tu niejaki Remler, do szczególnych poruczeń barona, on nad wszystkiem

czuwa. Ale uważaj, abyś nie wpadł. Stany Zjednoczone mają dobre uszy i oczy w Vera Cruz.

— Siedź przez chwilę spokojnie i słuchaj Reyesku, jak ja to sprytnie zarządzę.

Uderzył przy tych słowach młotkiem w tarczę metalową i zaraz zjawiło się u progu trzech bosych żołnierzy z jego armii.

Fierro zerwał się z tapczana i zbliżywszy się na kilka kroków do żołnierzy zapytał:

— Co się stało z partyą Marcelo Ike...

— Ukrywa się ciągle przy nas — odparł jeden z żołnierzy — ale komendant Colon z wojsk rządowych ma ich na oku i grozi uwięzieniem i stawieniem przed sąd. Wykonany przez nich napad, na Lopeza wywołał ogromną wrzawę. Raz po raz wysłańcy Colona nachodzą nas w tej sprawie.

— Sprowadź tu samego Marcelo Ike. Wybadam go z generałem Reyes. Wasz oddział dobrze uzbrojony niech będzie w pogotowiu!

W kilka chwil potem Marcelo Ike stał przed generałem Fierro. Wyglądał ten Ike

na ugrzecznionego handlarza owoców i niepodobieństwem było odczytać z jego dobrodusznej twarzy kilkunastu najsprytniejszych rabunków i tajemniczych morderstw, jakie miał na sumieniu.

— Słuchaj Ike — odezwał się doń Fierro bez długich przemów — masz sławę wielkiego bandyty, a to poprowadzić cię może albo na szubienicę, albo na najwyższe dygnitarstwa.

— Nie kpij Fierro — odparł Ike — wszakże dwa już razy polowaliśmy razem!

— Tak, poznałem cię mój Ike i chcę uratować cię od stryczka. Wszak wiesz, że Colon postanowił cię ująć i dla postrachu powiesić.

— Dziwna rzecz, że sobie ciebie nie obrał.

— Widocznie dowiedział się, żeś się dobrze ostatnio obłowił.

— A on z czego ma swoje skarby?

— Niechże on ma, ale i ty zatrzymaj swoje. Dopomogę ci, ale nie za darmo.

— Wiele?

— Głupiś!

— Więc co?

— Uprowadzisz natychmiast i jak najzręczniej z domu profesora Merza, którego przecież znasz, jego córkę i przyjaciółkę.

— Jakże je poznam?

— Niejaki Remler pokaże je tobie i twoim.

— A jak mnie za to wyratujesz?

— Mianuję cię pułkownikiem w mojej armii i przyjmuję do niej wszystkich twoich. Fuentes wyrobi zatwierdzenie tego u Huerty.

— Zgoda. Dajże teraz zjeść i wypić. W twoich kazamatach dyabelnie wilgotnie. Łotr z ciebie Fierro, żeś mnie tam tak długo trzymał.

— Czy miałem cię odesłać Collonowi?

Reyes wmieszał się w rozmowę, która ożywiła się, gdy przyniesiono kieliszki i gdy sam gospodarz napełnił je drogocennem winem.

— Z ostatniego mojego zbioru! — rzekł przytem.

— Czyli inaczej pogrzebowe wino po

Callasie. Powyrywałby nam oczy ten skąpiec, gdyby widział, jak je rozlewamy.

— Jesteś mój Ike u generała meksykańskiego, który je pije za cały lud.

— Wiesz co? Nie lubię jak mówisz o ludzie naszym. Gdyby odżył, trzebaby go tak spoić, aby naszej roboty nie widział. Patrząc na tę robotę musiałby zmarnieć.

— Ike ty będziesz jeszcze profesorem oświaty!

Ale Ike wypiwszy odrazu całe pół butelki starego wina, runął na tapczan i wył po pijanemu:

Meksyku, ty kraj nasz,
Jakichże ty wodzów masz,
Pije każdy z twojej krwi,
A z przyszłości twojej drwi!
Przy nich zniszczy cały lud:
Nędza, chorość, bój i głód!

W tym czasie w izdebce pani Marty odbywała się cicha narada małej serdecznej gromadki.

Za stołem, przykrytym białym obru-

sem siedziała gospodyni, a tuż koło niej Piotruś, po przeciwnej zaś stronie Zochna i stary osadnik polski w Vera Cruz, cieśla okrętowy Jeleń.

Ten ostatni już od dwudziestu kilku lat pracował w tem mieście portowem i zbierał sporo grosiwa, gdyż nie wydawał na nic, jak na najskromniejsze życie i gazety starokrajskie.

Teraz właśnie jedną z tych gazet: "Lwowski Dziennik Narodowy" miał przed sobą i czytał przyjaciołom nowiny, w piśmie tem tłustemi wytłoczone literami.

"W przededniu wojny," — taki był tytuł nowin, a potem szły wieści poruszające:

"Do Krakowa zjechali się wszyscy niepodległowcy, a to na tajne wezwanie naczelnej komendy wojskowej. Uplanowano utworzyć "Legiony Polskie", które w przyszłości mają być podstawą armii polskiej. Na razie Legiony stanowić będą składową część austryackiej siły zbrojnej i dostąpią honoru walki w pierwszych szykach. Jest nadzieja, że młodzież polska w Królestwie upatrzy to za sygnał do zgro-

madzenia setek tysięcy sił swoich pod sztandarem "Legionów".

A dalej stało:

"Najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Stefan był obecny przy zaprzysiężeniu pierwszego oddziału "Legionów polskich". Wielce uroczystą była chwila, gdy przy dźwiękach cesarskiego hymnu "Boże wspieraj cesarza" dziarska młodzież polska wyruszyła na błonia. Zgromadzona ludność wydawała entuzyastyczne okrzyki. Na błoniach kapelan wojskowy odczytał rotę przysięgi, która zobowiązuje młodych rycerzy "do wierności cesarzowi, dynastyi habsburskiej, konstytucyi i rozporządzeniom władz wojskowych i cywilnych, a to we wszystkich okolicznościach i choćby z ofiarą własnego życia i całego mienia, aż potęga wrogów Austryi będzie złamana i zdruzgotana".

— A co tam jest o Polsce? — zapytała nieśmiało Marta.

— Poczekajże ino, zaraz znajdę. Otóż jest! — zawołał Jeleń i tak dalej czytał:

"Polacy mają sposobność zasłużyć so-

bie na swobody, jakich obrazem była Galicya, w której mieli dotąd sejm własny, rozległy samorząd, oświatę narodową i pieczę nad rozwojem swego dobrobytu, a wszystko oparte na sile olbrzymiego i potężnego cesarstwa Habsburgów. Ztąd płynęło bezpieczeństwo i trwałość urządzeń samorządnych i osiągniętych zdobyczy kulturnych,młodzież zaś polska miała dostęp do wszystkich urzędów w całem państwie. Te zagwarantowane Polakom swobody będą znacznie rozszerzone po wojnie".

Jeleń skończył czytać, a mała gromadka pogrążyła się na chwilę w zadumę.

Piotruś pierwszy ją przerwał.

— Jeźli jak czytacie — mówił — "Legiony" są, to jakby na świt Polski trąbili...

— Albo na jej zgon — odparł ponuro Jeleń.

— Jakto mówicie?

— Mnie się widzi tak, że przecie wojny chciał Prusak, ale nie dla naszego dobra. Jeśliby on bowiem o nas szczerze myślał, to by nas nie wynarodawiał i nie wydziedziczał w Poznańskiem. A teraz jak Prusak

pospołu z Austryakiem będzie bił Moskali, to może po wojnie coś nam rzuci, ale wnet dwa razy tyle znowu wydrze...

— Znowu Prusak sam pokoju dyktować nie będzie. Odezwą się przecież za nami Francya, Anglia i Włochy.

— Tylko nie za wiele obiecujmy sobie z tej strony. Wiemy przecież, jak nas na lodzie zostawiły te państwa w roku 1830 — 31 i 1862 — 63.

— Teraz zawierucha wojenna ogólna, więc będzie inaczej.

— Daj Boże, ale ja mówię: nie zapalajmy się, abyśmy sił nie zmarnowali, zanim przyszłość Ojczyzny od nas rąk zdrowych i poświęcenia serc nie zażąda. Cóż się z nami stanie, jeżeli w takiej chwili zamiast żywych i jednością potężnych rozścielimy się jako kości, bielejące się całunem wiernopoddańczego hołdu dla jednego czy dwóch tronów zaborczych?

— Chrzest krwi Naród przy życiu utrzyma i wiarę w siły własne umocni.

— Albo krew męczeńską wytoczy i Naród rzuci na łaskę i niełaskę pruską.

— Powiedz raczej: austryacką!

— Ależ tak nie jest. Silniejszy w spółce jest górą. Prusy po wojnie będą duchem Austryi. Zwycięstwo wspólne Prus i Austryi byłoby więc naszym polskim Grunwaldem.

Marta spojrzała bacznie.

— A co się stanie wówczas z młodzieżą, z przyszłością, z życiem naszem — zapytała.

— To wszystko będzie zerem dla zwycięskich Teutonów. Nie odrazu, ale przez lata strawią nas i pochłoną. Obym się mylił!

To mówiąc starzec głowę pochylił i twarz pochmurną w dłoniach ukrył.

Piotruś zerwał się atoli pełen zapału na równe nogi i zawołał:

— Cóż za niewiara! Legiony, mój stary, to zadatek Polski wolnej. Nie może być Grunwaldu, jeźli rycerstwo polskie gościniec wymuruje dla wolności z czynów bohaterskich i dzieł wiekopomnych. Ja z legionistami!

— Mamo — zawołała Zochna — i mnie tam wszystko woła. Może i ja się tam przydam.

— Ty moja najmilsza w potoku krwi i w dymie pożarów?

— Aby ratować dziatwę, opatrywać rannych, aby chleb piec dla naszych bohaterów.

— Panna Zochna — odezwał się na to Piotruś —— będzie jak Postowujtówna, albo jak Chrzanowska w Trembowli. Można tysiące porwać takim zapałem.

Mówiąc to spojrzał na Zochnę z gorącem bratniem uczuciem i nadspodziewanie dłużej zatrzymał wzrok na jej rysach o typie czysto polskim i o wyrazie tak wymownym, jak mówi jedynie miłość prawdziwa.

Piotruś pierwszy raz zauważył, że Zochna była nietylko miłą, ale także porywająco piękną.

Zaraz też przysunął się do niej i tak mówił:

— Utworzymy dwa oddziały: ja z młodzieńców żądnych walki z Moskwą, a ty z niewiast do pomocy sanitarnej.

— Zaraz jutro zacznę szyć sztandary! — zawołała z zapałem Zochna.

— A ja plan wypracuję jakby zdobyć Warszawę. Na ochotnika dostanę z pół miliona młodzieży.

— Milion! — wtórowała mu rozpromieniona Zochna.

— A mnie to samą zostawicie? — jęknęła Marta.

— Ty matko — rzekła na to Zochna, — pójdziesz do Stanów Zjednoczonych i będziesz tam współdziałać w ruchu patryotycznym.

— A cóż ja stara poradzę?

— Trzeba będzie składki zbierać, odzież i medykamenta gromadzić, odznaki wyszywać...

— Oh usłużę wam w tem i dobrze. Bądźcie pewni, moi najdrożsi.

Spojrzała na młodych, jakby już należeli do siebie, aż się Zochna zarumieniła i głowę pochyliła.

Piotruś jedną rękę wyciągnął do Marty, a drugą do Zochny.

— Postanowione jednak między nami,

że jedziemy we troje najpierw do Stanów Zjednoczonych, a potem, co daj Boże, do Polski.

Marta nieco zaniepokoiła się.

— Jakto, zaraz mamy jechać? A co powiedzą Merzowie?

— Niech mówią co chcą.

— Przed profesorem — odezwała się Zochna — nie potrzebujemy się tłumaczyć, a z Małgosią sama pomówię.

— Uczyń to jutro przed południem. Pojutrze odjeżdża parostatek "George Washington". Dobrze nam będzie pod flagą amerykańską.

— Oj dzieci, drogie dzieci — odezwał się teraz Jeleń — jakże to cudownie planuje się tryumfy i zwycięstwa. Ale życie jest jednak pełne przeciwności. Jakież macie fundusze na drogę?

— Ja oszczędność oddałem matce i nie mam nic — rzekł Piotruś.

— A ja mam odłożonych ze sto dolarów — spowiadała się Marta.

— A ja, trzydzieści sześć dolarów! — z pewną dumą dodała Zochna.

— Macie więc wszyscy razem — mówił teraz zwolna i z naciskiem Jeleń — akurat tyle, ile ma sił Polska w okowach, aby walcząc za Prusy zdobyć wolność. To strasznie mało. Mnie was żal.

— Nie liczysz naszego zapału, który cuda zdziała — zawołał Piotruś.

— I naszego poświęcenia — dodała Zochna — że się obejdziemy najmniejszem.

— W każdym razie — odparł Jeleń — mnie starego wzrusza wasza pamięć o Ojczyźnie. Gdyby wszyscy tak czuli, wiele bardzo sił i zdrowia przybyłoby Ojczyznie. Czyliż istotnie pragniecie wyjechać i trudy i niebezpieczeństwa walki dzielić?

— Tak! — dwa głosy z mocą powiedziały, a trzeci cichy im wtórował.

— Więc pozwólcie mnie staremu dołożyć cokolwiek do waszego skarbu wojennego. Połowę oszczędności całego życia: tysiąc dolarów dam wam na drogę.

— Pamiętaj na sieroce dnie własnej starości.

— Oby były osłodzone promieniami

błogosławionych od was wieści o odradzającej się Polsce.

— Ujrzysz te promienie i usłyszysz te wieści, bądź pewien!

— Daj Boże! Ale proszę was o to bardzo, abyście co najdzielniejszych i najszczerszych Braci w Ojczyznie o wskazówki pytali i za ich radą poszli. Pruska zdrada powinna wam brzmieć w uszach, jak polskie dziejowe "Mene, Tekel, Fares!" Pamiętajcie o tem i dobrze każdy krok rozważcie.

— Nie wierzysz w naszą misyę, a wspierasz ją.

— Myśl o Polsce nie zna różnicy przekonań, ale wymaga wzajemnej uczciwości w trosce o złączenie wszystkich sił do jednego celu. Pomagam, aby wasz zapał, jeźli na czasie będzie, nie zgasł dla braku środków. A czy on będzie na czasie, to na miejscu rozstrzygną wasze sumienia.

— Jesteś pan szlachetnym człowiekiem.

— Polakiem!

— Daj Boże takich miliony!

— Daj Boże Polskę wolną!

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Ucieczka.

Lina Zalajas grała nocturnę Chopina, cieniując subtelnie poruszające zwroty wspaniałego utworu.

Od czasu do czasu od klawiszy wzrok jej biegł jakby z falą akordów do stojącego przy fortepianie profesora Merza.

Przybył on właśnie, aby zwierzyć się przed ukochaną ze swojej przeszłości, ale pod wpływem jej gry i jej spojrzeń omdlewał na duchu.

Lina nigdy nie wydała mu się tak piękną, jak tego dnia i nie miał wprost odwagi zburzyć drogich chwil szczęścia.

Ona jakby wiedziała, co jest w jego sercu, gdyż widząc go bardzo rozmodlonym i okropnie smutnym, przestała naraz grać i rzekła doń:

— Mój pan jak widzę nie ma odwagi.

— Och, jeżeli o odwagę idzie, szedłbym w imię twoje Lino choćby na Petersburg...

— Ale żeś zmęczony i najwidoczniej fatalnie dziś wrażliwy, więc może lepiej, że zamiast dalekiej podróży do Petersburga, odwiedzisz z zaufaniem tajnie mego serca i wrzucisz do niej twój sekret.

— To niepodobna!

— Nie ma rzeczy niepodobnych, a szczególniej, jak dawniej mówiłeś, dla Prusaka. Czy nie uczono tego zresztą ciebie, mój panie, w berlińskich szkołach?

— Wiem, przeszkody trzeba łamać choćby za cenę życia.

— Więc je łam, a szczęście możesz wziąść w nagrodzie. Słucham!

— Lina! Nie dbam o życie, ale radbym zachować twój szacunek. Czy nie potępisz mnie, jeźli wyznam całą prawdę.

— Którą może już znam i to bardzo dokładnie...

— Któżby śmiał?

— Baron Von Kolnitz!

— Ty go znasz?

— Szalał za mną młodzieniaszkiem i przypomniał sobie teraz o tem.

— Poważył się!

— Spróbował szczęścia dla interesu!

— Lina nie mów dwuznacznikami, nie wytrzymam...

Oddychał ciężko mówiąc to, a ona przyciągnęła go z lekka do siebie i szepnęła doń znacząco:

— Zdrady nie doznasz odemnie. Tyle wiary powinieneś mieć do moich uczuć!

— Więc czego chciał ten straszny człowiek?

— Sprawiłoby mu przyjemność, gdybym cię porzuciła...

— Łotr!

— Czynił mi nawet strasznie ponętne propozycye. Dawał mi poniekąd do poznania, że gotówby sam pomyśleć o mnie. Wyobraź sobie, jak uczułam się podniesioną mając perspektywę używania tytułu baronowej.

— I oczywiście odpędziłaś go z pogardą?

— Wcale nie.

— Jakto?

— Zaprosiłam go z najzimniejszą krwią, aby odwiedził mego ojca...

— Lina!

— Czy miałam jak rozkapryszone dziecko odtrącić go brutalnie i przyspieszyć akt jego zemsty.

— Niechby się mścił. Ten Meksyk...

— Ale w Meksyku mój drogi meksykańskie teraz stosunki i całe bandy rozmaitych generałów gotowe iść pod tajną komendę takich baronów...

— Co mówił o mnie?

— Wszystko, to jest tyle, że tylko dla formy powinnam cię wyspowiadać, aby cię rozgrzeszyć. Tak, mój biedny panie... Gruber.

— Więc aż tak daleko poszedł?...

— I dobrze zrobił. To może jedyny dobry czyn w jego życiu.

— Zbeszcześcił mnie w twoich oczach.

— Siebie raczej do reszty w mojem sercu zabił. Pogardzam nim...

— Czy i mną?

— Jestem przy tobie tak dalece, że jedno tylko ostateczne powiem słowo: Uciekajmy!

— Porzuciłabyś ojca?

— Tak!

— I majątek.

— Ojcowski tak, a co mam na moje imię, to nam wystarczy na długą przyszłość.

— Lina!

— Pójdziesz ze mną?

— A ty nie szydzisz z człowieka tak bardzo jak ja nieszczęśliwego?

— Czy to ja jestem twojem nieszczęściem?

— Cóż znowu! Tyś słońcem, tyś wszystkiem mojem!

— Więc nie mów, żeś nieszczęśliwy.

— Ale cóż się stanie z Margeritą?

— Mam wrażenie z tego, co wiem od niej samej, że nasz odjazd wpłynąć może dodatnio na jej dalszy los i na jej przyszłe szczęście.

— Czy to jej myśl?

— Zanadto cię kocha, aby to przez jej usta przeszło. Ale przecież Herman Gesler będzie miał znacznie wolniejsze pole, jeżeli zejdziemy niepostrzeżenie z ich drogi.

— Bez pożegnania?

— Co po tem? Zostawisz jej mój czek

na $10,000, który zaraz wyrobię i powiesz, że wyjeżdżasz ze mną, aby dawne cienie zatrzeć i przez to trudności co do pobrania się jej z Geslerem na zawsze usunąć.

— Jesteś więcej niż aniołem!

— Jestem kochającą, wierną kobietą i Meksykanką! Pójdź za mną!

— I nie będziesz żałować?

— Nigdy! A teraz nie marudź! Za trzy godziny odjeżdżamy.

— Muszę przecież spakować się.

— Byłam u Małgosi i powiedziałam jej i Marcie, że oboje wyjeżdżamy z moim ojcem na kilkanaście dni do miasta Meksyku. Marta prawie, że się uradowała! Niewątpliwie pakuję teraz twoje skarby!

— A Małgosia?

— Nie chciała mi wierzyć, ale wytłumaczyłam jej, że idzie o interwencyę moją u Huerty w sprawie nominacyi ojca na ministra.

— Ale ojciec twój nic oczywiście o tem nie wie?

— Sam mnie zapytywał, czy pojechałabym do stolicy. Wcale się nie rozgniewa,

gdy mu powiem, że pojadę sama. Jest on przecież zazdrośny o tę małpę, której na imię generał Fierro i nie chciałby zostawiać go sam na sam z panem Fuentes.

— Więc możemy zniknąć nieomal niepostrzeżenie?

— Przestań być jednak na chwilę zakochanym.

— Jestże to podobnem?

— Na małą chwilę koniecznem. Wszakże musisz coś obmyśleć, aby i twój odjazd upozorować.

— Lina, w tobie są wszystkie doskonałości: jesteś mądra, dobra i cudownie prześliczna...

— A ty mój panie jesteś dziś bez głowy i robisz wrażenie starej baby...

— Masz racyę. Winienem otrząść mózg z niepokoju, skoro mam tak dzielne w tobie oparcie.

— I to mówi potomek ludzi o żelaznych pięściach, czy już tak nisko upadł patryotyzm pruski?

— Jeszcze mnie zobaczysz — silnym na duchu i potężnym. Spieszę teraz do

Małgosi. Lepiej, że z nią pomówisz, aniżelibym miał listem ją trwożyć...

— Będzie to istotnie odpowiedniej. Ja tymczasem obrobię ojca i podejmę z Banku pieniądze. Czek dla córki twojej doręczę ci za pół godziny.

Spojrzeli na siebie i w oczach łzy uczuli. Dla odrobiny niepewnego szczęścia musieli rzucać swoich najbliższych i iść w świat. Teraz musieli wystarczyć sobie za wszystkich i za wszystko.

Profesor otworzył ramiona, jakby gotowe do obrony najdroższego skarbu. Ona upadła w te ramiona i zawsze silna i pełna władzy nad sobą, zapłakała jak dziecko.

On ją posadził na swych kolanach, tulił i pieścił jak dziecko prawdziwe i pocałunkiem łzy jej osuszał.

Ani się spostrzegli, jak się drzwi otworzyły i jak w nich stanął ojciec Liny Excelencya Zalajas.

Rysy jego okrąglutkie jak u księżyca w pełni skrzywiły się, a prawica jego silniej ścisnęła laskę, którą się podpierał dla swego niedomagania.

Nie podniósł jednak laski, a nawet słowa gniewu wstrzymał na ustach. Lina bowiem chyżo jak sarenka zeskoczyła z kolan profesora i rzuciła się ojcu na szyję.

— Niechno papa się nie chmurzy — szepnęła mu w ucho — uprawiam wielką politykę i poświęcam się dla ciebie.

Powiedziawszy to zwróciła się do profesora:

— A pan tu jeszcze! Czy nie rozumiesz, że mam z papą konferencyę. Ukłońże się niziutko Jego Excelencyi i umykaj do codziennych zajęć.

Gdy Merz odszedł, Zalajas pozwolił się najspokojniej wycałować córce, a potem bardzo słodko rzekł do niej:

— Miarkuj się w twojej wielkiej polityce, abyś nie upadła. Każdy Prusak ma to w sobie, że co raz porwie, tego już nigdy nie zwraca.

— A przecież nie porwał mnie, skoro jestem przy tobie!

— Zrabował on jednak co najlepsze w tobie: twoje serce! Tyś się ogromnie odmieniła Lino!

— Najlepiej też będzie, gdy ztąd odjadę.

— Gdybyś mogła o nim zapomnieć!

— Jadę więc do Meksyku i poprowadzę tam doskonale twoje interesa.

— Moja ty przylipko!

— Ale nie chcę pożegnań i scen melodramatycznych. Ty wiesz, że tych nie znoszę.

— Przyjdź jednak przed odjazdem, abyśmy o naszej wielkiej polityce mogli pomówić.

— Odwieź mnie lepiej do Banku, a będziemy mówić przez drogę i z powrotem.

Zalajas poszedł po swój duży słomkowy kapelusz, a zaraz potem zeszedł z córką do automobilu i szybko odjechali.

Profesor Merz miał nieco cięższą przeprawę z córką.

Pomagając Marcie do zapakowania kufra i torby podróżnej wpadła ona w wielki niepokój, który się łączy zawsze z przewidywaniem nowych przejść. Czuła jakąś

daleką, ale szybko zbliżającą się wielką burzę i z trudem tylko panowała nad sobą. Chociaż lubiła bardzo Martę i Zochnę, nie były ze sobą tak spojone, jak to się dzieje pod wpływem szczerej przyjaźni. W tych dwóch kobietach było inne życie, inne dusze, inne myśli. Przy najczulszej ich nawet opiece czuła się Małgosia wśród nich jednak obcą. Jakże okropnie smutnem będzie jej sieroctwo, gdy ją ojciec odjedzie!

Te jej rozważania przerwała niespodziewana wizyta Hermana Geslera. Nie mogąc się dobić do drzwi od frontu, wszedł on do kuchni i zaskoczył ją w czepku i fartuszku.

Ujął ją pod ramię i uprowadził aż do jej własnego pokoiku i tam dopiero ucałował z wielkim zapałem rozkochanej duszy.

— Uciekamy dziś jeszcze!

Te trzy słowa z jego ust spadły na Małgosię jak grom.

— Zkądże to tobie?

— Nie mamy czasu do stracenia. Baron Von Kolnitz pracuje, aby ojca mego

przeciw tobie usposobić, a obaj planują zamach na moją swobodę i na nasze szczęście.

— Ależ uciekać i tak nagle, bez przygotowania...

— Baron jest jak wcielony dyabeł, a ma środki i potężne wpływy na wszystko. Jego pruska maszyna pracuje bez wytchnienia. Czy mamy czekać aż nas jej koła uchwycą i zmiażdżą?

— Kiedyż mamy odjechać?...

— Statek przewozowy Rogersa, który jak wiesz jest moim przyjacielem, czeka na nas w porcie. Z boku ma spory napis "De Barca". Na maszcie flaga hiszpańska. Łatwo rozpoznasz. Zbierz co najważniejsze drobiazgi do ręcznej torebki i idź do przystani przez plac giełdy. W wielkim ruchu tej dzielnicy nie zwrócą na ciebie uwagi. Ja czekać będę na okręcie.

— Hermanie, to wszystko za nagłe, lękam się!

— Nasza miłość wszystko przetrwa.

— Posłuchaj mnie jednak. Mam i ja słowo do ciebie.

— Ależ mów najdroższa!

— Pozwól mi jednak być całkiem szczerą i całkiem otwartą...

— Przecież to podwalina wszystkich uczuć.

— Otóż słuchaj mnie i przebacz, jeśli cię zranię. Stokroć więcej sama przez to ucierpię. Ja nie nazywam się Merz. Moje nazwisko: Gruber. Mój ojciec zabił moją matkę w strasznej scenie z baronem Von Kolnitz, byłym swym najserdeczniejszym. Baron nie zapomniał po wszystkich latach od owego dnia o swojej zemście. Ojciec mój i ja wystawieni jesteśmy na prześladowania bez końca. Jakżeż mogłabym dopuścić, abyś ty także był jego ofiarą!

Herman słuchał w ogromnem poruszeniu, a gdy Małgosia skończyła, rzekł:

— Nie odpowiadasz najdroższa za błąd twego ojca, a okropne przejścia twoje, wzmacniają tylko moje uczucia. Nie opuszczę cię.

Ujął ją znów w silne ramiona i tulił do siebie, podczas gdy jej serce drżało jak liście osiki.

Naraz wyrwała się Małgosia z jego objęć i zawołała:

— Nie mogę stawać jednak między tobą, a twoim ojcem. Jego przekleństwo ścigałoby nas wszędzie.

— Ojciec mnie nie przeklina, ani ciebie nie potępia. On boi się jedynie potężnego barona. Ale i na tego łotra znajdzie się sposób. Teraz kiedy mnie sam ojciec chce ztąd wyprawić, jadę niby z Rogersem na wakacye, a w rzeczywistości z tobą, z moją ukochaną, z moją przyszłą, żoną.

— Ty jesteś jakby odrodzeniem się rasy teutońskiej, w tobie nie ma nikczemności krzyżackiej, tyś szlachetny!

On ją znowu przytulił do siebie.

— Więc uciekamy? — pytał szeptem.

— Tak — odszepnęła, oddając pocałunek i uścisk.

Prędko potem rozstali się i niewątpliwie w sam czas, gdyż na schodach starł się już Herman o profesora.

— A to pan? Co za piękny dzień!

— Zaprasza formalnie do wycieczki.

— Planowałem ją właśnie z pańską córką.

— A ja planowałem ją z Zalajasem!

— Więc dobrze się składa, gdyż panna Małgosia nie zostanie samą...

— Doskonale!

— A więc szczęśliwej podróży...

— Dobrej wam zabawy!

Córkę zastał Merz we łzach.

Pakując swoje drobiazgi natrafiła na fotografię matki i zapłakała jak sierota.

Widok ojca w tej chwili wstrząsnął nią jeszcze więcej. Odżyły dawne wspomnienia, roztwarzyły się rany, ból serce i krtań zdusił. Trwoga przeczuć dziwnych włożyła w jej usta gorzkie słowa.

— Wszystko zapłacić trzeba, ojcze, — rzekła do niego przez łzy, gdy ją starał się pocieszyć — winy dawne upominają się, dług niespłacony przytłacza, los nas za karę znowu rozbija, ty jedziesz do Meksyku, ale Bóg wie dokąd, Bóg wie czy cię kiedy zobaczę.

— Pocóż te myśli! Mój wyjazd nie na zawsze, a moja nieobecność to żaden cios

dla ciebie. Zniknie cień dawnych dni, a to rozjaśni twoją drogę.

— Wysłuchaj mnie ojcze! Wiem, żeś dobry i że sam jesteś ofiarą barona! Ale tem więcej boję się o ciebie. Miałam tej właśnie nocy sen o tobie straszny. Śniło mi się, że moja matka z mózgu swego wyrywała zakrwawioną kulę i że jakiś straszny potwór czarny jak śmierć, wbijał inną ognistą jakąś kulę w twoje serce. To był straszny widok. Dławi mnie on dotąd.

Merz z wielkiem przezwyciężeniem się powstał, machnął rękami przed swą głową, jakby rozpędzał straszne czary i całując córkę, rzekł:

— Nie poruszaj tego co minęło. To się już nie wróci. Zmarli, nie powstają z grobów. Życie dla żywych.

— Oby ci się szczęściło ojcze.

— Lina ze mną! — rzekł znacząco.

Małgosia uścisnęła go.

— Szczęść Boże! — szepnęła.

— A to dla ciebie! Zostawiam co mogę, aby cię ochronić od niedostatku!

— Lepiej wziąłbyś to ojcze sam z sobą. Będę mieć opiekuna!

— Myślisz, że Herman...

— Oświadczył mi się...

— A ty?

— Pójdę z nim choćby na kraj świata. Przy nim nowem życiem odżyję!

— Dajże to Boże! Tyś godna szczęścia!

Wsunął w jej ręce czek i pieniądze, pocałował raz jeszcze i wyszedł.

Na schodach przystanąć musiał i pot otrzeć. Męka wspomnień krwawych strasznie go udręczyła.

U bramy czekał już automobil Zalajasów.

Zochna przy pomocy szofera zniosła już była kufer, torbę i pakunki i stała zaciekawiona i niepewna czy ma profesorowi powiedzieć o odjeździe swojem i matki. Ale uczciwość tej ostatniej rozstrzygnęła tę wątpliwość.

Marta wybiegła za profesorem i sama mu o odjeździe swoim i córki opowiedziała.

— Żal mi — rzekł Merz — że właśnie teraz córkę moją opuszczasz.

— Jeżeli Ojczyzna woła mój panie, to trzeba zaraz jechać, bo jak się człowiek spóźni, już może być po niej...

— Więc chcecie ją wyratować!

— Z toni obcej chcemy wyrwać jej duszę!

— A czy się na własnych wodach utrzyma?...

— Damy jej życie nasze i mienie nasze i wszystkie nadzieje nasze. Żaden obcy więcej jej nie da.

— Ale walka z tym obcym straszna.

— Walczymy i tak nieustannie.

— Niechże i dla was przyjdzie zwycięstwo.

— Przyjdzie panie. Bywajże! Chodź Zochna!

Atoli Zochna, uwolniona już przez matkę od obowiązku opowiedzenia wszystkiego o odjeździe matki i swoim, pobiegła w czasie tej rozmowy do Małgosi, aby i ją pożegnać.

Dowołać się już jej teraz nikt nie mógł. Tyle zwierzeń miały wzajemnych, że na nic innego uszu nie miały. Przytem na drogę

przysposobić należało drobne zakupna. Przyodziały się więc i wyszły obydwie w stronę bulwaru handlowego.

Szły pod rękę i pochylone ku sobie rozprawiały żywo żadnej uwagi nie zwracając na przechodniów.

Tak się zaś rozgadały, że przeszły dalej poza bulwar w stronę kwatery generała Fierry.

Tu nagle otoczyło je wojsko silnym łańcuchem, a do przerażonych zbliżył się Ike.

— Mam panie zaprosić — rzekł ze słodko złośliwym uśmiechem — na wspaniałą ucztę do pana barona Von Kolnitz.

— Ależ nie napadaj nas tak zuchwale na gładkiej drodze, gdyż odpokutujesz za to mój panie! — zawołała Małgosia.

— To rozbój — krzyczała Zochna.

Krzyki te przyciągnęły już nieco ciekawych, więc Ike wziął się na sposób i dobywając rewolweru rzekł:

— Mam rozkaz strzelać, jeżeli natrafię na opór!

Małgosia i Zochna widziały, że wpadły

w pułapkę i że są bezbronne wobec tylu pół dzikich żołnierzy.

Dały się więc wsadzić do automobilu, który czekał przy kwaterze Fierry.

Ike i dwóch drabów o herkulesowych postawach siadło naprzeciw.

Automobil wyruszył w ogromnym rozpędzie do przystani i wnet zniknął z oczu ciekawych.

Ike odezwał się teraz do wystraszonych dziewcząt:

— Moja misya jest nader bolesną dla mnie, gdyż wysoko cenię honor tak dostojnych pań...

— Jeżeli chcesz pieniędzy powiedz: ile?

— Jakżebym śmiał przyjąć cokolwiek. Cóżby na to powiedział baron?

— Jakie więc masz od niego rozkazy?

— Bardzo fatalne. Kazano mi skrępować wasze ręce i nogi, włożyć w wasze boskie usta chusty jedwabne, zawinąć w płachty masztowe i wnieść do specyalnych kabin...

— Na jaki okręt?

— Parostatek handlowy: De Barca!

— Czy się nie mylisz?

— Nie!

Małgosia spojrzała teraz znacząco na Zochnę i rzekła:

— Zrób jak ci kazano. Ale chusty same włożymy do ust, a w płachty zawijać nas nie potrzebujesz. Spuścimy nasze ciemne welony i nikt nas nie rozpozna.

Ike spojrzał z podełba.

— Tylko żadnych sztuczek moje szanowne panie! Oto chusty!

Gdy je same istotnie włożyły i woalki głęboko na dół spuściły, zawiązał obydwom ręce i szepnął im do uszu:

— A teraz baczność. Lufa mojego rewolweru mierzy w wasze serca. Baron patrzy już na nas.

Baron Von Kolnitz stał istotnie przy pomoście prowadzącym na pokład handlowego parostatku "De Barca" i był nieco zdziwiony, gdy Ike uprowadzał dwie silnie zawoalowane damy, zamiast znieść spore zawiniątka, o których zapewniał Rogers, a że będą zawierać drogocenne makaty.

Gdy damy już przeszły do kabin wraz

z Ike i dwoma drabami z jego straży, Rogers trącił też znacząco barona i rzekł doń:

— Strasznie drogie przewozisz makaty panie baronie!

— Po części zakład, a po części sport! — odparł z widocznem zakłopotaniem baron.

— Tylko ostrożnie z ogniem, a zwłaszcza na moim statku mój panie!

— Wynagrodzę po królewsku!

W tejże chwili zajechał drugi automobil i wyskoczył z niego Herman Gesler z ogromnie wzburzoną twarzą.

Baron na jego widok cofnął się z pośpiechem do zamówionych kabin, a Rogers podbiegł do przyjaciela.

— Sam przyjeżdżasz? Cóż się stało!

— Zginęła, przepadła!

— Mówże rozsądniej!

— Wyszła z domu z przyjaciółką swą Zochną Pawulską i zginęły obie bez wieści.

— A tu do mnie — szepnął mu w ucho Rogers — sprowadził właśnie baron Von Kolnitz dwie damy pod silnym konwojem.

— To one!

UCIECZKA.

— Nie mów przed czasem, ale raczej ukryj się na chwilę. Wnet przekonamy się!

W tejże chwili zabrzmiał donośny sygnał kapitana.

Okręt De Barca wyruszył z przystani!

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Poseł z Berlina.

Uczta miała się ku końcowi.

Uprzejmy gospodarz współwłaściciel stalowni i szczęśliwy posiadacz wielu milionów Rauth, ukończył właśnie krótki swój toast na cześć bardzo dystyngowanego gościa z za oceanu, Jego Ekscelencyi Stilburga, byłego pruskiego ministra spraw wewnętrznych, a później szefa departamentu dla spraw kolonialnych i w pół uśmiechnięty badał wzrokiem wrażenie słów swoich.

Atoli u wszystkich biesiadników widział twarze rozpromienione i zauważył z zadowoleniem, że do oklasków podniosły się ręce kongresmanów Witmana i McNicol, a nawet samego gubernatora Hartunga.

Dźwięki pruskiego marsza: "Cześć to-

bie w laurze zwycięztwa" dyskretnem pianissimo weszły niepostrzeżenie we wrzawę tych oklasków i w ożywioną rozmowę pięknych pań i wybitnych dygnitarzy i jakby echo dalekiej walki odbiły się w umyśle niejednego z obecnych.

Kongresman McNicol poruszył się niespokojnie na krześle i zapytał przyciszonym głosem swojej sąsiadki, żony fabrykanta Maedlera:

— Jeśli się nie mylę jestto marsz pruski?

— Tak mój panie, to jest apoteoza potęgi wszechniemieckiej pod wodzą Hohenzollernów!

— Cała Europa powstaje przeciw tej potędze. Sytuacya groźna! Wojna okropna.

— Europa panie McNicol podzielona, ale Niemcy zjednoczone.

— Nawet Herkules nie mógł pokonać ataków z wszystkich stron.

— Herkules był sam jeden, a Niemców jest miliony.

— Pani wierzy w zwycięztwo Niemiec?

— Naturalnie. Ale oto będzie mówić nasz minister. On to lepiej wyjaśni!

— Nasz?

— Przepraszam panie kongresmanie. Miałam na myśli kraj, z którego pochodzę. Niepoczciwie z pana strony, żeś mnie chciał złapać.

— Kontrabandę chwytamy, to trudno.

— Pruską to tak, ale czy i angielską?

McNicol zagryzł wargi i szepnął:

— Posłuchajmy. "Wasz" minister ma głos!

Ekscelencya Stilburg zaczął ledwo dosłyszalnym głosem, wyrażając radość, że jest w pośród tak znakomitych i wpływowych Amerykanów.

— Przybyłem, — mówił — z woli mojego cesarza, aby objaśnić decydujące koła tutejsze, o pokojowych zamiarach Niemiec. Ubolewamy szczerze z powodu tak olbrzymiego rozognienia wojny, która została nam narzuconą, przez państwo pragnące opanować wszystkie morza. Liczymy na to,

że Stany Zjednoczone będą za wolnością żeglugi na wszystkich oceanach i że mądry i roztropny kierownik wspaniałego tego państwa, wasz prezydent, oceni należycie doniosłość zapasów tak krwawych, które obejmują problem wolności mórz, zarówno dla Niemiec jak i dla Stanów Zjednoczonych. W gruncie rzeczy bronimy panowie waszych ideałów!"

Bankier Lowe, który się wpatrywał w Stilburga jak w tęczę, dał przy tych słowach sąsiadom swoim sygnał do ciepłego potakiwania.

Browarnik Fuchs nie mógł atoli utrzymać pod kontrolą własną swego zapału i naruszając etykietę solennych obiadów wykrzyknął:

— Wiwat Niemcy!

Gubernator Hartung obruszył się nieco, ale przekonawszy się, że okrzyk wyszedł od milionera, uśmiechnął się doń jak do człowieka, którego majątek usprawiedliwia wszystko.

Ekscelencya Stilburg pospieszył ze

swej strony złagodzić wrażenie okrzyku i kończył toast w tych słowach:

— Serdecznie dziękuję gospodarzowi, że mi dał sposobność poznać tylu wybitnych przedstawicieli tego kraju, piję na pomyślność Stanów i waszego prezydenta do rąk Ekscelencyi pana gubernatora!

Muzyka zagrała teraz sztandar gwiaździsty, a gdy wszyscy z miejsc powstali, Ekscelencya Stilburg podniósł swój kielich napełniony szampanem i zawołał:

— Niech żyją Stany Zjednoczone!

Teraz był zapał ogólny.

Gubernator Hartung dziękował skinieniem głowy Ekscelencyi Stilburgowi, a kongresman Witman mrugnął przychylnie baronowi Von Kolnitz.

Bankier Lowe sięgnął już nawet po książkę czekową, aby zaimponować zgromadzeniu większą ofiarą na krzyż czerwony, ale pani domu podała właśnie rękę dystyngowanemu gościowi i wszyscy ruszyli z miejsc.

Furyerzy w pełnej gali otworzyli wspaniałe odrzwia, prowadzące do sali balowej

i naraz cały orszak gości znalazł się przed czarodziejską niezwykłą atmosferą światła i kwiatów.

Z za kwiatów orkiestra grała Strausowskiego walca: "Nad błękitnym pięknym Dunajem".

Czterdzieści par poszło za rozkoszną nutą w wir tańca.

Lowe zwrócił się do Maedlerowej.

— Pani — rzekł — na oko licząc tańczy co najmniej 400 milionów dolarów. Jeżeli my oboje przyłączymy się będzie pół miliarda

Zaśmiał się z własnego dowcipu i tłuściuchne ramiona wyciągnął do gotowej już tancerki.

— Tylko nie zatańcz przez pomyłkę rosyjskich prysiudów — rzekł mu w uszy gubernator.

— Panie Hartung—odparł Lowe przecież ja nie będę chciał, aby moje papiery pospadały na giełdzie!

— Oh, takie spadanie to musi być rzecz okropna!

— Jak się dobrze podeprę o Morgana, to mogę i na spadaniu zarobić.

W tej chwili Fuchs wpadł na Lowego z córką Witmana, więc Lowe ujął swą tancerkę i zakręcając z fantazyą wielkie koło, zawołał do gubernatora:

— Panie Hartung był sztos i kursa w ruchu!

Śmiech jego zginął w dźwiękach rozkosznego walca.

Baron Von Kolnitz odprowadzał właśnie niziutką, pękatą córkę pana bankiera Lowe do bufetu, gdzie ulokował ją pod drzewami bzu przy rówieśniczkach, ochładzających się świetnymi lodami.

Oddalając się od niej wśród wielu komplementów otarł się o młodego Geslera.

Spojrzawszy mu bystro w oczy, widział w nich całą wściekłość bezslinego gniewu.

Uśmiechnął się jak szatan, gdy napotkał udręczoną przez siebie ofiarę i rzekł:

— Jak widzę ciągle jeszcze rozpaczasz! Jakże mi pana żal!

— Pańskie współczucie to jak miech, który ogień rozpłomienia.

— Istotnie trzeba go rozżarzyć, aby do reszty wypalił szczątki rzeczy straconych.

— Czy pijesz baronie do mojej krzywdy?

— Ja panu żadnej nie wyrządziłem.

— Pan wyobrażasz sobie, że sprytnie ułożonych łamigłówek nikt nie rozwiąże.

— Troskę o łamigłówki pozostawiam młodszym...

Powiedziawszy to z przekąsem, odchodził, ale go Gesler zatrzymał:

— Baronie!

Von Kolnitz przez ramię odrzucił:

— Co jeszcze?

— Czy "pańskie" śledztwo nie wykryło miejsca pobytu meksykańskiego zbója: Ike?...

— Jakże możesz o to pytać? Stany Zjednoczone nie mogą dać sobie rady z Meksykiem a ja miałbym sprostać rozbójnikom meksykańskim?

— Znajdzie się jednak ktoś, który po nitce dojdzie kłębka.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Jeszcze dziś opowiem wszystko Ekscelencyi Stilburgowi.

— Doskonała myśl! — zawołał odchodząc baron — powinieneś ją opatentować.

Gesler prawie, że pięść za odchodzącym podnosił, ale w samą porę zjawiła się przy nim, jak anioł opiekuńczy, pani Rauth.

Była ona daleką krewną Geslerów i miała ogromne współczucie dla Hermana, zwłaszcza, że tenże był przystojnym chłopakiem i w smutku swoim ujmował ją nadzwyczajnie głębokością uczuć dla zaginionej Małgosi.

Pani Rauth nie znała wprawdzie tej dziewczyny i nie znała również jej historyi, ale jej porwanie, jakie miało miejsce w tak wyjątkowych warunkach sprawiło było w swoim czasie i na niej, jak na wszystkich, ogromne wrażenie.

Wypadek był przez to samo całkiem niezwykły, że najważniejszy szczegół przedstawiony był przez dwóch świadków klasycznych całkiem odmiennie.

Podczas gdy Rogers upierał się, że Ike

wprowadził w dniu krytycznym na jego okręt dwie zawoalowane damy, baron Von Kolnitz stanowczo temu przeczył i utrzymywał, że Ike znany bandyta meksykański wtargnął na okręt handlowy Rogersa w celu ograbienia go, gdyż musiał się dowiedzieć, że baron przewozi drogocenne mumie nabyte za bezcen w Meksyku i że ma ze sobą znaczniejsze fundusze.

Według opowiadania barona ów Ike na pełnem morzu kazał swoim ludziom skrępować Rogersa, Geslera i jego samego, pozamykał ich w osobnych celach, a następnie skrzynie barona, jego wszystkie pakunki i jego samego przeprowadził na czyhający już w pobliżu Coatsacoaleos, okręt piratów meksykańskich.

Baron utrzymywał wreszcie, że go Ike po złożeniu okupu wypuścił w końcu na wolność.

Całe to opowiadanie wydawało się bardzo prawdopodobnem, a władze ze względu na osobistość barona, uznały je za przedstawienie rzeczywistych faktów.

Rząd niemiecki przytem z takim zama-

chem wziął się do poszukiwania za Ikem, że przez to opowiadanie barona uzyskało niejako sankcyę powołanych do tego czynników.

Żadne z pism amerykańskich nie poddało w wątpliwość zapodanych przez barona szczegółów, a jedynie Gesler i Rogers pytali siebie półgębkiem:

— A czemu to nas nie uprowadzili i nie zażądali od nas okupu i dlaczego nie żądali okupu za obie dziewczyny?

Do tego przybywało pytanie Hermana pełne rozpaczy?

— Co się z nią stało? Gdzie jest Małgosia?

Czynił on za nią i za Zochną najgorliwsze poszukiwania na własną rękę, ale na żaden ślad nie natrafił.

Pani Rauth, która o tem dobrze wiedziała, czuła się niezwykle podnieconą tą tajemniczą romantyką całej sprawy i z tem większą sympatyą odnosiła się do Hermana.

I teraz zbliżając się do niego, miała w spojrzeniu litość anioła.

— Widzę, drogi Hermanie, — rzekła — że cię znów dotknął ten nieszczęsny baron.

— Nic to. I ja go dotknę.

— Tylko z rozwagą. Przygotowałam już Stilburga, że masz do niego ważną sprawę, w której podejrzaną rolę odegrał baron. Ekscelencya wyraził ogromne zdziwienie, ale przyrzekł mi wysłuchać cię i rozpatrzyć sprawę z wielką dyskrecyą. Ty wiesz, mój Hermanie, jak wielką rolę przywiązuje Ekscelencya do pomocy mego mego męża w swojej akcyi.

— Jesteś niezrównaną, najdroższa ciotko!

— Musisz jednak przyjąć odemnie gorzką także pigułkę!

— Tak gorzkiej, jaką od losu otrzymałem, nie ma drugiej, a od takiego promienia słonecznego jak ciotka, sama tylko pociecha płynie.

— Tym razem nagana!

— Cóż zrobiłem?

— Nic, a to właśnie najgorzej!

— Jakto?

— Czy wyobrazisz sobie, co mi o tobie powiedział Ekscelencya?

— A cóż innego, jak co mu podpowiedział baron.

— Wcale nie!

— To już doprawdy nie wiem!

— Słuchaj więc pilnie. Oto na moje gorące za tobą słowa, powiedział dosłownie: Nie powinniśmy się tem wcale zajmować, ani on o tem myśleć nie powinien. Czarny pruski orzeł w opałach i trzeba go wyratować i dopomódz do wzlotu po nad nas i po nad wszystko!

— To przecież jasne!

— Jeśli to uznajesz, zmień wygląd męczennika na żywy obraz męskiej energii. Przestań płakać mój chłopcze! Okaż się dojrzałym do walki i godnym zwycięztwa. Takim pragnę cię widzieć.

Skinęła mu życzliwie głową i odeszła, a on dopiero teraz przypomniał sobie, że po uczcie wybitniejsi Niemcy mieli się zejść ze Stilburgiem na naradę.

Niespokojnie rozglądał się po sali i widział, że już prawie tylko młodzież tańczyła.

Po odjeździe gubernatora i kongresmana McNicola, bankierzy, fabrykanci i plutokraci wysuwali się jeden po drugim. Zniknął Fuchs, Maegler a nawet Lowe.

Gesler więc poszedł także za nimi na górne piętro do biblioteki. Wchodził niemal równocześnie z gospodarzem, który musiał odprowadzić aż do schodów gubernatora i zatrzymywany co chwila ledwo, że zdołał wydostać się.

Na niego też faktycznie czekano w bibliotece.

Rozmowa dotąd dowolna, zamieniła się w poważną naradę.

Ekscelencya Stilburg zagaił ją, wyciągając do gospodarza obydwie ręce.

— Jak ja je do ciebie, mój drogi panie Rauth, wyciągam — mówił — tak cesarz i nasza niemiecka ojczyzna do nas wszystkich dłonie wyciąga. Musimy mniej doniosłe sprawy na bok odłożyć i jednemu myśl poświęcić, jednemu duszę oddać: zwycięztwu!

Geslerowi zdawało się, że Stilburg na niego patrzał, gdy to mówił i mimowoli

oczy spśucił, ale je wnet podniósł, gdy usłyszał doniosły głos barona:

— Nasza siła zasadza się na tem, że przygotowaniami do wojny obejmujemy wszystko. Niestety, nie objęliśmy jeszcze wszystkich!

Gesler uczuł na sobie przenikliwy wzrok barona, ale jedynie Rauth to jeszcze zauważył i rzekł:

— Pozostawmy na dziś w spokoju sprawy jednostek i zmobilizujmy siły do wspólnej walki!

To jest najważniejsze i konieczne — mówił Stilburg — Niemcy amerykańscy mają trzy zadania: ojczyźnie chleba dostarczyć a wrogom naszym wszystkiego odjąć, wpływać na politykę Stanów Zjednoczonych w duchu dla nas przychylnym i Polaków utrzymać w nieustannem wrzeniu i w niezgodzie domowej.

— I cóż za rolę odrywają w tej wojnie Polacy? — zawołał na to Maedler — w kleszczach żelaznej niewoli uczuli oni siłę naszą i sami wiedzą, że zmiażdżymy każdy ich ruch zuchwalszy!

— Nie powinni właśnie tego wiedzieć, — tłumaczył Stilburg — a jeżeli wiedzą, to powinniśmy wybić to im z głowy. Polityka nasza wymaga, aby łudzili się jak najświetniejszą przy nas przyszłością.

— Czy to nas jednak wobec Polaków zbytnio nie zwiąże?

— Raczej w oczach Europy. Ale jeśli zwyciężymy, Europa będzie pod naszą kontrolą.

— A czyż inaczej będzie z Polakami?

— Polacy mają poniekąd wpływ na zwycięztwo. Jeśli bowiem Rosya przedstawia się aliantom jako olbrzym nie do pokonania, toć głównie w tem zrozumieniu, że rak sprawy polskiej jej nie toczy, że nie potrzebuje obawiać się niczego ze strony polskiej. Oczywiście więc: rozdział wśród Polaków, wrzenie wśród nich, obala tę pewność i umniejsza animusz aliantów. Dlatego formacya naszej własnej partyi wśród Polaków jest niezbędną.

— Proponuję — rzekł na to Lowe, wnosząc nieco humorystyki do rozprawy ciężkiej —— aby wezwać Polaków w imię

czarnego orła do składek na fundusz wywłaszczenia!

Wielu z obecnych roześmiało się, ale Fuchs odezwał się:

— Lowe ma racyę. Wszystko, co Polacy składają na walkę przeciw Rosyi, składają na własne wywłaszczenie.

— Jakto? — pytał Macdler.

— Skonfiskowany już w Królestwie cały przemysł i 274,000 akrów z majątków osób nam wrogich lub pochodzenia rosyjskiego, a ponieważ możemy także liczyć na przepisanie się na Niemców trzy czwarte ludności żydowskiej, to już fundament do wywłaszczenia chyba jest.

— To oczywiście nie będzie się nazywać wywłaszczeniem — mówił baron Von Kolnitz — ale będzie tylko oparciem dla nas na przyszłość. Na razie na zgliszczach i mogiłach będzie tam druga Galicya austryacka.

— Austryacka?

— Czy austryacka w zupełności, to się dopiero pokaże. Z zabranego Królestwa weźmiemy spory szmat do naszej marchii

wschodniej, a z reszty utworzymy coś jakby samorządną prowincyę austryacką, z ogromnym tytułem.

— Niechby się to nazywało: patryarchatem austryackim! — wtrącił Löwe.

— To już lepiej oberrabinatem!

— Albo skromnie: cesarstwem! Im większy tytuł na zewnątrz, tem mniej potrzeba treści. Polacy jak ćmy lecą do dużego ognia i giną w boleściach chwilowego zachwytu.

— Wróćmy do rzeczy — odezwał się Stilburg. — Jeśli już wszyscy wiecie, że trzeba Polaków łudzić, aby w końcu dać im samorząd i zepchnąć ich ziemie do skromnego stanowiska rynków zbytu naszej produkcyi, to już z tego wynika, że trzeba mieć wśród nich naganiaczy, i to samych Polaków.

— Z pośród nich samych nie znajdziecie ani jednego! — zawołał Rauth.

— Tonący i deski się chwyta — przemówił znowu Stilburg — Polak za szlachetny, aby zdradzał i oszukiwał ziomków w sprawie ojczystej. Trzeba mu więc w łeb

wbić, że łącząc się z nami pomaga ojczyźnie.

— Mało takich będzie!

— Wystrczy jeśli wogóle będą. Przez nich będzie na zewnątrz wrażenie rozbicia wśród Polaków, a także oparcie dla wieści o gotującem się powstaniu wszystkich Polaków przeciw Rosyi. W tym właśnie celu dobierzemy do utworzonych legionów polsko-austryackich coraz to więcej obcych, którzy ostatecznie nie tylko powiększą na papierze armię polską, ale stworzą gwarancyę, że legiony w rozstrzygającym momencie pójdą pod naszą komendę.

— Ekscelencyo, przecież Piłsudzki, Habicht, Steczkowski, Stachewicz, Mycielski, to z przekonania Polacy, to patryoci w duchu prawdziwej niepodległości.

— Ale silny procent obcych rozbije jednolitość legionów. Będzie to drut wybuchowy. Podpalimy, gdy chwila przyjdzie i wnet bomba pęknie. Teraz trzeba nam rekrutować także polskich zapaleńców.

— To przeważnie socyaliści!

— A niech będą choćby nawet chińczykami. Im więcej wśród nich rozbieżności politycznej, tem lepiej. Pamiętajcie: najniepewniejsza szlachta, najpewniejszy: ciemny chłop i czerwoni. Pierwszych trzeba palić i niszczyć, chłopów tumanić, czerwonych pozyskać choćby obietnicą rządzenia po wojnie!

— Przygotowałem już taki korpus, chłop w chłopa, to mu pomnik stawiać. Jeden kompletny analfabeta, a jednak literat, drugi choć aptekarz z zawodu, zabija setki bawiąc się w lekarza z jasnowidzenia, trzeci wąsa jeszcze nie ma pod nosem, a już uniwersytet dla ludu szykuje, inny znów ucieka ze strachu, gdy kto kichnie za głośno, ale szarfę generała ma na piersiach tak szeroką, jakby miał być straszakiem na ptactwo w zbożu.

— A za bersiana czy tam kto przebrany? — pytał Lowe.

— Wszyscy!

— Jakto wszyscy? Czy to ma być kraj Morganów ta Polska?

— Wszyscy, to znaczy ci, co są z mego

korpusu, albowiem od Polaków ze składek polskich grosz biorą na żołd swój, a naszym celom służą.

— A od nas dla nich nic?

— Oni dziwnie dumni! W głowę sobie wbili, że Polskę budują i na własnych głowach chodzą, a palcami w butach wrogom Polski grożą.

— Dziwne, że nasze pruskie żołdaki nie popękają — wtrącił znów Lowe, — gdy oni na brzuchach naszych skaczą.

— Mój Lowe — rzekł na to Stilburg — pruski żołądek wiele strawi, nawet twoje banki!

— Niech wprzód strawi rosyjskie, francuskie i angielskie.

— Od takich jak ty trzeba zacząć. Wkładam ci na sumienie, abyś objął część walorów naszych. Tyś je powinien puścić w tym kraju całą falą. Nam trzeba miliardów.

— A czy to ja kontefiter?

— Wiem, że zrobisz swoje!

— Pan, drogi Rauth weźmiesz na siebie i swoich przyjaciół: prasę. Musimy po-

zyskać obconarodową, a kupić choćby za drogie pieniądze amerykańską. Polską, a zwłaszcza ich czerwono - czarną, to jest naszą, kupić ogłoszeniami. Rauth, ty masz głowę, no i miliony za sobą. Twoim słowom towarzyszy boska muzyka dolarów.

— Ekscelencyo — rzekł Rauth — jak widzę, chcesz ze mnie zrobić zręcznego rozbijacza mistrzów cnoty i narodowego honoru, bo i czemże innem prasa być powinna?

— Ale prasa musi żyć. A ty dasz jej pożywienie z żądeł zatrutych i z jadu, który w krew idzie, gdy naród zatrute pismo czyta. Wszystko zaś będzie na zewnątrz jak wielkie kształty duchowych katonów, wybielone i wyjaśnione w pośrebrzance z pozornej cnoty i patryotyzmu byznesowego. Mój Rauth, zaprzęgnij geniusz niemiecki i stwórz rzecz ogromną, prawdziwą kolubrynę naszego wpływu!

— Rauth ma zdobyć dla nas w Amery-
głaszających tego światu.

Brawo! — zawołał Witman.

— Kongresmanie, ty nam zdobądź ó-

smą! — przemówił doń Stilburg — Lobby kongresu i senatu ma zawsze racyę bytu, jak długo tam mamy swoich według duszy i wiernych ojczyźnie jak ty, chociaż nie ogłaszających tego światu.

— Ekscelencyo — odezwał się na to baron — nasz Witman po cichu zawsze czynny, a wpływ nasz w Washingtonie sięga aż do ministeryalnych progów. Niechby jednak była jedna amerykańska Lobby w guście mojej polskiej.

— A ty masz jaką?

— Lobby do kompromitowania prawdziwych patryotów i najdzielniejszych obywateli polskich, aby ich głos i wpływ wśród samych Polaków umniejszyć i czerwono-czarnym generałom ułatwić rozbijanie wśród własnych rodaków.

— I kogoż ty tam masz?

— Mam za herszta jednego szelmę, który przeszedł wszystkich łotrów. Służy wszystkim partyom politycznym, kręci się w każdej Lobby, tumani biskupów i wysługuje się ich wpływem, szalbierzy w redakcyach, a zawsze utrafi w sedno, gdy idzie o

to, aby jaką wzniosłą sprawę narodową zwichnąć, aby w stanowczej chwili rozbić dzieło wielkie i siebie kosztem dobra ogólnego wywyższyć.

— Ależ takiego wartoby zakupić choćby na wagę złota!

— Polacy takich mają za darmo jakoby przekleństwo z ducha dawnych Sicińskich i Radziejewskich.

— A ja nie radzę Waszej Ekscelencyi zakupować tego szelmę — rzekł Lowe — albowiem jakiż przy nim job damy baronowi?

Wśród przygłuszonego śmiechu wtórowano bankierowi, podczas gdy baron biegł oczami z twarzy na twarz, znacząc sobie wrogów swoich.

— Stilburg dał mu jednak pełny kredyt, mówiąc:

— Z niego nie żartuj Lowe. On pracuje dla nas według starej recepty nieśmiertelnego Fritza: Czego nie można usunąć, to złamać i zdeptać! Wspaniałe są blaski cnoty i wszelkiej doskonałości, ale jeśli ten blask ma zasłaniać transze wrogich linii,

trzeba go zgasić. W wojnie rozstrzyga żelazna wola, a tryumf znaczą mogiły! Rauth, nasz cesarz najmiłościwszy dał twemu synowi żelazny krzyż za wysadzenie w powietrze kaplicy z trzysta niewinnymi ludźmi. Czyn był bohaterski, ale i okropny zarazem, ale ten jego czyn wstrzymał szarżę wroga. Oto wojna!

Pani Rauth weszła w tej chwili do sali, w której dym z cygar utworzył atmosferę tak ciężką, jak gazy trujące Prusaków przed linią wojenną Francuzów.

Koronkową chusteczką rozpraszając przed sobą kłęby dymu przystąpiła do Stilburga i rzekła:

— Na dole u mnie rewolucya, a to niebezpieczne w czasie wojny. Moje panie chcą mieć coś także z geniuszu pruskiego ministra. A my kobiety to materyał nie najgorszy Ekscelencyo. Z dumą przyjmujemy zgony wielu tysięcy synów i mężów, z zapałem oddajemy kosztowności na przetopienie, a dusze mamy w pogotowiu, gdyby szeregi rycerzy zachwiały się. Pójdź do nas Ekscelencyo.

— Masz pani racyę! Jeżeli Prusy zdecydowały się na tak straszną wojnę, toć opierały się na sile zbiorowej rodzin niemieckich i na duchu karności i poświęcenia, który żyje w tych rodzinach pod wodzą pań naszych!

Przy tych słowach podał jej ramię i poprowadził przez szereg kłaniających się nisko uczestników narady.

Przy drzwiach niemal zatrzymała go pani Rauth przy Geslerze.

— Oto mój protegowany! — rzekła.

Stilburg przystanął i spochmurniał.

— Wszakże służyłeś pan przy wojsku? — zapytał Hermana.

— Jestem oficerem w 94 pułku dragonów pruskich, z przydzieleniem do generalnego sztabu!

— Czy znasz twoją powinność?

— Pełnię obowiązki przy generalnym konsulacie w Nowym Yorku.

Stilburg niemal mu do ucha szepnął:

— Masz mieć na oku, co naszą siłę wojskową podnieść i naszym wojskom pomódz,

a obce złamać może, masz "poufnie" czuwać nad tem, pamiętaj!

— Według rozkazu, Ekscelencyo!

— Gdyby nawet umrzeć przyszło, pamiętaj.

— Z zapałem!

— To dobrze. A twoją sprawę mam na oku. Wiem i ja, co mam czynić dla wiernych sług cesarza!

ROZDZIAŁ DRUGI.

W Gonitwie Za Ideą.

— Jeśli oczy mnie nie mylą to Janka?

— Tak mój panie Jaremo! — odpowiedziała zagadnięta, zatrzymując się przed znajomym.

— Kompletnie jak widzę oślepłem przy długoletnim zecerstwie. Przecież nie rozpoznać naszej Janki, to znaczy nie znać polskiego NowegoYorku.

— Powiedz raczej: zaułku przy E. 9tej czyli głównej rezydencyi polskiej biedy tutejszej.

— Ty Janka nie jesteś chyba biedną. Twój rozum wart krocie.

— Nie przynosi mi jednak ani nawet na opłacenie szkolnego i muszę po dwa lata siedzieć w jednej klasie.

— A pomoc rodaków gdzie?

— Janka, która od czasu do czasu zachodzi do klubu ludowców, aby się ogrzać,

jest dla śmietanki polskiej socyalistyczną słomą, a dla socyalistów zawianym śniegiem. Siostrzeństwo zaś to wśród Polek coś jeszcze trudniejszego do ujęcia, jak braterstwo wśród was mężczyzn mój Jaremo!

— Nie stopniałaś jednak do cna, choć cię mają za śnieg, ani nie podeptano cię jako słomę. Dziewucha z ciebie jak się patrzy!

— Polka i sierota. W Polce siedzi kawałek dumy, w sierocie zmysł samozachowawczy: nie daj się niewoli. Patrzą na mnie przez ramię, ale ja głowę trzymam prosto.

— To się chwali. Ale jakimże ideałom w istocie służysz?

Nie mam jasno kreślonych, prócz chyba tych dwóch: ukończyć medycynę i pomagać uboższym, a poza tem miłość Polski.

— A urzędu jeszcze nie masz?

— Gdzie?

— No w klubie?

— U Ludowców?

— A gdzieżby?

— W klubie jest teraz przewrót. Większość jest za patryotyczną akcyą, ale se-

kretarz Suski i jego najbliżsi potępiają "patryotnictwo" i uważają się za urodzonych Marksistów.

— A głów im dotąd nie ogolono?

— Jakże mogli golić głowy bezgłownym?

— Janka ty jesteś zawsze ta sama.

— Jeno coraz starsza...

— Ale ja przy was młodszy! Oto wiesz co Janka, chodźmy co zjeść...

— Niech i tak będzie. W książkach moich nie ma bułek, a gdy się zbyt wygłodzę, to mój mózg staje dębem i odmawia posłuszeństwa.

— Chodźmy go odrodzić, czyli mówiąc po światowemu: odrestaurować.

Janka zaprowadziła Jaremę do gospody Mikulskich, gdzie zastali ogromnie czerwonego Wagę i strasznie patryotycznego Ordyńca.

Znali się wszyscy. Jarema dawniej zecer, teraz kamienicznik "zafundował" dobre śniadanko, a Mikulski poczęstował gromadkę ideologów piwem.

Waga klął na wszystko i na wszy-

stkich, ale gdy sobie podjadł, zgodził się z Jaremą na platformę wspólnej pracy narodowej. Tymczasem Ordyniec chciał mieć cały świat wybielony niegaszonym wapnem i drżał przed wszelką czerwonością, zwłaszcza w akcyi patryotycznej. Mikulski bronił radykałów, a jego żona była echem tego wszystkiego, co urodziło się w głowach koniowców.

Gdy już paprykarz znikł w wygłodzonych żołądkach, nadszedł jeszcze Suski, który wołał na gwałt o czyste ręce, chociaż swoich nie mył tygodniami i był w rozczochraniu swojem i brudnej bieliźnie przedstawicielem bulwaru bezrobotnych.

Mikulski znając jego biedę podsunął mu kawał kiełbasy i kromkę chleba, co Suski przyjął z wyniosłością króla, zgarniającego należny trybut.

Zabrawszy się zaraz do jedzenia nadstawiał jednak dobrze uszu, aby nie stracić wątku rozmowy.

Janka ją prowadziła na temat unarodowienia proletaryatu.

—Praca nad tem — mówiła — zwiększa kadry ojczyste.

— Nieprawda — przerwał Suski — międzynarodowość nie da się unarodowić. Co zresztą po śniegu, który się stopi? Trochę brudnej wody i piasku.

— Socyalizm ma prawo do narodowych pól — wtrącił Waga.

— Takie same jak kot do myszy. Jak ją schwycił, to już ją ma dla siebie.

— Ale jak ją zje, to już po myszy. Tak i po naszej Polsce będzie, gdyby ją socyaliści dostali — rzekł Ordyniec.

— A ja myślę — mówiła Janka — że im więcej rozpalą się socyaliści nasi do sprawy narodowej, tem dalej odejdą od dróg międzynarodowych do wspólnej polskiej owczarni.

— I cóż nam po parszywych owcach?

— Ordyniec nie mów tak, bo cię zamaluję!

— Nie przerobisz mnie!

— Ani chcę się wytężyć. Twój mózg bez wartości!

Gorączkowali się ogromnie, gdy naraz

drzwi się otworzyły i wszedł Piotruś Porębski.

— Janka zerwała się do niego.

— Piotruś! Jakem żywa! Jakże się cieszę. Myślałam, żeś całkiem zaginął!

— Witaj Janka i dzięki tobie za dawną przyjaźń. Gdybyś wiedziała com przeszedł!

— Cokolwiek wiem, ale i to wiem, żeś patryotnik i że umiesz utrzymać się na koniu, gdy go dosiędziesz!

— Pasujesz mnie więc na koniowca.

— A czy wolałbyś, abym cię zaliczyła do jobowców, albo żłobowców.

— Zapisz mnie choćby do najradykalniejszych, byle raz zacząć jakąś programową akcyę. Duchowa bezczynność to śmierć.

— Wielkie dzieło na nas czeka — rzekł Waga.

— Mówże jasno!

— Wojna z Rosyą na życie i śmierć.

— A gdzież mamy armię?

— Cały lud stanie, milionowa rzesza!

— Bosa i bez broni, czy nie tak? to chyba na rzeź chcecie wydać naród!

— Na szubienice z carochwalcami!

— Ale zastanówcie się. Przecież Ruski zwalą na nas całą swą zemstę, zanim zdołamy się ruszyć — odezwał się Mikulski.

— Austrya da nam broń, a Niemcy tyły zabezpieczą — krzyczał Waga.

— Ty już masz na to kontrakt?

— Nie tają się z obietnicą. O wspólnego wroga idzie...

— A czy nie mieliśmy tych samych obietnic od Prus, gdy ogłaszając konstytucyę 3-go maja, wydobywaliśmy się z pod kontroli carycy?

— Inne były czasy!

— Odpowiedzże nam, ale uczciwie na trzy pytania.

— Z ochotą!

— Więc pierwsze: Pół miliona Polaków walczy w pruskich szeregach. Czyż przez wzgląd na tak ogromny podatek krwi odstąpił rząd pruski od wywłaszczenia nas i dał nam choćby w niższych klasach szkolnych język polski?

— Jak dotąd nie!

— A czy nie zgermanizował w królestwie nazwisk miast naszych i nie narzucił

języka niemieckiego władzom miejskim i pocztowym...

— Ze względów strategicznych...

— Ale jednak narzucił.

— Tak!

— A teraz trzecie i ostatnie: czy do fabryk łódzkich nie sprowadził Niemców i czy nie rozdał Niemcom ziem skonfiskowanych...

— Tak, ale to tylko w tymczasowy zarząd.

— Czy wierzysz w to, aby po wojnie powyrzucali Niemców, którzy się już zagospodarują.

— Pozwólcież i mnie słowo — rzekł Jarema. — Jabym zapytał Wagę z czego będziemy żyć po wojnie, jeśli Prusy obejmą całą Polskę?

— Polska wolna wyżywi Naród!

— Ale granica od Rosyi do wschodu będzie zamkniętą, więc gdzie będą dla nas rynki handlowego zbytu?

— Na zachodzie!

— Ha, ha, ha, przecież tam ufortyfikował się milionkroć silniejszy od naszego

przemysł niemiecki, francuski, angielski i włoski. Czy oni nam odstąpią dobrowolnie swoich odbiorców?

— Trzeba będzie coś wymyśleć!

— Ale zanim coś wymyślimy, będziemy w kompletnej zawisłości ekonomicznej od Niemiec, a w szczególności od Prus. Będzie to wolność w okowach...

— A więc za misę soczewicy wydajecie Naród Rosyi! — rzekł Waga.

— Upodlacie się u podnóża carskiego tronu! — dorzucił Suski.

— To wy tak mówicie — zawołał na to z gniewem Jarema. U was zdrajca ten co przez wasze oczy nie patrzy. U was rublaż ten, co nie chce ślepo iść za Prusakiem, u was podły ten, co z rozsądkiem i zastanowieniem patrzy w przyszłość i pragnie Polski wolnej, wielkiej, Polski takiej któraby mogła sama żyć i nas wyżywić. My ani u carskiego podnóża się nie upodlamy ani też nie liżemy pięści pruskiej, a jeźli o zdrajcach mówić to nie wam, którzyście odbiegli dawno od Polski, a poszli za międzynarodówką, tak jak teraz prowadzicie otumanionych przez was

braci na trzęsawiska i bagna pruskiej polityki.

— Do sojuszu z silnem mocarstwem!— odezwał się Suski.

— A czego spodziewać się ze sojuszu z teutonami, powiedzcie? — pytał natarczywie Jarema.

— Swobody ducha!

— Czy tej z czasu walk z krzyżactwem, z epoki przedgrunwaldzkiej, czy też z okresu wynarodowienia lub może z okresu wywłaszczenia z czasu hakatystów?

— Po wojnie swobodę i wolność my ufundujemy! —— krzyknął Suski.

— Wy?

— Nie inaczej! Jeśli się trony oprą, zwalimy je, jeśli kościł będzie bruździł, zwalimy go, jeśli narodowcy zechcą burmistrzować, usuniemy ich...

— Kto więc będzie w tej waszej wolności mistrzem?

— Proletaryat wszechświata!

— Więc bywaj Frusiu z Polską! czy tak?

— Z waszą dawną... tak!

— To i ja mówię wam: bywajcie — odezwał się na to z goryczą Ordyniec — jeśli nawet wy sami nie ofiarowujecie Polsce niczego więcej, jak oplugawienie własnych naszych starodawnych szlaków kulturnych, toć w waszej akcyi usłużycie Prusom i Austryi, socyalizmowi i żydom, ale wszystko kosztem Polaków. Dla nas ztąd nic!

— I ja mówię, że z pruskiej służby dla nas nic — przytakiwał Jarema.

— Więc do carskiego chlewu z wami rublarze — wrzeszczał Waga — ale pamiętajcie przyszły rząd narodowy od was zacznie sprawiedliwość i najpierw waszemi cielskami latarnie we wszystkich miastach polskich poobwiesza!

— Będziemy żywymi pomnikami waszych wolnościowych pojęć. Jeśli carat wysyła do kazamat dynamiciarzy i anarchistów, to wy w krzyk, ale przy nas u steru odmiennie myśleć wcale już nie będzie wolno. Kto nie wasz, ten wróg, z tym na śmierć.

— Tak jest mój panie: na szubienicę z nieprzyjaciółmi proletaryatu! — krzyczał Suski.

— A ja oponuję! — przerwał mu Waga.

— Ty mnie?

— Naturalnie, gdyż teraz trzeba mówić jedynie o nieprzyjaciołach narodu...

— Ja znam ludzkość. Narodowość to szczebel rozwoju...

— Tego nie wolno nam mówić głośno. Lud jeszcze nie dojrzał i trzeba go wprzód uświadomić.

— Ja chcę całej prawdy i odrazu. Poco farbować? Kto nie chce iść jawnie pod czerwonym sztandarem, tego odrzucić. Bądźmy sobą! — piorunował Suski.

— W takim razie wykluczasz swoje koło z naszej akcyi!

— Usuwam się raczej od waszej nieszczerości i głupoty. Socyaliści nie mogą iść pod sztandarem narodowym.

— Jesteśmy Polakami!

— Kastowość narodowa równa się religijnej.

— Nasze stanowisko zjedna miliony dla socyalizmu...

— A ja wam mówię, że utoniecie w

morzu narodowych aspiracyi. Niech was wszystkich piorun trzaśnie!

Powiedziawszy to zerwał się z krzesła i wraz z kilkoma zwolennikami socyalistycznej wyłączności, wybiegł jak oparzony.

Równocześnie od tyłu wszedł główny sztab koniowców to jest tych, którzy pierwsi proklamowali wojnę z Rosyą i którzy czyniąc to w imieniu narodu nazwali się Komitetem Obrony Narodowej.

— Otóż ci, od których Naród najwięcej potrzebuje obrony — mruknął dość głośno Ordyniec.

— Zuchwalcy, którzy swoją opinię przedstawiają jako opinię Narodu — wtórował mu Jarema.

— Ależ panowie — upomniała ich Janka — uszanujcie weteranów.

— Którzy z ojczyzny żyją!

— Z grosza składkowego...

— Z patryotyzmu!

— A cicho tam — krzyknął Reisknoff, przysuwając się do głównego stołu wraz z warszawskim burszem baryłkowatym Pięścickim i z profesorem Jąkałą.

— Co lud zadecyduje, to jest dobre — mówił ten ostatni — jeśli lud wyznacza pensye to potrzebne, a jeśli kogo karci to zasłużył, a jeśli kogo wyrzuca to zdrajców!

— A jak się zdrajcy wpakują na czoło? — pytał obcesowo Ordyniec.

— Niech się obywatel uspokoi, tu jesteśmy między sobą, tu lud gospodarzem!

— Nie zawracajcie głowy profesorze — rzekł Jarema — tu jest wszystkiego razem kilku socyalistów, kilku zapaleńców i kilku od polityki osobistej.

— To chyba pan i ów obywatel — odparł profesor wskazując na Ordyńca.

— Mylisz się profesorze — z wielkim spokojem i doniosłem głosem odpowiedział na to Ordyniec — to nie my szukamy zemsty na organizacyach, w których już nie burmistrzujemy, to nie my rwiemy się do stawiania szubienic, aby ludzi odmiennych opinii steroryzować, to nie my zaganiamy dla naszej ambicyi młodzież od partyi narodowych do socyalistycznych...

— A kto? Czy obywatel do mnie pijesz?

— A do kogożby? Ty właśnie burzysz, coś sa mstawiać pomagał.

— W ogromnem oburzeniu podnieśli się teraz z miejsc Reisknopf i Pięścicki. Z poza nich wysunęli się generał zwany Tabaką i doktor Zacierka, prezes całej partyi. Tego ostatniego prowadził do stołu duży aptekarczyk Kwas, który z Tabaką rewoltował był młodzież.

Zacierka, gdy tylko stanął przy profesorze, objął go wzrokiem pełnym miłości i podając rękę, rzekł:

— Przebacz braciom obałamuconym. Rublarze umią tumanić, więc i wielu godnych obywateli okłamali i fałszywie im rzecz przedstawili. Teraz my, którzyśmy dla dobra sprawy z Chicago przyjechali, prawdę wyjaśnimy. Niechże Reisknopf obejmie pióro, a Kwas niech marszałkuje. Otwieram zjazd koniowców.

— Więc mnie tu nie potrzeba! — rzekł Jarema.

— Ani mnie — dodał Ordyniec.

— Lepiej zaraz farbę pokazać! — zawołał profesor.

— Tyś już tak pofarbowany mój profesorze, — krzyknął Jarema — że trzebaby cię obłuszczyć, aby można dojrzeć coś zacz!

— Już idźcie i nie przeszkadzajcie, — upominał Kwas.

— Chodź Janka! — zwrócił się do dziewczyny Jarema.

Janka zawachała się.

— Zostań! — szepnął jej Piotruś.

Jarema i Ordyniec wychodzili bez niej.

— Pozostańcie jeszcze na chwilę — odezwał się Piotruś — niech w obec was i wobec wszystkich wytłomaczę dlaczego wraz z przyjaciołmi zapisałem się do koniowców, dlaczego popieram współdziałanie nasze z Niemcami przeciw Rosyi.

Jarema i Ordyniec z kapeluszami w rękach przystanęli przy drzwiach. Piotruś tak mówił:

— W nieszczęściu poznaje się ludzi. Otóż i ja w katastrofie serdecznej, gdy mi bandyci meksykańscy porwali w Vera Cruz com od młodu ukochał, w pogoni za upro-

wadzonemi dziewczętami przekonałem się, że mam pomoc Niemców. Pierwszy stanął przy mnie generalny konzul Gesler. Jeszcze więcej serca okazał mi sam baron Von Kolnitz, który przed laty miał kolizyę arcytragiczną z przyjacielem swoim o jego żonę, ale teraz od wybuchu wojny o niczem nie myśli tylko o nas i stara się w obec mnie i w obec wszystkich Polaków ludzkiem postępowaniem i czynną pomocą wspomnienia dawne zatrzeć. Co do awantur z przed lat ze mną, to wykazał mi, że były to łajdactwa niejakiego Remlera i przeprosił mnie za wszystko ogromnie serdecznie. Co jednak najważniejsze, pokazał mi w zaufaniu tajne akta rządowe, z których wynika, że Prusy zaraz po zajęciu Warszawy ogłoszą niezawisłość królestwa Polskiego.

— I któż będzie w nim królem? — od progu pytał Jarema?

— Szczegóły nie są jeszcze ułożone, ale królestwo będzie, to fakt!

— Jakby królestwa dotąd nie było...

— Ale czy to było nasze królestwo?

— A będzie naszem po wojnie?

— Wierzę w to i dlatego idę z koniowcami.

— Ano to szczęść wam Boże! — rzekł Jarema — obyście gorzkiego nie doznali zawodu.

— A mnie się widzi — rzekł odchodząc Ordyniec — że te barony pruskie z rozmysłu pakują między was tylu socyałów i anarchistów, aby potem mieć pretekst do obrony Narodu przeciw "Jakubinom," a także podstawę do wprowadzenia u nas specyalnych kleszczy policyjnych.

Kwas rozśmiał się w głos.

— Panowie widzicie wszędzie pruskiego straszaka — rzekł.

— A wam marki pruskie oczy na niebezpieczeństwo pruskie zasłaniają.

— Wypluj panie Ordyniec!

— Tobie w oczy z ochotą, ale szanuję zebranie rodaków chociaż innej opinii.

Kwas porwał za krzesło, ale Ordyniec miał już drugie w garści. Jarema rzucił się między nich.

— Panowie — krzyknął — ratujcie opi-

nię Chicagowian, jeśli nie umiecie obronić polskiej.

Pięścicki walił w stół kuflem od piwa, aby się przecież dobić głosu. Jarema i Ordyniec wyszli wreszcie i Zacierka zagaił obrady.

— Trzeba iść w lud—mówił— i wśród rodzin polskich zbierać pieniądze.

— Wyszlijcie mnie na okrężnego mówcę, a grosz popłynie! — odezwał się Pięścicki.

— Ale ty wszystko zjesz.

— Niech mu na zdrowie wyjdzie, byle ruch rozognił.

Spierali się, kiedy na salę wszedł delegat z Europy Posner.

Przywitano go uprzejmie.

— Panowie — rzekł on — Polska będzie chociaż na razie pod Austryą, ale trzeba chwasty głuszyć. Trzeba niszczyć wszelki wpływ, który nasze zabiegi osłabia. Tolerować możemy tylko opodatkowanych dla naszej partyi. I z tych przetrzebiać trzeba nieużytki. Nasza komenda musi pozostać

przy nas. Wszakże idea jest przy nas. Tą ideą wolność!

Gromkie brawa odezwały się z wielu stron.

— Niech żyje ludowa Polska! — Zawołał Posner.

— Niech żyje!

— Dlaczegoż jednak nie zawołać po prostu niech żyje Polska! — odezwała się Janka.

— Albowiem szanowna obywatelko — tłomaczył profesor — w drodze ewolucyi dziejowej lud dochodzi do władzy i wydaje mandat komitetowi obrony dziś, a rządowi narodowemu po ukończeniu wojny!

— Brawo profesorze! — krzyknął delegat Posner.

— W kwestyi podatku ludowego dla nas nie gardzimy terrorem — odezwał się Reisknopf — ofiarność jest niezbędną, więc należy ją wymusić.

— Opozycyę trzymać przytem w strachu grozą szubienic.

— A lud pobudzać do ofiar nadzieją wolności.

— Grosza obywatele, więcej grosza. To podstawa akcyi.

Gdy już było po naradzie i zaczęła się bibka w gronie najzaufańszych, Janka wyszła ze sali, a wraz z nią Piotruś.

Jak tylko znaleźli się na ulicy Janka bystro mu w oczy spojrzała:

— Słuchaj, czyś ty zbzikował? — zapytała go.

— Albo co?

— Wysławiasz tego obieżyświata barona.

— To bohater, ale utajony...

— Czy w łotrostwie, jak mówiłeś dawniej?

— Człowiek może się mylić, ale jak z nim pogadałem bliżej...

— To ci głowę zakręcił, tak samo jak ten Posner, drugi obieżyświat, naszym.

— Tego nie mów. Posner to apostoł.

— A w takim razie na podstawie moich dotychczasowych wiadomości medycznych mogę orzec z całą pewnością, żeś waryat!

— Nie obrażaj mnie. Jestem człowiekiem zasad. Ty wielu rzeczy jeszcze nie pojmujesz.

— Jakże mam pojąć, że gardłujesz za

człowiekiem, który chciał ciebie wpakować do więzienia, a potem wykradł twoją ukochaną Małgosię, no i Zochnę...

— Nie dorzucaj tej Zochny jak ziarnka kawy do wagi, gdyż to niezwykłe dziewczę...

— A ty ją bez żalu zapominasz...

— Nie mów tego. Baron i cały jego aparat szuka za nią...

— Kto ci o tem mówił?

— Czytałem telegramy!

— A jak te telegramy on sam sfałszować kazał, byle ciebie podejść.

— To ja sam temu panu baronowi wówczas łeb roztrzaskam!

ROZDZIAŁ TRZECI.

Teutońska Ręka.

Cieszmy się w młodości dnie!
Po przeżytym życia śnie,
Gdy starości przyjdzie czas
Wnet i ziemia weźmie nas!

Tak śpiewali na starą nutę "Gaudeamus" bursze "Teutonii" w St. Louis profesorowi uniwersytetu Lincolna, ulubieńcowi młodzieży, Frankowi Gallen.

Było to w ostatnim dniu szkolnym.

Po rozdaniu świadectw bursze niemieckiej konfraternii "Teutonia" odprowadzili swego profesora do domu i żegnali go pieśnią.

On, stojąc na balkonie, słuchał w rozrzewnieniu, a obok stała młoda i piękna kobieta o oczach z brylantów węglowych i powiewała do śpiewających chusteczką.

Wnet przebrzmiała pieśń, profesor pożegnał młodzież kilkoma słowy, hufiec Teu-

tonów odszedł w szyku wojskowym i małżonkowie zostali w gronie domowem.

Frank Gallen położył teraz na jej łonie kwiaty, które młodzież przyniosła i rzekł:

— To twoje laury!

— Czyliż ja jestem profesorem?

— Tyś jednak w krótkim czasie zrobiła ze mnie profesora...

— Pomogłam tylko trochę, a w gruncie rzeczy zadecydowała o tem nasza niezawisłość materyalna. W Stanach Zjednoczonych rozstrzyga we wielu wypadkach dolar. Twoje olbrzymie zdolności mogły więc nie co łatwiej i prędzej wybić się. Zdaje się, że twoja pozycya doskonale jest teraz ugruntowana i możemy spać spokojnie.

Stary Zalajas, który siedział opodal w wygodnym fotelu, odezwał się na to:

— Ale gdzie mój sen? Miesiące upłynęły w poszukiwaniach moich za tobą Lino, a gdy tobie poświęciłem tekę ministeryalną, wasze teutony psują mi drzemkę poobiednią. O czem oni śpiewali?

— O tem, że jesteś najlepszym z ojców i

że sto razy przewyższasz rozumem byłych ministrów Huerty...

— Nie byłby kapitulował, gdybym ja był przy nim, a ten zarozumialec Carranza mnie już nie powoła.

— Czy tu źle tobie ojcze. Uratowałeś przeszło milion dolarów i masz tu teraz ogólny respekt na dziesięć milionów. Wszystko się drze o ciebie. W Meksyku znaczyła coś moja niebrzydka buzia, a tu jestem tylko córką "tego starego poczciwego Ekscelencyi Zalajasa."

— Tylko nie mów "starego" wszyscy inni mówią, że odmłodniałem.

— Gdyby twój majątek drogi papo, pomnożył się dziesięćkrotnie, gotowi Amerykanie włożyć cię do kolebki, jako uwielbianego bebika miasta St. Louis.

— W którem i ty królujesz. Wszyscy cię zapraszają i na pierwszem miejscu sadzają. Dziś plutomilioner Fuchs pół godziny dopytywał się, czy zechcę zwiedzić jego browar, a skończył na starej historyi, żebyś nie zapomniała o dzisiejszym teatrze amatorskim...

— To niespodzianka dla mego Franka.

— Powtórz mi ze trzy razy, że on już teraz Frankiem, abym nie przezwał go Maxem, jak na obiedzie u rektora...

— Możesz go nazwać Maxem, ja już to powiedziałam wszystkim, że się zapominasz czasem...

— Tylko nie rób ze mnie zgrzybiałego niedołęgi. Ani mnie nie poznasz, ja się na dziś specyalnie odmłodzę.

— I cóż to za nadzwyczajne święto.

— Mówił mi Fuchs, że będą prawdopodobnie, niezwykli goście z Europy.

— Zapewnie Ekscelencya Stilburg?

— Może. Osób Fuchs nie wymieniał.

— Jak na taką fetę, aby Zalajasów godnie przedstawić Europie, warto się papie należycie przygotować. Twój masażysta raz po raz nos w drzwiach pokazuje.

— Kiedy tak to idę!

Powstał z powagą i dumą rzeczywistego ministra i odchodząc odezwał się do zięcia:

— W uniwersytecie scena była piękna i

ta owacya tutaj wspaniała, ale niechże to w gazecie będzie opisane.

— Naturalnie i o ojcu!

— I cóż myślicie, trochę sławy i mnie się należy. Straciłem przez was tekę ministra.

— Ale zachowałeś życie. Pamiętaj papo na Maderę....

— Pamiętam bardzo dobrze, ale kilka słów w prasie o mnie, to reklama dla was. Czy to wam źle mieć za ojca Jego Ekscelencyę?

Przy tych słowach zniknął w drzwiach za bogatą kotarą i małżonkowie pozostali wreszcie sami.

Ona wpatrzona w kwiaty wyglądała jak uroczy geniusz. Prześliczna jej biała gazowa suknia na jedwabnem tle purpurowem pomnażała tajemniczy wdzięk wiotkiej jej postaci.

Mąż patrzał na nią z ogromną miłością, chociaż bystry spostrzegacz mógł był łatwo rozpoznać w jego oczach gorączkowy niepokój.

Ledwo dosłyszalne westchnienie wyrwało mu się z ust.

Lina to zaraz odczuła i oczy jej wpadły iskrami żalu w jego serce.

— Tyś niby szczęśliwy, ale trapisz się nieustannie. Teraz te ich goście z Europy w głowę ci weszły.

— Życie towarzyskie męczy nieco jednak — odparł Gallen.

— Potrzebne to dla twojej karyery.

— Karyera profesora przy książkach.

Lina spojrzała nań bacznie.

— Ty jesteś teraz raczej hrabiczem, aniżeli belferem. Z wyglądu nikt by w tobie nie rozpoznał mistrza w abecadle niemieckim! Jedynie gderanie twoje na mnie, przypomina mi twoje uniwersyteckie dygnitarstwo.

— I ja zamieniłbym je tak chętnie na odległą farmę, na życie...

— Na pustyni gdzie się nikogo nie widzi, i gdzie się żyje trawą i korzonkami. Ja tem żyć nie mogę!

— Jesteśmy więc, jak chciałeś, w St. Louis.

— Nie jak ja chciałam tylko jak... dla ciebie było najkorzystniej. Tu są Niemcy,

jest katedra niemiecka i spory szmat twojej kultury. Czego chcesz więcej?

— Nic prócz twego szczęścia!

— Będzie ono kompletne, jeśli przestaniesz zrzędzić i pogodzisz się z sytuacyą.

— A jeśli z tem Ekscelencyą Stilburgiem stawi się jaki djabeł z dni dawnych.

— To się nie potrzebujesz przyznawać, żeś był Gruberem i Merzem. Jesteś teraz panem Frankiem Gallen, profesorem uniwersytetu Lincolna.

— Czyżby istotnie tak trudno było mnie rozpoznać?

— Wierzaj, że tak... Twoje jasno blond włosy, jakie masz teraz, zmieniły się kompletnie. Ja tylko wiem, żeś ten sam...

— A ja wiem, żeś ty ta sama, zawsze najdroższa, zawsze równie czuła, zawsze pełna niezrównanej dobroci.

Weszli do oranżeryi, do której było także wejście drugie z ogrodu.

— Powinieneś się przejść nieco mój nudziarzu — rzekła pani Gallen — a ja zabiorę się teraz przed obiadem do mojej toalety.

Nam kobietom, jak już wiesz, zabiera to sporo czasu.

— Skazany więc jestem na samotność!

— Oddaję ci do towarzystwa myśl o mnie, to prawdziwie po meksykańsku, czy nie prawda?

— Ta myśl jest w gruncie rzeczy zawsze przy mnie. Czuję się tak przygnębionym, że przy bezgranicznem twojem poświęceniu tak mało uczyniłem dla ciebie.

— Pozostań wiernym i pozbędź się wiecznego niepokoju, a to mi wystarczy.

— Pierwsze to rzecz tak pewna, jak, że teraz jest dzień i to bardzo słoneczny, gdy ty jesteś przy mnie!...

— A drugie?

— Będę się o to starać dla wspólnego szczęścia!

Uściskali się z przejęciem, poczem on wziąwszy jej rękę objął jej kibić drugą i tak odprowadził żonę do jej buduaru.

Nie zauważyli wcale jakiegoś dziwnego cieniu w jednem z okien oranżeryi, jakby ktoś przykładał twarz do szkła i słowa ło-

wił, a potem ruchy ich śledził. Przedewszystkiem nie zauważył tego Gallen.

Gdy wrócił od żony, weselszy i swobodniejszy, niźli kiedykolwiek, poszedł w ogród. Jakaś arya z dawnych nut błąkała mu się w duszy i na ustach, nucił ją nie wiedząc nawet o tem, zapuszczając się w część ogrodu najgęściej zarosłą. Otwartą ona była aż do pól ciągnących się daleko w głąb.

Gallen nie zauważył w zamyśleniu swojem, że szedł za nim podwójny cień: jeden jego własny, a drugi innego jeszcze mężczyzny.

Naraz jak urwana struna, jak świst złowrogi wpałdo mu w uszy jego dawne imię:

— Max!

Nie powinien był się odwracać i cień byłby może zginął na zawsze, ale on odwrócił się i spotkał się oko w oko z baronem Von Kolnitz.

— A więc nie omyliłem się, to ty! — rzekł baron.

— Wyszpiegowałeś...

— Dystyngowany hrabicz i profesor u-

niwersytetu nie powinien używać takich brzydkich wyrażeń...

— Dla ludzi podłych nie można mieć wyrażeń ludzkich.

— Ale dla władzy...

— Jaką dla mnie jesteś władzą. Widzę w tobie szpiega i nic więecj.

— O szpiegostwie nie mów. Nie powinieneś był przecie ani na chwilę zapomnieć, że rząd pruski wie o każdej swojej sile i że ją dolicza skrupulatnie do narodowego dobytku.

— W dodatku kpisz niegodziwcze!

— Mówię jako specyalny reprezentant rządu w chwili dla ojczyzny ciężkiej i mówię z całem skupieniem...

— Człowieku, jeśli masz misyę ważną od cesarza do tego kraju, to czemu chodzisz za mną, czemu chcesz po raz trzeci złamać moje życie?

— Bo nasz cesarz ciebie potrzebuje i do służby ważnej ciebie właśnie przyzywa!

— Mnie?

— Najniezawodniej. Usiądź tylko spokojnie na ławce i posłuchaj!

Gallen dał się ująć za rękę i posadzić. Nagłe pojawienie się barona, uderzyło w niego jak grom. Nie mniej trafiły w jego mózg tajemnicze słowa barona.

Był w gruncie rzeczy prusakiem i z zapałem byłby poświęcił choćby życie dla chwały pruskiego oręża.

Słuchał więc z naprężoną uwagą barona, który tak mówił:

— Szybki koniec wojny z najwspanialszym dla Prus tryumfem zależy od natychmiastowego odcięcia pomocy materyalnej dla aliantów ze Stanów Zjednoczonych. Trzeba zatopić trzy okręty, które mają na pokładach amunicyę dla Francyi i trzeba odciągnąć, jeśli nie udaremnić, układ o pożyczkę z miliarderem Brownem.

— I tego ja mam dokonać?

— Tak! Uważaj dobrze: trzy zamachy dynamitowe na trzy okręty i uprowadzenie względnie zabicie Browna.

— Gdybym się chciał nawet zgodzić, sił nie mam po temu. Na to trzeba człowieka o żelaznych nerwach.

— Mylisz się! Na to trzeba Prusaka z duszy i kości. Ojczyzna liczy na ciebie.

— Ojczyzna?

— Los przeznaczył i poświęcił do tego człowieka zdecydowanego. Wybór padł na ciebie.

— Ty mnie na śmierć prowadzisz...

— Ojczyzna tego żąda!

— Więc to rozkaz nieodwołalny?

— Tak! I masz go wykonać z całem poświęceniem i z całą dyskrecyą, nikogo nie narażając, ani planu przed nikiem nie odsłaniając.

— Ani przed żoną?

— Ani przed nią!

— Więc co mam jej powiedzieć.

— Nic! Zniknij dla niej na zawsze!

— Człowieku — szepnął Gallen z prawdziwem przerażeniem — życie chcę dać, ale czemuż mam być w jej oczach zdrajcą? Jak mogę za tyle poświęcenia odejść i opuścić na zawsze bez pożegnania?

— Musisz to uczynić. Są rozkazy, które trzeba wykonać ślepo. W imię takich roz-

kazów dwa miliony braci poległo, twoje życie i tak ukradzone sprawiedliwości.

— Jesteś okrutnym!

— Rozkaz nie może być zmieniony!

— Wyjednała ten rozkaz twoja zemsta.

— A wykona go twoja miłość ojczyzny i wierność dla cesarza...

— Morderco mego szczęścia!

— Nie unoś się, nie masz ani minuty czasu dla stracenia. Jeszcze dziś w nocy wyjedziesz z Remlerem...

— Więc i on tu jest?...

— On będzie pilnował, abyś się nie cofnął.

— To straszne. I gdzież mam jechać?

— Pojedziesz do Detroit. Tam czekać cię już będzie człowiek, który cię zaprowadzi do naszej fabryki bomb. Ztamtąd wyślesz trzy, a może i cztery posyłki śmierciodajne na odnośne statki. Tysiącom ludzi przyniesiesz śmierć, a milionom dasz życie i chwałę, jak i zwycięztwo twojej ojczyźnie!

Gallen twarz rękami zasłonił.

— To za okropne na mnie — wyjęknął — jestem za słaby, nie zdzierżę...

— Czy nie służyłeś przy wojsku, czy nie wiesz czem życie własne dla żołnierza od chwili wybuchu wojny...

Gallen zwrócił na barona oczy, w których była rozpacz i błaganie:

— Oddal to odemnie! — jęczał.

— Nie zapominaj, że mam zakładnika.

— Moją córkę?

— Tak!

— Przeczucie mi mówiło. Więc ją istotnie porwałeś?

— Jest przy Remlerowej z Zochną.

— Na miłość Boga, gdzie?

— Nie pytaj, bo i tak teraz nie powiem. Ale po bohaterskim czynie twoim, oddam ją Geslerowi...

— A Zochnę?

— To djabeł polski, to nasz wróg, takich się nie wypuszcza z rąk!

— A jeśli jej także żądam jako ceny poświęcenia?

— Więc dobrze niechże i ona wyjdzie wolna wraz z twą córką! Pamiętaj jednak:

Jeśli skrewisz w czemkolwiek, straszna ich przyszłość, lepiej żeby się były nie urodziły.

— Człowieku!

— Ty mnie znasz! Tyś poznał we mnie nieugiętą wolę. Klamka zapadła. Co postanowionem, spełnić się musi.

— To okropne.

Baron Von Kolnitz podniósł się i rzekł ponuro:

— O pierwszej w nocy czeka cię Remler na dworcu!

— Moja żona, moja biedna żona! — zawodził w strasznej boleści Gallen.

Ale baron go nie słuchał.

Poszedł w gąszcza i znikł w nich jak straszny cień szatana.

Równocześnie od domu przypłynął srebrzysty głos żony:

— Frank, Frank!

Gallen wstrząsł się, jakoby w objęciach gorączki, potem oczy przetarł jakby oddalając zmorę jakiegoś strasznego snu i poszedł ze swojem bezgranicznem nieszczęściem do żony, wcale nic nie przeczuwającej.

Już z oddali widział ją w srebrzystej sukni wieczornej z dyademem brylantowym u czoła z płonącem wejrzeniem głębokiej miłości, jakby urocze nadziemskie zjawisko.

Jego była własną i musiał ją rzucić, musiał od niej pójść i pozostawić ją w strasznej niepewności i w nieutulonym żalu.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

W Okowach.

— Dzień dobry, matko!

— Dzień dobry wam! A jakie to okręty dziś przyjdą?

— W nocy przyszła Hibernia i Athos, a za godzinę nadpłynie Aleksandra z Liverpolu.

— A z Vera Cruz?

— Dopiero pojutrze!

— A tego czarnego djabła tam w dokach nie zreperowali?

— Widzicie matko, te Niemcy to go umyślnie tak długo reperują, aby nie dostał się w łapy angielskie. Poszedłby wówczas biedaczek na dno!

— A mnie do tego okrętu szwabskiego coś tak ciągnie... Czy aby go wolno obejrzeć?

— Co się pytacie? Wy wleziecie i tak wszędzie!

Kobiecina istotnie lazła wszędzie jak

robak ziemny. Deptali ją niemal nogami, ale się ostatecznie wszyscy w przystani Nowo Yorskiej do niej przyzwyczaili.

Wyschła ze zmartwienia, blada i bezkrwista, z poruszającym smutkiem w oczach dreptała codziennie od okrętu do okrętu, nagabywała wszystkich, pytała robotników i majtków i wołała głosem żałośnym:

— Zochna! Zochna!

Ale od morza echo nie przynosiło żadnej wieści.

Pani Marta gryzła się coraz głębiej.

Ostatecznie jednak trwała przy swoim i czekała na Zochnę z godziny na godzinę.

— Jak wróci niebożątko niechże się nie błąka, niech ma mnie zaraz przy sobie!

Przy codziennej wizycie w przystani nie uszedł uwagi Marty ów okręt szwabski, który nazywała czarnym, albowiem szary kolor ścian zewnętrznych okrętu przy jego ogromie tak go przyciemnił, jakby się okręt w chmury czarne ubrał. Przytem na olbrzymiem jego cielsku tak było ponuro, że aż groza brała. Formalnie coś jęczało w jego głębi.

Marta raz spróbowała dopłynąć do okrętu, ale pokazało się, że nie miała "passu," no i majtkowie straż pełniący odprawili ją z urąganiem.

Gdy później nieco dostrzegła z oddali, że na "czarnym" rusza się, że tam robotnicy przy pracy, czatowała na nich i pytała, a pytała.

Ale, że przeważnie niemiaszkowie to byli, więc się z niej tylko naśmiali i bez ceremonii potrącali.

Jakże ją bolało, że poniewierano nią tak, Pawulską z rodu o krwi niebieskiej.

Aż zdarzyło się dnia pewnego, że z czarnego okrętu nadszedł człowiek z pozdrowieniem Pańskiem.

Mało go w rękę nie pocałowała, gdy ją tak uczciwie po polsku pozdrowił i poszła z nim na szklankę gorącego mleka, do kumy Boruckiej, która przy dokach miała groserniię.

Chłop mlekiem i chlebem nie pogardził, a gdy mu potem Marta z płaczem swoją biedę wyspowiadała, bardzo się ulitował i od serca tak powiedział:

— Ja, moiściewy, ze szwabskiej ziemi jestem, więc mnie za Szwaba mają i do roboty wzięli. Ale jakby ino wyszło, że co gadam, toby mnie zmarnowali na nic.

— Przecież nie pójdę do nich, ani nikomu nie powiem, bo i po co? Ale wieść jaką o córce biedaczce radabym mieć. Wy rozumiecie co to serce matki!

— Ano jak mi na Częstochowską ślubujecie, że nie zdradzicie mnie, to wam powiem, że na tym okręcie Niemiaszki mają kasarniaka.

— A co to za siła jest?

— To są kajuty z kratami do koła, gdzie oni trzymają przestępców.

— Czy jest takich wiele?

— Jest kilku, których im Kanada wydała, kilku od Stanów Zjednoczonych, a są także od konzulatów sprowadzeni i z różnych stron. Są prawdziwi zbóje, ale są i gwałtem przywleczeni...

— Czy są i kobiety?

— Niezawodnie...

— Widziałeś?

— Wieczorem, gdy nasza praca ukoń-

czona i na pokładzie cisza zapadnie wyprowadzają więźniów po kilku na przechadzkę. Otóż niedawno na przyjazd jakiegoś wielkiego urzędnika trzeba było pierwsze kajuty oporządzić i mnie do tego zatrzymali. Wtedy widziałem na jedno może mgnienie oka trzy kobiety.

— Jakże wyglądały, na miłość Boską, mówcie!

— Dwie młode były i na twarzy gładkie, chociaż okrutecznie zbiedzone, a jedna stara i wrzaskliwa, że strach...

— I co więcej?

— A co mogę rzec więcej, kiedym je dojrzał ino raz.

W tej chwili wszedł do Boruckich Piotruś, który tu czasami zachodził, gdyż tu spotykał niejednokrotnie Pawulskę.

Przed nim nie miała ona co do Zochny tajemnicy żadnej, więc człowiek z "czarnego" okrętu raz jeszcze musiał wszystko opowiadać, a gdy do końca znowu doszedł, zaczął go Piotruś pytać:

— Więc mówicie, że chodzą biedne po pokładzie.

— Akurat po robocie dziennej, od 6tej wieczorem.

Piotruś spojrzał na zegarek.

— Właśnie jest po 6tej.

— No to je już wygnali z kaźni.

— Jakto wygnali?

— Tam nie proszą.

— Biją może?

— Kolbą w bok, albo pięścią w kark. A to kasarniak przecie. To nie żart!

— Jezus, Marya!

— Oh, co ta zaraz Jezusa wzywacie! Bywa tam i gorzej! Jak badają więzionych, to jęki przygłuszają wszelką mowę i stukot naszych młotów. Co wy wiecie co to kaźń pruska!

— Na Mękę Pańską ratujcie mi Zochnę! — lamentowała Marta.

Ale Piotruś przerwał.

— Nie pora zawodzić — rzekł — dajcież matko wypytać człowieka. Niechże się dowiem, czy aby łódki są przy okręcie, kiedy te kobiety wyprowadzają na pokład.

— Najmniej dwie, gdyż po robociażach,

panowie szarża idą na miasto, a przewleka się to zawsze cokolwiek.

— A kto przy łodziach.

— Ano czasem szyldwach, a czasem nikt, bo trzeba wam wiedzieć, że nie wszystkich majtków biorą do straży, gdy tajemnice swoje odprawiają. Ino kilku bywa zaufanych, a ci nie zawsze są pod ręką.

— A jakbym ja tak wpadł na pokład i porwał kobiety.

— A skąd wiesz, że to wasze dziewczęta.

— Przysięgnę, że to Małgosia, Zochna i wściekły pies w spodnicy Remlerka.

— Piotruś sprowadź je! — błagała matka — tylko co zrobisz z tą Remlerką.

— Poczekajcie, niech się jeszcze dowiem po której stronie są kazamaty, jak z tamtąd niewiasty wyprowadzają i gdzie jest miejsce do przechadzki.

Chłop zaczął tłumaczyć i opowiadać wszystko tak akuratnie, że się aż umęczył i spocił jak mysz.

Ale gdy skończył, Piotruś kapelusz porwał i matce w uszy krzyknął:

— Pomódlcie się!

Potem wyleciał z izby, wsiadł do przejeżdżającego samochodu i popędził do przystani.

Chłop patrząc za nim, ręce załamał wołając:

— Szalony! zgubi wszystkich!

Ale Borucka trąciła go znacząco mówiąc:

— A przecie to profesor od okrętów i żył lata całe na wodach.

Marta zaś ani nie słuchała więcej, jeno się modliła żarliwie:

— Boże ratuj! Panie zmiłuj się! Częstochowska pomóż!

Piotruś tymczasem był już przy robocie.

Znał on doskonale życie portowe i wiedział, że się majtkowie z cudzoziemskich statków przebierają nim idą na miasto i że specyalnie niemieccy mają swój "Abstajg" czyli hotel.

Widział też, że w budynku tym jest piwiarnia i że się w niej za kołnierz nie wyle-

wa, ani dolarem cudzym nie gardzi. Znał także dobrze niejednego majtka pruskiego.

Do jednego z nich na chybił trafił zaszedł i w izbie oczywiście znajomego nie znalazł. Natomiast na szaragach starannie rozwieszony wisiał mundur.

Piotruś nie zwlekając przebrał się i w lusterku dojrzał, że jest według odznak "Szyfsfenrychem." Dodało mu to fantazyi i czapkę z daszkiem z boku przewiesiwszy na głowę, z cygarzyskiem w gębie, poszedł jak w swój dom na "czarny okręt."

Majtek przy łódce salutował i podwiózł go.

Piotruś znając język niemiecki tak donośnie huknął mu komendę, aby go czekał z łodzią, że pod majtkiem, aż się nogi zachwiały i wnet znalazł się na pokładzie i właśnie w chwili, gdy kończył się spacer kobiet.

W starej trzeciej niewieście już z daleka poznał Remlerkę, więc kaszkietem oczy przysłonił, głos zmienił i w uszy jej huknął:

— Halt, wer da?

— Ich bin es Remler! — odpowiedziała

niewiasta, siląc się na spokój po wymyślaniu, jakiem zatruwała spacer nieszczęśliwym.

— Idź wypocząć — rzekł służbowym tonem Piotruś — ja te dwie wezmę do kancelaryi. A milcz, pamiętaj! I ani pary z ust! Baron Von Kolnitz zaraz tu będzie!

Mówił, co mu na język przyszło, ale wrażenie jego gromkich słów było piorunujące.

Remlerka zawinęła się na jednej nodze i zgubiła się na dolnem piętrze, majtek, który stał na straży poszedł za nią, a w całej tej stronie pokładu został jedynie Piotruś i dwie dziewczyny.

Piotruś zbliżył się do nich i uchylając czapki, twarz swoją okazał.

Ciche, pełne radośnego przestrachu: — Ach, nareszcie! — wpadło mu z dwóch ust wprost w duszę.

Były to usta Małgosi i Zochny, które go tak witały.

Piotruś odszepnął im w odpowiedzi:

— Ani słowa teraz i za mną!

Jak cienie przesunęły się dziewczyny i po linie z powrozów spuszczały się na łódkę.

Majtek, który na niej czekał podniósł w tej chwili zapaloną latarnię, aby "fenrychowi" usłużyć i przy blasku latarni rozpoznał podstęp i ucieczkę.

Bez namysłu rzucił się zaraz na Piotrusia, który go jednak już czekał z całą zaciekłością rozpaczliwej sytuacyi.

Na krawędzi łódki zaczęła się straszna walka dwóch młodych i silnych ludzi, podczas, gdy dziewczyny chwiały się u ostatnich szczebli drabiny.

Naraz rozległ się przytłumiony krzyk i plusk jakby wielki kamień wpadał w wodę.

To Piotruś nadludzką siłą schwycił Niemca w pół i odrzucił go na pełną wodę. W tejże sekundzie porwał nieme z przerażenia dziewczęta i poruszył z impetem wiosłami, kierując łódź w najciemniejsze mroki.

W parę minut wylądował w chwili, gdy już na "szarnym" okręcie był alarm i wszystko w ruchu.

Remlerka ze strachu przed odpowiedzialnością rzuciła się w morze, ale łódź, któ-

ra pospieszyła jej na ratunek, nie dogoniła już uciekinierów.

Marta zemdlała, gdy zobaczyła wynędzniałą Zochnę, takie potężne wrażenie sprawiło na niej to prawdziwe zmartwychpowstanie jedynaczki.

Gdy ocucono Martę i pierwsze wzruszenie minęło, dopiero zaczęły się mowy o przejściach strasznych, a przeplatane oczywiście łzami i pieszczotą matczyną.

Borucka zajęła się Małgosią, a gdy nadszedł Jarema z Ordyńcem zastawiła kolacyę.

Stary Borucki dobył wina butelkę, a posiłek i ciepło rodzinne ożywiło dziewczęta.

Zochna najpierw przyszła do siebie, ale Małgosi smutek ciągle bił z oczu.

Spostrzegł to Jarema i rzekł:

— Przywiozę ja tu lekarza!

— Daj spokój Jaremo, matka najlepszy lekarz! — zawołała Marta.

— Lecz moja kumo, tyś matką dla Zochny, ale dla sierotki Małgosi ja mam specyalistę.

I wybiegł z izby.

W godzinę w drzwiach stawił się Herman.

I on i Małgosia prawie równocześnie otworzyli ramiona:

— Małgoś!

— Herman!

Dalsze słowa łzy im zatrzymały. On płakał z żałości, że tyle wycierpiała, a ona z nadmiaru szczęścia.

Potem mówili ze sobą długo i serdecznie, aż im przerwał Jraema mówiąc:

— Teraz będziesz mógł zemścić się na panu konzulu.

Herman zamyślił się na to i odparł:

— Niepodobna o tem narazie myśleć. Sprawa zagrożonej Ojczyzny i pomocy dla niej musi zagłuszyć prywatę i najdotkliwsze ciosy osobiste.

— Więc pan darujesz baronowi?

— Pójdę z tem do mojej ciotki pani Rauth.

Poszedł tam zaraz zrana i miał trudności, nim go służba dopuściła.

Pani Rauth była jeszcze przed śniada-

niem i w pierwszej chwili skarżyła się, że ją do dnia naszedł.

Gdy jej jednak całą prawdę opowiedział, rozpromieniła się i zawołała:

— Weź mój automobil i przywieź do mnie zaraz twoją zaczarowaną księżniczkę. Chcę ją zaraz przy śniadaniu sprezentować baronowi, zanim się dowie o jej ucieczce. Niechże i on ma niespodziankę.

Myśl była doskonała.

Herman pojechał po Małgosię, a pani Rauth połączyła się telefonem z baronem Von Kolnitz.

— Przebacz baronie — mówiła — że cię budzę, ale czas wojenny, pogotowie ogólne.

— A cóż tak ważnego ma pani?

— Przyjdź natychmiast do mnie na śniadanie, a przekonasz się.

— Czy istotnie sprawa niezwykła.

— Mało kto raz w życiu ma podobną.

— Więc spieszę na skrzydłach.

— Wystarczy jeźli przyjedziesz mój baronie w automobilu.

Zapewniwszy sobie przyjazd barona, sprowadziła pani Rauth prześliczny strój

poranny dla Małgosi i kazała na nią czekać swojej fryzyerce.

Gdy baron przyjechał bawił go przez chwilę wtajemniczony we wszystko gospodarz pan Rauth, a następnie Herman. Ten ostatni był bez żadnej goryczy.

Von Kolnitz podziwiał tę przemianę w nieszczęśliwie zakochanym i przypisywał to słowom Stilburga.

Wnet przekonał się o istocie rzeczy.

Oto drzwi się naraz otworzyły i weszła gospodyni domu z Małgosią.

Baron niejedno przeszedł i nerwy miał jak postronki, ale widok niespodziewany Małgosi wprost go oszołomił.

Pani Rauth nie oszczędzała go przytem bynajmniej.

— Oto panna Małgorzata Merz — mówiła przedstawiając — wróciła właśnie z zajmującej podróży morskiej, którą odbyła na pruskim parostatku.

Baron w pomieszaniu swojem bąknął:

— Przyjemnie mi nad wyraz!

— Oh rozumię, życzysz jej dobrze przez przyjaźń dla naszego domu i przez sympa-

tyę dla mego kuzyna Hermana Geslera, narzeczonego panny Małgorzaty.

— Powinszować!

— Dzisiejsze śniadanie to niespodzianka zaręczynowa. Podaj mi rękę baronie!

W sali jadalnej było już kilka pań i panów. Był bankier Loewe i pani Maedler. Był także konsul generalny pruski i kapitan okrętu, na którym Małgosia bezprawnie była interwowaną.

Kapitan okrętu tem, co widział, był jeszcze więcej przejęty jak baron, który go też zmierzył wzrokiem, jak człowieka przeznaczonego na stracenie.

Pani Rauth pogroziła na to baronowi:

— Nie szukaj zemsty, aż się dowiesz całej prawdy. Wszakże się cieszysz ze szczęścia tak miłej, choć "podróżą" zbyt zmęczonej panny.

Baron uśmiechał się, a w gruncie rzeczy kręcił się jak na szpilkach. Torturą było mu to śniadanie. Ani jednego kęska przełknąć nie mógł.

Zochna była w tym czasie z Piotrusiem

u Jaremów, gdzie przyszli także Ordyńcowie, Pawulska i stary Związkowiec Lipski.

Zochna była tak osłabiona torturami kilkomiesięcznej kaźni, że Piotruś musiał ją wnieść po schodach do skromnego mieszkania Jaremów.

— Masz job, bracie, — rzekł Ordyniec — dźwigajże twoje szczęście!

— Żadne to dźwiganie — odparł wesoło Piotruś — całe życie chętnie na taką pracę daję.

Zochna mu ręką usta zamknęła.

— Cicho — szepnęła — bo jeszcze Małgosia usłyszy.

— Ono przecież szczęśliwa ze swoim, a nas to sam Bóg na zawsze złączył.

— Piotruś!

— Mój ty miły skarbie!

— Ho, ho, to jak widzę, zaręczyny! — zawołał Jarema.

— Jeszcze nie — odparł Piotruś — wpierw kark skręcę baronowi, pod but z krzyżakiem!

— Tylko z tem sęk, że on taki strasznie

duży i nie wlazłby pod twój but. Pamiętaj, że każdy prusak ma całe Prusy za sobą.

— A Polak?

— Ani nawet całego siebie nie ma na swą obronę. Tyś przy koniowcach, tamten przy klerykałach, innego Antek Sowizdrzał prowadzi na trzęsawiska, słowem wszyscy w okowach tej rozbierzności, tych wysiłków partyjnych i osobistych, tej walki nieustannej na wewnątrz. I kiedy przy tych okowach kula niewoli do ziemi i w grób energię młodą ściąga, ty myślisz o zemście na krzyżaku.

— Więc ja także winowajcę puścić mam bez kary?

— Polakom należy unikać skandalów. A zresztą cóż ztąd, że z krzyżackiej pikelhauby trochę prochu zdmuchniesz? Oni akurat tyle co ten proch ważą życie jednostki w odniesieniu do wielkiej sprawy Prus i Niemiec, którym poświęcają wszystko!

— Trzeba nam imać się ich taktyki — zawołał Lipski — ale trzeba wprzód zrozumienie tej taktyki wpoić we wielu z uwie-

dzionych przez ich zwycięstwa. Niech się uczą z doświadczeń Piotrusia, że Prusak skorzysta z naszej ofiary, wyzyska do ostatnich granic poświęcenie nasze i napozór da nam życzliwość, ale tego co nam najdroższe od kaźni dobrowolnie nie uwolni i do ostatniej kropli krwi w żelaznych dusić będzie kleszczach.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Szatańskie Sidła.

Lina otworzyła oczy i uśmiechnęła się do snu, z którego się obudziła.

Sen musiał być słonecznym jak był nim dzień, który witał ją od wpół odsłoniętych okien pogodą błękitów.

Od tych błękitów wzrok Liny pobiegł do drzwi sąsiedniego pokoju.

Zazwyczaj drzwi te były o tej porze otwarte, albowiem mąż wstawał znacznie wcześniej.

Lina zdziwiła się więc ogromnie, gdy z drzwi tych, na pół otwartych, uderzył dziwny i ponury mrok.

— Czyżby spał?

A kto wie! Po zmęczeniu i naprężeniu nerwów, wywołanem rozprawami politycznemi i arcypatryotycznemi... może i zaspał.

— Jeźli tak, to go sama obudzę! — pomyślała Lina.

Wysunęła się cichuteńko z pod kołdry,

nałożyła małe jedwabne pantofelki, zarzuciła na siebie japońskie kimono, jakby z zefiru utkane i poszła do męża.

W oczach miała odbłysk miłej niespodzianki, jaką mu chciała sprawić. Śmiała się do siebie jak dziecko...

Naraz spoważniała i zdrętwiała.

Stanąwszy w drzwiach przekonała się, że pokój był pusty, a łóżko nietknięte.

— Frank! — zawołała zatrwożonym głosem, ale echo powróciło od pustych ścian smutne i jakby wystraszone.

Lina zadzwoniła na służącą.

— Gdzie pan?

— Nie wiem!

— Nie widziałaś go w ogrodzie?

— Może wyszedł przez parlor.

— Zobacz!

Służąca wybiegła i powróciła wnet z szoferem.

— Pan nasz wyjechał... — rzekła.

Linie zamroczyło się w oczach.

— Wyjechał?

— Odwiozłem pana na dworzec o drugiej w nocy — odezwał się szofer.

— I dokąd pojechał?

— Nie wiem!

— Czy nie zostawił jakiego polecenia?

— Nie!

— Czy pojechał sam?

— Jakiś Niemiec na niego czekał, poszwargotali niezrozumiale i pojechali.

— Kto to był?

— Nie wiem, ale przyjaciel nie był, gdyż pan nasz zgniewał się na jego mowę strasznie...

— Powiadasz zgniewał się...

— A blady przytem był jak trup...

— Więc pan odjechał?

— Sam widziałem jak wchodził do wagonu i jak pociąg wyruszył...

— I nie powiedział odjeżdżając ani słowa?...

— Popatrzał tylko z takim żalem jakby miał umierać, westchnął i drzwiami zatrzasnął...

— Dobrze już. Możecie odejść!

Ostatnie słowa powiedziała Lina z ogromnym wysiłkiem, a gdy służąca i szofer

odeszli, upadła niemal na łóżko i załkała spazmatycznie.

Potem zerwała się, zdjęła ze ściany fotografię męża i tuląc ją do siebie, wołała z rozpaczą:

— Frank, Frank, gdzie ty poszedłeś, co oni z tobą zrobili!

Głośny jej płacz sprowadził starego Zalajasa. Przyszedł niemniej przerażony, gdyż mu już szofer powiedział o odjeździe profesora.

— Okropność — mówił — to zachwieje naszą tu pozycyę, to nas skompromituje!

— Ależ ojcze, to wszystko niczem — łkając biadała Lina — skoro jego już nie ma.

— Jeżeli cię porzucił, to niech go więcej nie widzę.

— Nie, on mnie nie porzucił...

— Czy nie odjechał bez pożegnania?

— W tem jest coś strasznego? W tem jest Von Kolnitz!

Zalajas teraz w czoło się uderzył.

— Von Kolnitz mówisz, a no, być może, gdyż on tu istotnie jest w St. Louis!...

Lina zerwała się na równe nogi.

— Widziałeś go?

— Wczoraj otarłem się o niego w klubie.

— I co papie powiedział?

— Właśnie, że nic. Zdawało mi się, że nie był rad ze spotkania.

— Niechże się ojciec ubiera co żywo i odszuka go...

— Tego szelmę?

— I niech ojciec będzie dla niego jeszcze słodszym jak dla mnie...

— Czy cię ból w obłęd popchnął?

— Jestem spokojną, ojcze, i rozumię, że trzeba działać, a nie łzy przelewać.

— I liczysz na pomoc barona?

— Chcę go jedynie wybadać, a może i podejść.

Zalajas pochylił się nad Liną i w czoło ją pocałował.

— Jesteś jednak córką ministra. Znać w tobie mój geniusz.

— Niechże ojciec okaże ten geniusz i w najzręczniejszy sposób sprowadzi do nas tego barona. Niech ja mu w oczy spojrzę! — Niech z nim zagram!

— Tylko proszę cię, bez skandalów.

— Niechże papa się uspokoi. Przecież rozgłos zaszkodziłby Frankowi.

— A jeźli Frank ciebie zdradził i...

— Niech papa nie kończy. Frank za szlachetny. Jego porwali...

— Ależ dziecko drogie, Lino ukochana, on sam ztąd odjechał i sam wszedł do wagonu...

— To nic, on był w żelaznych kleszczach...

— Oj te Prusaki, a ja i Huerta chcieliśmy z nimi ratować Meksyk...

— Niechże papa już idzie. Barona trzeba przychwycić zanim się spostrzeże.

— Idę już!

Lina, zostawszy sama, rzuciła się najpierw na kolana przed ukrzyżowanym.

— Jezu — wołała — dopomóż mi, w Vera Cruz statuę Twą wystawię, nabożeństwo pokutne odprawię, sto rodzin biednych zaopatrzę, zawsze Twoje imię we wszystkiem uczczę, ale tylko tym razem mnie ratuj i daj mężowi dopomódz!

Krzyżem rozłożyła się na ziemi i modliła i modliła.

Potem wstała nieco spokojniejsza, odświeżyła twarz wodą kolońską i poszła do gotowalni.

— Doroto — rzekła do panny służącej — staraj się zrobić ze mnie piękniejszą, niż kiedykolwiek.

Dorota spojrzała z podziwem na swą młodą panią.

— Dzisiaj, w takim dniu?

— Tak moja Dorotko, albowiem nie należy nam okazywać, co jest w naszej duszy...

— Pani wyjedzie na miasto?...

— Nie, będziemy mieć gości!

— Gości?

— Tak! Zawołaj kucharza.

Podczas gdy Dorota układała włosy swej pani, Lina wydawała dyspozycye kucharzowi z takim spokojem jak nigdy.

Potem kazała się ustroić w suknię powiewną z blado niebieskiego jedwabiu i przepięknych koronek brabanckich, przypięła sobie kilka róż herbacianych na pół rozkwitłych do boku, na wybladłe policzki rzuciła

cień różowy delikatnego, ledwo dostrzegalnego pudru, łzy rozlała po oczach, że jaśniały jak brylanty, a na usta wymusiła uśmiech okraszony drżącą falą wewnętrznego niepokoju.

Tak weszła do salonu, właśnie w chwili, gdy automobil ojca zajeżdżał przed dom.

Już miała wybiedz naprzeciw, ale powstrzymała się ze względu na służbę.

Twarz ojca, którą widziała przez okno, dziś pożółkła i pofałdowana, nie zdawała się wróżyć wiele dobrego.

Zalajas szedł ciężkim krokiem i z pochmurną twarzą, jak w dniu, w którym otrzymał dymisyę jako minister Meksyku.

W drzwiach salonu rozpogodził się jednak, zobaczywszy Linę w całym blasku uroczych jej wdzięków.

— Córko moja, jakaś ty piękna — wołał do niej, wyciągając ręce — obym ciebie tylko znów nie utracił przez te przeklęte intrygi, obyś mi pozostała słońcem na dni starości...

— Najpierw ojcze drogi ratujmy Franka...

— Naturalnie, naturalnie, ale jak?

— Czy trafiłeś barona?

— Jakby czekał na mnie. Powiadam ci, że to straszny człowiek...

— Dopiero dziś wpadło to tak ojcu do oczu?

— Wystaw sobie, miał on odwagę zapytać mnie: jak się powodzi Gallenowi i czy go zastanie w domu?

— I co mu powiedziałeś?

— Chciałem mu przedewszystkiem nos spłaszczyć...

— Ale się powstrzymałeś?

— Czyliż nie byłem ministrem, czy nie znam się na polityce?

— I jak ją poprowadziłeś?

— W zaciśniętą pięść wziąłem z kieszeni paletota kilka cygar i zawołałem doń: moje dolarowe "rinosy," baronie, zapal sobie i wraz z niebieskim dymem wznieś się z tego padołu płaczu do niebieskich sfer mojej Liny...

— I cóż on na tę wspaniałą poezyę!

— Powiedział mi: Excellencyo przemawiasz mową kwiatów i unosisz moje ser-

ce istotnie do sfer nadziemskich. Twoja córka, Lina, jest "Excellencyą" owych sfer, tak jak ty sam zasłużyłeś na miano: "Excellencyi Meksyku." Tak mówił dosłownie, a jednak mnie zirytował...

— I przez cóż?

— Dodał bowiem: ja to powinienem był mieć ją za żonę, a gdy odparłem: a cóż by zrobiła z Gallenem, zawołał: ach, to człowiek z poza krat, ten związek to mezalians...

— Śmiał to powiedzieć...

— Tem mnie właśnie zirytował.

— I cóż dalej?

— Huknąłem mu w ucho, że i na dworze pruskim bywały mezaliase, ale odpalił mi na to, że pod okiem tak mądrego Excellencyi nie powinno ich być... na co mu znów rzekłem: dajmy temu pokój!

— A on?

— Wziął mnie pod ramię i zapytał: czy może nas dziś odwiedzić? — więc go oczywiście zaprosiłem i zaraz tu będzie.

— Doskonale się sprawiłeś ojcze, a dodajże do tego tę jeszcze łaskę, abyś nie ma-

rudził przy stole i pozwolił mi po obiedzie rozprawić się z nim sam na sam.

— Dobrze, ale pod warunkiem!

— Stary mój sługa, Cavazos, będzie opodal drzwi. Nie rozumie on, jak tylko po meksykańsku, więc was nie podsłucha, a na twoje zawołanie stawi się do obrony...

— Niech i tak będzie, ale zapomniałeś papo, że jestem meksykanką i że nie brak mi odwagi!

Ugalonowany furier przyniósł w tej chwili kartę barona.

Przez twarz Liny przebiegła z kolei purpura gniewu i bladość niepokoju, ale trwało to tylko chwilę.

Gdy baron wchodził witała go z uśmiechem jakby nic jej nie oderwało od wesołego ruchu towarzyskiego, jakby w jej życie nie uderzył piorun.

Wyciągając rękę do barona Von Kolnitz zawołała:

— Ucieszyłam się na wieść, żeś przyjechał, mój baronie, do St. Louis. Widocznie objeżdżasz Stany przygotowując akcyę pokojową...

— Oh, gdybyśmy panią mieli ze sobą, podołalibyśmy i temu...

— Większe przeprowadziłeś dzieła.

— Dumny jestem z uznania pani.

— Mówię tylko prawdę, ale teraz radabym panu opowiedzieć coś z dnia wczorajszego.

— Ależ słucham pani!

Lina więc zaczęła od owacyi akademików dla męża, a potem mówiła o wieczorze i o przemowie męża z takim zapałem i ożywieniem, jakby jej Frank był w drugim pokoju i lada chwila miał wejść.

Von Kolnitz był niemal odurzony nadzwyczajną uprzejmością Liny.

Gdy furier oznajmił, że podano do stołu, i baron podał ramię swe Linie, był pod wrażeniem, jakby Gallen, o którym tyle pięknych rzeczy się przed chwilą nasłuchał, czekał ich w jadalni.

Ale miejsce profesora stało próżne. Baron z podełba rzucił wzrokiem na Linę, ale zaledwie chwilowe dostrzegł w niej poruszenie.

— Panie baronie — rzekła, wskazując

miejsce mężowskie — zajmij je bez ceremonii, mój mąż wyjechał...

— Wyjechał?

— Czyliż nie wiedziałeś o tem?

— Jako żywo, nie!

— Więc mój Frank ma, jak widzę, tajemnice przed najlepszym ze swych przyjaciół...

— Jesteś pani zbyt łaskawą, ale czy nie powiedział przynajmniej pani dokąd wyjeżdża?

— Przecież wiesz o wszystkiem, mój baronie — odparła Lina z pozornym spokojem — a od tęsknoty za mężem przejdź do rozmowy ze mną. Jesteś świetnym narratorem!

Baron czuł już teraz, że zadawała sobie przymus i widział jak dotykała zaledwie potraw, ale jako bywalec tem gorliwiej prowadził ogólną rozmowę na temat wojny i stosunków meksykańskich.

Lina przeszedłszy na to pole ożywiła się na nowo i znów była sobą. Gdy po obiedzie wyszła z baronem na werandę miała go całkiem pod swą władzą. Jej wdzięk oszoła-

miał go, jej melodyjny, ciepły głos wyrywał go z zimnej polityki i obudzał w nim pożądliwość tajoną i przesuwaną poza chłód towarzyskiej rozmowy, ale rozdzierającą tem bezwzględniej jego tajnie.

Musiał dobrze zapanować nad sobą, aby nie wyrwać się z wyznaniem swoich dla Liny uczuć.

A ona jakby starała się, aby je podbudzić.

Patrząc za wiewiórką, szybującą wśród gałęzi, oparła mu się o ramię i tak mówiła do niego, że czuł jej oddech i tonął w jej oczach, które iskrami rozżarzonych czarnych dyamentów porywały go za sobą, hen, aż w czar poezyi.

— Spojrz na swobodę mojej wiewiórki — szeptała — nie uczuwa tu samotni i nie zna tęsknoty...

—Jakżeżby mogła przy... pani!

— A przecież nie zna mnie tak dobrze jak pan, mój baronie, którego trzeba aż sprowadzać do tego ustronia...

— Gdybym wiedział, żeś mi pani z serca łaskawą.

Wzrok Liny jakby się rozpłomienił w tej chwili. Ogień poszedł w serce barona, zagotowała się w nim krew. Ale jeszcze nad sobą panował.

— Pani — bełkotał — raz już w życiu przeszedłem katastrofę.

— I odnajdujesz znowu w domu tego samego człowieka, który był przy owej katastrofie, promień twego szczęścia w innej odmianie...

— Czytasz w mej duszy!

— I ten człowiek jest oczywiście jakby kamień niebotyczny u twej drogi...

— Niestety...

— I chcesz go usunąć...

— Nie zdołam, jeźli pani nie zechcesz....

— A jeźli zechcę...

— Lino!

Był w tem słowie tajony głos powstrzymanej długo namiętności i wdarł się w serce Liny jak wyziew trującego gazu.

Wstrząsnęła się konwulsyjnie, ale zaraz zapanowała nad sobą i pochylając się ku baronowi szepnęła:

— Mój panie!

Baron stracił nad sobą kontrolę i zsunął się do jej nóg.

— Lino, daj mi trochę szczęścia! — rzekł z przejęciem.

— Zrywasz kwiat i bierzesz jak swój. Pocóż jeszcze pytasz?

— Aby nie być odrzuconym od wymarzonego szczęścia...

— Więc go pragniesz istotnie...

— Całą potęgą mego jestestwa...

— I na zawsze?

— Tak!

— Więc powstań i pójdź za mną...

— Choćby w piekło.

— Na dziś do mego salonu, pomówimy o proponowanem szczęściu.

— A ojciec pani...

— Poszedł za wiewiórką. Możesz go przez okno widzieć tam przy drzewach...

— Ależ tak, poznaję! Jego Ekscellencya jest przyjacielem natury.

— Bądźże i ty nim baronie, usadów się wygodnie na tej kozetce i pozwól mi bujać przy sobie w kolebaczu.

Ujęła za poręcz i przechyliła się tak przy

kołysaniu, że cała jej kibić była przed nim jakby w blaskach tęczy.

Serce zabiło mu jak młotem.

— Bóstwo moje! — szepnął.

— Czyż nie wypadałoby spełnić coś z życzeń tego bóstwa?

— Wszystkie!

— Spełnij tylko jedno mój panie!

— Słucham!

— Powiedz mi szczerze, coś zrobił z moim mężem?

Von Kolnitz spojrzał podejrzliwie.

— Dlaczego chcesz pani mówić o człowieku, który cię porzucił.

— Zkądże to wiesz?

— Czy nie zrażę sobie pani, mówiąc wszystko otwarcie...

— Oczekuję tej otwartości...

— Frank zajął się panią Saharet...

— Tą starą tancerką...

— Na scenie nie wydaje się starą...

— I za nią pojechał?

— Tak pani!

— W takim razie pojechałby do Nowe-

go Yorku, gdzie Saharet rozpoczyna, jak czytałam, występy...

— Pojechał z nią w tym samym pociągu...

— Czyż istotnie? Dziwna rzecz tylko, że był wczoraj ze mną, zamiast pójść na jej występ.

— Po wieczorze był u niej.

Lina zadzwoniła i kazała przywołać szofera.

— Czy pan odjechał wprost na dworzec? — spytała go.

— Tak pani!

— I nie wstępował nigdzie!

— Nie!

— A z kim był na dworcu?

— Mówiłem już, że spotkał tam jednego Niemca, że się z nim okropnie pokłócił i w ostatniej już chwili wskoczył z nim do odjeżdżającego pociągu.

— Dobrze, możesz odejść.

Gdy za szoferem drzwi się zamknęły, Lina z przymilającym wyrzutem spojrzała na barona:

— Miłość prawdziwa, mój panie, mówi

prawdę. Coś z nim zrobił? Chcę wiedzieć wszystko!

— Lino, jeźli chcesz mi dać szczęście, musisz zapomnieć o tym człowieku. To zabójca!

— Przekonaj mnie, że mnie zdradził, a opuszczę go!

— Dam pani listy Gallena do tancerki Saharet.

— Listy takie mogą być na nim wymuszone...

— Czy podejrzywasz mnie pani.

— Żądam dowodów jasnych.

— Jakich?

— Chcę rozmowy z nim!

— Czy ma i panią zabić, jak zabił...

— "Swoją pierwszą" żonę!

— Powiedziałaś to pani tak dziwnie!

— A czyż to nie najdziwniejsze, że sięgasz już po drugą jego żonę?...

— Któż odpowiada za miłość?...

— Czyli tylko jesteś pewny, mój panie, twoich uczuć?

— Każdej próbie się poddam?

— Słowo.

— Pruskiego oficera.

— Lina powstała z kolebacza i mierząc teraz barona wzrokiem, który stał się naraz lodowatym, rzekła:

— Więc mi oddaj mego męża!

— On dla pani stracony!

— Czyś go zgładził, aby zająć jego miejsce?

— Czy wyglądam na mordercę?

— Rozmaite są sposoby, aby człowieka usunąć. Czy zapomniałeś baronie jak sprzątnąłeś Małgosię, jego córkę?...

— Ja?

— A kto?

— Porzuć Lino te pytania. Przed nami tylko jedno: czy chcesz uczynić mnie bezgranicznie szczęśliwym?

— A za cóż to, mój panie? Czy za to, żeś wygnał mnie z Vera Cruz, żeś porwał ojcu córkę, której matkę w grób wepchnąłeś, lub może za to, żeś wydarł mi teraz męża?...

Von Kolnitz zbladł.

— A któż z nas dwóch waży u pani? Z rozmowy dzisiejszej sądziłem...

— Jakiej znów rozmowy? Chciałam cię wybadać, mój panie.

— I zagrać na moich uczuciach.

— Jak ty, mój panie, grasz na sercach setek ofiar...

— Ale na moich bezkarnie nikt grać nie może...

— Oświadczyłeś się przed chwilą z bezgraniczną miłością, a teraz grozisz zemstą.

Baron raz jeszcze spróbował uratować coś z wymarzonego szczęścia.

Namiętnie ujął za ręce Liny i okrywając je pocałunkami, wołał:

— Lino, zmiłuj się i weź mnie, a zapomnij o nim, on już i tak dla ciebie stracony...

Te ostatnie słowa wyprowadziły Linę z równowagi.

Szorstko odepchnęła barona i zwróciła się doń z twarzą rozgorączkowaną, gniewem zmienioną:

— Kłamiesz — zawołała — mówiąc o uczuciach mego męża dla Saharet, tak samo, jak skłamałeś, że odjechał z nią do Nowego Yorku. Pociąg nocny ma komunikacyę z Detroit. Czy nie tam go wysłałeś?

Drobną ręką ujęła go za gardło, krzycząc mu w ucho:

— Mów! Czy nie zobowiązałeś się wyznać prawdy? Gdzie słowo pruskiego oficera?

— Niechże swobodnie się wypowiem!

Lina wypuściła go z ucisku swego żywiołowego gniewu, a Von Kolnitz sapiąc jak miech, rzekł:

— Oficer jest związany przedewszystkiem tajemnicą służbową, zwłaszcza teraz, w czasach wojennych.

— Więc niczego się nie dowiem?

— Tyle mogę tylko powiedzieć, że go już pani nie zobaczysz!

— Więc ta historya z Saharet?

— Mówiłem o rywalu...

— I kłamałeś przez zazdrość.

— Dla pani to i wszystko dla pani, bo i pocóż trzymasz się człowieka, który bezpowrotnie jest straconym?...

— Co to znaczy? Dla czego stracony? — Kto mi go miał prawo wydrzeć? — wołała Lina jak w obłąkaniu.

— Interes państwowy! — odparł ze spokojem baron.

— Więc poświęciliście go, a on poszedł jak człowiek szlachetny nie wiedząc, że pada ofiarą niskiej zemsty...

— Nie mam powodu ani go szanować, ani miłować, ale argument osobisty był w tej sprawie ubocznym.

— Więc będzie zamordowanym?

— Poświęca się dobrowolnie. Stawiam go przez te słowa wyżej jak pragnąłem. — Wiem co przez to tracę!

— A jakie miałeś pan szanse zyskać coś u mnie kiedykolwiek przeciw memu mężowi. Ja chciałam tylko przekonać się z jakich motywów mnie opuścił. Teraz wiem, że jak wierzyłam: z najszlachetniejszych. Pan możesz już odejść.

— Lino!

Z poza kwiatów wiązanki Lina wyjęła mały rewolwer. Baron zobaczywszy broń w jej ręku, mimowoli zadrżał, ale Lina uśmiechnęła się doń z wyniosłą pogardą:

— Mój panie baronie — rzekła — naruszyłeś dziś niejednokrotnie prawa gościnno-

ści, jeźli atoli posuwać to zechcesz do zuchwalstwa i atakować, zastrzelę cię jak psa!

— A moje szczęście?

— Moc pruska może zwyciężać w wojnie, ale miłości nie zdobywa się siłą, ani szczęścia krzywdą tak ciężką bliźnich. Jak już powiedziałam możesz pan odejść, mój drogi baronie!

W tej chwili stary Zalajas pojawił się w drzwiach:

— Przychodzisz papo w samą porę, gdyż nasz gość pragnął pożegnać Waszą Ekscellencyę.

— Czas mi istotnie w drogę! — bąknął Von Kolnitz.

— Baron jedzie do Detroit na schadzkę z moim mężem — zawołała Lina — ty wiesz papo, że to przyjaciele od serca.

— Frank w Detroit?

— Tak zapewnia mnie pan baron i na to zapewnienie i my tam pojedziemy ojcze!

Zalajas nie znosił podróży i spojrzał na nią miłosiernie, ale ona taki miała wzrok dziwnie ponury, że nie miał siły zaoponować.

— Pojedziemy — odparł — jeżeli tak chcesz, a więc baronie do widzenia w Detroit.

Von Kolnitz ani głowy nie podniósł. Ze światowca zmienił się w złamanego człowieka. Czuł, że marzenia o własnem szczęściu zagasły, że we wszystkiem zwycięsca, w tem był pokonany kompletnie.

Jak automat wsiadł do automobilu i pojechał w pole.

— Chcę powietrza — rzekł do szofera — jedź przed siebie!

Nie długo mógł korzystać z przejażdżki. Błękit niebieski, zrana słońcem rozjaśniony, w miarę dnia zaczął okrywać się chmurami i teraz był niemal stalowo-czarnym. Od czasu do czasu roztwierały się chmury i w twarz barona biła błyskawica, jakby mu mówiąc: "Tyś łotr!" — a zaraz potem grzmot za grzmotem walił na alarm jakby otwierało się piekło przed nim, przed wcielonym szatanem.

Przytem duże krople deszczu, jak łzy nieszczęść, które baron wywołał, zmieniły się w całe strugi niezwykłej ulewy.

Przyszedł przytem wichr lodowy i zmroził barona do kości.

Kazał zawracać.

Jadąc do hotelu ostygał teraz z gorączki, a w miarę jak stawał się znowu nieczułym i zimnym, złość szatańska opanowywała jego uczucia.

Gdy dojeżdżał do hotelu już był całkiem sobą i mówił do siebie z pruską zawziętością:

— Zakpiła ze mnie, ale i ja zakpię z niej. Nie dała mi serca, ale ja wezmę kobietę. Wezmę i rzucę, gdy tak mi się spodoba! Atoli wpierw trzeba ją ubezwładnić.

Zawołał na szofera, aby go zawiózł do stacyi telegraficznej.

Ujął blankiety urzędowe i ze spokojem klerka pisał następującą szyfrowaną depeszę do niemieckiego ambasadora w Waszyngtonie:

"Natrafiłem na ślad sprzysiężenia w celu wprowadzenia Huerty napowrót do Meksyku. Zalajas, były minister Huerty i Orosko stoją na czele. Córka Zalajasa, Lina, pośredniczy między spiskowcami i Huertą.

Wyjednać przymusową deportacyę Zalajasów, a przedewszystkiem uwięzienie Liny i jej ojca. Mnie zawiadomić, gdyby do tego przyszło. Idzie mi o tem pewniejsze wykonanie naszych planów co do osłabienia wpływu aliantów."

Ze stacyi telegraficznej pojechał baron do jednego z trzeciorzędnych hoteli.

Postawiwszy do góry kołnierz i zacisnąwszy kapelusz na oczy, wbiegł szybko na ostatnie piętro i bez zapukania wszedł do pokoju, na którym jaśniał nieforemny napis: "agentura dla robotników fabrycznych."

W pierwszym pokoju nie zastał nikogo, z drugiego dochodził hałas wielu głosów.

Baron przystanął i słuchał.

W tej chwili doszedł ktoś najważniejszy do głosu, gdyż uciszyli się wszyscy i można było słyszeć każde słowo:

"— Bracia — mówił mówca w niemieckim języku — fabryka nabojów ma zamówienia milionowe i gwarantuje nam życie dobre na długi czas, ale w sumieniu jesteśmy współmordercami naszych braci. Kule, które odlewamy i każdy z naboi, to na śmierć,

na zgon dla naszych, dla Niemców. Czyż mamy jeść chleb krwią braci pokropiony, czy mamy z przekleństwem wdów naszych i sierot iść spać, czy mamy żyć we wiecznej trwodze, aż nas kara za tę zbrodnię dosiągnie?"

— Przenigdy! — ozwało się kilkanaście głosów — ale z czegoż żyć będziemy, gdy spalimy fabrykę i strajkiem obejmiemy cały okręg?

W tej chwili drzwi się otworzyły i do izby wszedł baron.

— Panie Gros — rzekł z powagą do gospodarza — pozwól, że odwiedzając was, odpowiem zaraz ostatniemu mówcy na jego obawy. Otóż jeżeli zapytujecie co będzie, gdy nastaną strajki i gdy pożary zniszczą fabryki, ja wam odpowiadam w imieniu niemieckiej Ojczyzny, że ona wam to zapłaci i jak bohaterów każdego z was odznaczy. Ani jeden cent z waszego zarobku wam nie przepadnie. Każdy będzie zapisany i nikt nie będzie zapomniany! Wy dla Ojczyzny, Ojczyzna dla Was!

— W takim razie — odezwał się starszy już robotnik o siwych włosach — ja sam dziś

jeszcze w nocy rozsadzę dynamitem pawilon szklanny.

— To powstrzyma pracę na ośm miesięcy! — zawołał Gros.

— Doskonale — rzekł na to baron — oto macie tu trzy tysiące dolarów na pierwszą pomoc dla bezrobotnych. Dalszą troskę mnie pozostawcie. A teraz z wami mam słowo panie Gros!

Robotnicy żegnali z czcią ogromną barona, a on idąc ku drzwiom klepał ich po ramionach i ściskał ich spocone ręce, a przytem nie szczędził gorących słów dla każdego.

Gdy wreszcie znalazł się w pierwszej izbie sam na sam z Grosem, szepnął doń:

— Mój drogi panie Gros, mam ja dla ciebie dzieło specyalne. Wszakże w obec projektowanej eksplozyi, będziesz i tak bez pracy.

— Nie inaczej!

— Słuchaj więc uważnie. Oto interesa doniosłe wymagają, abym wiedział o każ-

dem słowie, które padnie w domu Zalajasów i o każdym ich ruchu.

— To nie trudno uskutecznić. Panna służąca Liny, to moja narzeczona.

— A ty w dodatku umiesz po meksykańsku i możesz i przez nią i sam, wszystko zbadać. Weź tych trzysta dolarów na wydatki i dalej do dzieła.

— Z przyjemnością! Dzięki też panu baronowi za uczciwy dla mnie zarobek. Nie będę marnieć z powodu bezrobocia.

— Ale tych tam chłopaków — mówił baron wskazując na sąsiednią izbę — miej na oku, to świeży materyał, to bohaterzy!

— Oni poświęcą wszystko panie baronie dla chwały Niemiec!

— A ty?

— Z zapałem!

— Ale gdy przyjdzie wybierać między tą wielką sprawą i narzeczoną...

— Zniszczę własne szczęście baronie, ale pójdę za Ojczyzną!

— Patryota z ciebie jakich mało.

— Nigdy nas nie zamało, a ty nas prowadź.

— Nie ja, ale duch Ojczyzny.

— Niech żyje!

Drzwi drugiej izby otworzyły się i jakby wtórując tym słowom zabrzmiała pieśń: "Die Wacht Am Rhein."

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Przygotowania Sprzysiężonych.

Drobny, gęsty deszcz spadał z ołowianych chmur, które już ustępowały, atakowane z boku przez żar słoneczny.

Powietrze było jednak ciężkie i duszne i nie zachęcało do przechadzki, chociaż dzień był ciepły.

Zaledwie kilkanaście osób można było widzieć na dworcu w Detroit w chwili, gdy zajeżdżał tam pociąg z St. Louis, którym przybywał Gallen w asystencyi Remlera.

Gdy pociąg dojeżdżał do dworca, Remler zbliżył się do Gallena i rzekł doń:

— Możesz pan mieć żal do mnie, ale ja działałem w służbie i jestem i teraz pod komendą.

— Jesteś najpodlejszym szpiegiem i zbirem...

— Widocznie i tacy są potrzebni, skoro zaprzęgli mnie do służby.

— Von Kolnitz, a nikt inny.

— Przekonasz się pan w Detroit, że tak nie jest. Najwybitniejsi i najszlachetniejsi ludzie współdziałają.

— Musi to być szczególniejszy zbior szlachetnych...

— Pan ich poznasz i ocenisz, ale zanim to nastąpi, niech pan nie zraża ich do sprawy...

— A cóż ty gamoniu o tem rozumiesz?

— Od lat jestem przy panu baronie i wiem niejedno...

— Może chcesz powiedzieć, że rozumiesz całą akcyę.

Remler sięgnął na te słowa do kieszeni, wyjął z niej sporą kopertę i podsunął Gallenowi pod oczy dokument, jaki w niej był.

— Mój patent na podoficera! — zawołał z dumą — czy pan myślisz profesorze, że można go otrzymać bez pracy?

— Więc awansowałeś?

—Przekonałeś się o tem profesorze z przedstawionego dokumentu, a teraz posłuchaj jaki mam co do ciebie rozkaz...

— Co do mnie?

— Co do pana! Rozkaz ten jest bardzo stanowczy i ogromnie przykry...

— Bardzo mnie rozciekawiasz Remlerku...

— Mam pana nieustannie pilnować...

— Mówże otwarcie: — szpiegować.

— Niech pan to nazwie jak pan chce. Ale ja mam także rozkaz zastrzelić pana, gdybyś usiłował w czem wielkiej sprawie zaszkodzić.

— Aż tak?

— I spełnię to co do joty. Możesz pan być pewny!

Pociąg dojeżdżał do stacyi, a Remler niespokojnym wzrokiem objął nieliczne gromadki zebranych na peronie osób.

Naraz twarz mu się rozjaśniła i więcej już poufale potrącił Gallena.

— Sam prezes lokalnego komitetu nas czeka — szepnął mu do ucha — przedstawże się jak jeden z naszych. On ma pana za wielkiego człowieka.

— Którego prowadzisz na śmierć.

Remler obruszył się.

— Co pan mówisz o śmierci — cisnął mu

w ucho — mamy ratować życie Prus i Niemiec!

Gallen spojrzał uważniej na Remlera.

— Tyś się widzę naprawdę wyrobił — odparł — tyś dorósł swojej rangi...

— A pan czyliż nie chcesz wrócić do swojej dawnej...

Gallen westchnął strasznie głęboko, wstrząsnął się i wyciągając rękę do Remlera, rzekł:

— Wracam i całem sercem!

Drzwi wagonu były już otwarte i wyskoczyli zeń obydwaj, aby powitać oczekujących pionerów pruskich.

Prezes komitetu lokalnego Werner miał wygląd jowialnego stryjaszka zasobnej familii i powitał profesora jak krewniaka.

— Mój Gallen — mówił doń — witam cię jak jednego z moich wnuczków, a możesz być pewien, że ich kocham bardzo. To miara jak ci rad jestem. Będziesz w mojej chałupinie, jak we własnym domu.

Przedstawił mu towarzysza swego Wolfa, który wyglądał jak stary pigularz, gdy się zabiera do odcyfrowania recepty.

Bez długich dalszych rozmów wsiedli wszyscy do ogromnego automobilu i pojechali do Wernera.

Okazało się, że jego chałupina była wspaniałą rezydencyą, która poza wysokimi żelaznymi sztachetami tonęła wśród bogatej zieleni. Rozłożyste drzewa i bujne kłęby wysokopiennych krzewów zasłaniały dyskretnie dalszą część ogrodu, a tyłem do eli ciągnęły się u granic rezydencyi zabudowania gospodarcze.

Gdy znaleźli się przed głównem wejściem Werner rzekł do Gallena.

— Moja chałupina to jak nowoczesna forteca. Ani kto przypuści, że wśród tego bogactwa przyrody, wśród tych bzów i topoli, mieszczą się składy dynamitu, szrapneli i prochu strzelniczego.

— A czy to punkt stosowny? — zauważył Gallen. — W stanie New York w okolicy Haskell i Ponton byłoby odpowiedniejsze miejsce.

— Wnosisz pan to stąd, że tam są wielkie fabryki i magazyny materyałów wybuchowych. Pomyśl jednak jak łatwo wpadli-

byśmy w podejrzenie, operując tuż przy składach, które mamy w powietrze wysadzić.

— To prawda! Przypuszczam także, że przy swem doświadczeniu masz ludzi odpowiednich do wykonania zakreślonych planów.

— Niezawodnie!

— Więc pocóż mnie tu wysłano?

— Pewnych przesyłek nie możemy i nie chcemy nadawać przez osoby znane w mieście, a do bardzo drażliwych misyi potrzebny bohater, a nie zwykły szeregowiec. Powiedziano mi, że pan poświęcasz życie dla sprawy.

— Tak!

— Więc bądźmy jak bracia. Trzy paki przeznaczone dla okrętów muszą być jeszcze dziś przed południem nadane. Twój pański wygląd rokuje, że cię nie będą przy nadaniu pytaniami nagabywać. W ostatecznym razie musisz odmówić wyjaśnień i pozostawić władzy uciążliwą i długą pracę identyfikacyjną. W tym czasie zoryentujemy się jak postąpić.

Mówiąc to Werner prowadził gościa do podziemnia, dobrze wyłożonego kamieniami, z którego wąski korytarz prowadził do tylnych zabudowań gospodarczych.

Wolf i Remler postępowali w milczeniu za gospodarzem i jego dystyngowanym gościem.

Gdy weszli do głównej izby niepokaźnego z zewnątrz budynku wzrok Gallena niezwykłe ujrzał widowisko.

Oto przy ogromnym niskim stole kilkanaście pań z towarzystwa ładowało pakunki ze śmierciodajną zawartością.

Praca szła szybko i wśród ciszy najzupełniejszej.

Gdy Werner wprowadził swych towarzyszy jedna tylko z pań podniosła się na przywitanie.

— Moja żona — sprezentował Werner — wszystkie inne, to bezimienne anioły poświęcenia...

— Kornie uchylam czoła! — rzekł profesor.

— To on, Gallen! — szepnął żonie Werner.

Gospodyni domu teraz dopiero wyciągnęła rękę do profesora i serdecznie ją uścisnęła.

— Witaj nam — rzekła — w tobie przybywa nam główna siła, tobie należą się wszystkie nasze serca.

— Prusom moja pani — odparł Gallen — a nie mnie.

—Chodźże pan ze mną! Czas nagli!

Zabrała z sobą Gallena do niewielkiego kontoaru tuż obok i zasadziła go do pisania deklaracyi wysyłkowych, a potem szczegół po szczególe omawiała z nim, jak ma postąpić przy nadaniu przesyłek.

Gdy się z tem załatwili, zaprosiła Wernerowa Gallena na przekąskę.

— Remler i Wolf włożą paki na automobil, — rzekła — a pan tymczasem musisz się posilić.

Przeszedłszy kilka bocznych schodów znaleźli się wnet w dużej sali jadalnej.

Usiedli w troje z gospodarzem domu.

Jedna z pań, którą Gallen widział poprzednio przy pakunkach, usługiwała im.

Gallen był zdziwiony, że mówią przy niej tak otwarcie.

— To pani Kremer — sprezentowała mu ją Wernerowa — przyjaciółka ta nasza jest wdową po formanie w arsenale rządowym w Picatinny, N. Y., który wzniecił tam pożar i sam przytem zginął.

Wzrok Gallena spotkał się ze smutnemi oczami Kremerowej.

— Jej brat — ciągnęła tymczasem dalej Wernerowa — poległ pod murami Przemyśla, a jej syn jedynak walczy w trenszach niemieckich pod Arras.

Gallen obie ręce wyciągnął do Kremerowej.

—Cześć pani! — rzekł z przejęciem.

— Ratuję tylko mego chłopca, jeżeli tu pracuję — odezwała się ona na to bardzo skromnie — gdyż proch i szrapnele stąd, to śmierć dla tamtych.

Śniadanie nie trwało długo, albowiem czas naglił.

W jakie dwadzieścia minut przyszedł szofer po Gallena.

— Wszystko gotowe! — rzekł.

Gallen z ciekawością mu się przyglądał. W bluzie zwykłego robotnika amerykańskiej expresowej kompanii, z twarzą nieco zamazaną błotem i z krótką fajeczką w zębach, wyglądał on jak prawdziwy expresowy "boy."

Ale z jego ócz wyglądał jednak dobry znajomy Gallena.

Nie wymieniając jego nazwiska podał mu profesor rękę:

— To ty?

— Tak mój panie McGovern — odparł Remler — nie zapomnij o nowem swem nazwisku jako nadawcy posyłek.

— Bardzo dobrze — odparł Gallen, wybierając się w drogę, z której mógł już nie wrócić, gdyż przy ekspedycyach większa już była czujność władz federalnych.

Ostatni wybuch w składach bawełny strzelniczej firmy Anderson Chemical Co., w Wellington, N. Y., wywołał głośne wołanie całej prasy amerykańskiej o zwiększenie tej czujności.

Ale jowialny gospodarz nie brał tym razem zbyt tragicznie misyi Gallena.

— Dziś na stacyi — rzekł do niego — ma służbę Falk, a to przecież nasz. Ten ani oka na was nie skrzywi. Zakręć Remler korbę i w drogę.

Misya dnia tego była istotnie niebawem dopełnioną i w biednego profesora wstąpiła nowa otucha.

— Jeżeli tak samo pójdzie z Brownem — mówił do siebie wypoczywając w nocy po niezwykłych tylu wrażeniach — natenczas zdołam może odzyskać Linę.

Otucha nie była oczywiście zbyt wielką, gdy rozważył, że Brown to miliarder, rozporządzający bogatym aparatem najwierniejszej służby domowej.

— Strasznie mi będzie z ich rąk się wydostać, ale jednak wydostanę się. Winienem to Linie, aby wszystkie pokonać trudności. Będę w ostateczności walczyć jak lew. Całą Amerykę, całe Niemcy wprawię w zdumienie, niech wiedzą co to pruska siła woli!

Mówiąc tak do siebie spojrzał z dumą na pruskiego orła, który z rozpostartemi skrzydłami jakby już zrywał się z dębowych potężnych ram drzwi głównych.

Ale w tejże chwili świetlana mgła zakryła żelazne szpony orle, a w tej mgle stanęła przed duszą rozbitą Gallena para przejmujących węglowych dyamentów, niezapomniane oczy Liny.

Profesor wzniósł ręce jak człowiek, który chce ująć marę senną:

— Gdzieżeś najdroższa — modlił się niemal do obrazu żony, wyobraźnią niespokojną namalowanego — co się dzieje z tobą, jak ty się tam męczysz sama Lino, Lino!...

W miarę tych aktów strzelistych stawał się Gallen silniejszy i rad był biedz zaraz na Browna i wszystkich miliarderów Ameryki, aby w nagrodzie zwycięstwa odzyskać żonę!

Z tą nadzieją przyszedł doń największy dobroczyńca, udręczonych: sen i rozsłonił przed nim świat czarów swoich...

Najpierw przyszły obrazy bitew i straszne sceny nieubłaganej walki. Potem widział siebie Gallen w tryumfalnym wozie, który prowadzili heroldowie podbitych przez Niemcy ludów wśród zwycięskich fanfar i ogłuszających okrzyków olbrzymich tłumów.

Przywiedli go przed samego cesarza, który mu rzekł:

— Oto pokonałeś śmierć samą i wydarłeś się z jej rąk. Niechże krzyż walecznych zdobi za to twoją pierś, a szczęście dni twoich niech rozjaśnia najcudowniejszy z promieni, twoja Lina.

Zerwał się na to Gallen na równe nogi, wyprostował w pozycyi wojskowej i zawołał dziarsko:

— Zu deinen Majestaet!

Ale z ust cesarskich przyszedł doń teraz znajomy dobrze głos:

— Profesorze, co panu?

Gallen otworzył oczy, przetarł je i spojrzał w ponurą rzeczywistość:

W okna biło już światło pełnego dnia, a przed nim stał szofer z dnia wczorajszego, tylko starannie ogolony i w czystej kurcie, stary Remler.

— Doprawdy — mówił — zdawało mi się, żeś pan w gorączce...

— A mnie zdawało się, żem naprawdę przed cesarzem...

— Szczęśliwy sen i dobra wróżba.

— Co przynosisz?

— Panowie już pana oczekują.

— Kto taki?

— Sami wielcy, wnet pan ich zobaczy, są przy śniadaniu!

Gallen zrozumiał sytuacyę i zaczął się ubierać pospiesznie.

Ale gdy przed lustrem stanął cofnął się o kilka kroków i zawołał:

— Ależ Remler, ja osiwiałem!

— To nic. Ziemia co roku siwieje, a z wiosną się odradza. I pan jeszcze wiosnę mieć będziesz.

— Myślisz?

— Wiosnę szczęścia. Każdy Prusak ją mieć będzie...

— Czy i umarli?

— Pocóż zaraz mówić o śmierci!

Mówiąc to otwierał już Remler drzwi do jadalni.

Tam czekano istotnie na Gallena, aby w szczegółach najdrobniejszych ułożyć z nim zamach na Browna.

Na pierwszy rzut oka nie było atoli na

stole ani trupiej głowy, ani śmierciodajnych narzędzi.

Winna polewka dymiła się z porcelanowej czary i rywalizowała z hamburskim steakem w przyprawie niemieckiej o podrażnienie podniebienia.

Wernerowie wysilali się na kordyalną uprzejmość i dobry humor.

Gallen starał się im w tem dorównać pamiętając, że myśl wesoła to podnieta męstwa.

Śmiano się i zabawiano jak długo był apetyt i jak długo stół zastawiony doń szturmował.

Ale gdy i apetyt padł pokonany przemyślnością świetnej kuchni i już tylko z dobrych cygar bił w górę dym błękitny, gospodarz pociągnął za ramię Gallena i dając znak innym gościom, rzekł doń:

— Czas nam do naszej biblioteczki!

W mgnieniu oka śmiech zagasł na ustach, a powaga osiadła na twarzach.

W milczeniu przez tajemne schody weszli wszyscy do niewielkiej izby, w której na

dużym stole był już rozłożony plan letniej rezydencyi Browna.

Zaczęła się narada, w której Gallen nadspodziewanie celował.

Liczne podróże, jakie odbył i doświadczenie tyloletnie w najdziwniejszych okolicznościach, uczyniły go nietylko roztropnym, ale i przebiegłym.

— Pan już nie samego Browna, ale całą Wall Street opanujesz! — zawołał pod koniec narady Werner.

— Spełnię sumiennie obowiązek względem Ojczyzny! — odparł Gallen.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Zamach na Browna.

Milioner Brown przyjmował w swojej willi nadmorskiej w pobliżu Nowego Yorku angielskiego ambasadora Pageta.

Mieli ze sobą do omówienia sprawę nowej olbrzymiej pożyczki dla Anglii i Francyi i w zaciszu letniem zdala od gwaru miejskiego czuli się bezpiecznymi od posłuchiwań i nagabywań postronnych.

Z balkonu willi widział Brown całą niemal okolicę od najbliższej prywatnej, jego własnej, stacyi kolejowej do rozległych lasów po jednej stronie, a brzegów morskich po drugiej.

Na całej rozległej tej przestrzeni znajdowali się przytem jego właśni intendenci, słudzy i robotnicy. Każdy człowiek był zaregestrowany, każdy zakątek pod specyalną strażą. Nawet odwiecznym drzewom lasu nie bardzo ufał Brown, gdyż przed ich długim rzędem wysoki druciany płot był opar-

ciem dla bujnych winnych latorośli, okrywających obronne ostre kolce ogrodzenia.

Do samej willi prowadziły dwie bramy. Przed pierwszą z nich zajeżdżały automobile. Potem goście, oczyszczeni z kurzu musieli jeszcze przyjść przez drugą, o wiele wspanialszą bramę strzeżoną przez argusowe oczy starego Johnsona, wiernika Brownów.

Osobna kombinacya dzwonków elektrycznych umożliwiała nadto każdej chwili i z każdego miejsca alarm.

Brown ze słuszną dumą mógł był więc powiedzieć do ambasadora:

— Tu jesteśmy bezpieczni!

— Jakaż to ogromna wygoda takie uczucie! — zawołał na to Paget.

— Niestety, sam tylko pieniądz daje tę wygodę. Trzeba było ją kupić!

— Wszystko ostatecznie trzeba kupić i zwycięstwo także!

— Zwycięstwa wasze panie ambasadorze chyba najkosztowniejsze. Miliardy toną we krwi.

— Musimy się bronić na wszystkie spo-

soby, aby uratować ludzkość od wszechkontroli pruskiej.

— Ależ naturalnie. Byłaby to śmierć nawet dla naszej wolności!

— Czy czytałeś panie Brown ranne pisma?

— Jeszcze nie!

— Przerazisz się wiadomościami.

— Cóż takiego? Przestraszasz mnie!

— Zaczyna się mścić system "bacznego czuwania."

— Jakto? Czyż nie dość ostrą prowadzimy walkę z Niemcami o zatopienie Luzytanii?

— W Berlinie obchodzono to zatopienie jednak jakby wam na szyderstwo, jako walną wiktoryę. Tysiąc ludzi, w tem najwybitniejsi amerykańscy obywatele, setki skrzyń ze złotem, broń i amunicya dla nas, wszystko to na dnie oceanu, a oni tryumfują!

— Cóż atoli nowego przynoszą pisma?

— Okręt "Niagara" w płomieniach!

— Na otwartem morzu?

— Pół godziny odległości od brzegu.

Ledwo odpłynęła z wiadomym panu transportem, w magazynach okrętu wybuchła bomba.

— Czy piszą o sprawcy?

— Eksplodowała jedna z przesyłek nadanych w Detroit. Pożar zniszczył sporo towaru, ale na szczęście nie przedostał się na drugą stronę okrętu do pak z kulami i prochem.

— Grozi też katastrofa na okrętach "Hulza," "Nortonian," "Defender." Stwierdzono, że i na te statki przyszły tajemnicze przesyłki z Detroit, takie same, jak na "Niagarę."

Brown poruszył się niespokojnie.

— Spodziewam się, że przestrzeżono kapitanów telegramami.

— Naturalnie, ale czy telegramy wczas ich rąk dojdą?

— Któż to wie?

— Jeszcze jedną mamy wiadomość...

— Jeszcze jedną?

— Niestety! Jak pan wiesz firma Padgitt Brothers Saddlery Co. w Dallas, Tex.,

otrzymała od Francyi olbrzymią dostawę na siodła.

— Naturalnie, że wiem, przez moje ręce to idzie.

— Otóż wykryto wczoraj pod noc, że cały budynek był podminowany. Jedna z podłożonych bomb przedwcześnie explodowała i zniszczyła tuż obok dom mieszkalny siodlarza Moore'a. On sam zginął...

— Ależ to okropnie!

Przy tych słowach rozejrzał się Brown z niepokojem, jakby badał, czy i u niego bomby nie ma gdzie w zakątku.

Atoli zaraz sam rozśmiał się na tę myśl.

— U mnie nie może się to zdarzyć! — rzekł do Pageta.

W tejże niemal chwili wtoczył się pod bramę główną automobil.

— Gość! — zawołał Brown — a my chcieliśmy być sami. Chodźmy do biblioteki.

Przechodząc z uprzejmym gospodarzem przez szereg apartamentów Paget pozdrowił po drodze panią Brown i schylił się następnie do bawiących się opodal dziatek gospo-

darza, gdy naraz wpadł mu w uszy niezwykły w tem zaciszu hałas w przedsionku.

Oglądnąwszy się spostrzegł Paget przez amfiladę sal eleganckiego mężczyznę usuwającego silną ręką jednego z furierów i torującego sobie drogę do wnętrza.

Brown z właściwą sobie zimną krwią szedł już przeciw nieznajomemu. Zbliżyli się do siebie na kilka kroków, gdy naraz w ręku przybyłego zabłyszczył rewolwer i padły raz po raz dwa strzały.

Brown pochyli się i upadł.

Pani Brown z okropnym krykiem rzuciła się ku niemu, a dzieci z płaczem pobiegły za matką.

Tymczasem furierzy opadli z kilku stron nieznajomego, ubezwładnili i skrępowali.

Paget zatelefonował po lekarzy i policyę, a sam z Johnsonem wyszedł, aby opatrzyć bramę, gdyż drżał na myśl, że napastnik ma wspólników.

Brama była już atoli dobrze zamknięta, a dziesięciu co najtęższych ze zwołanej służby pilnowało jej teraz z bronią w ręku.

— Otworzyłem mu ją — tłómaczył się ze łzami w oczach Johnson — gdyż wyglądał na wielkiego pana i mówił jakby był przywykły do rozkazywania. Wprowadziłem go właśnie do pokoju gościnnego, aby w międzyczasie posłać naszemu panu jego kartę, gdy on wykorzystał przebiegle moją uprzejmość i popchnął mnie silnie. Upadłem na wznak, podczas gdy on wtargnął do wnętrza. Oto jego kuferek.

Paget otworzył i odskoczył:

— Dynamitowe świece! — wyszeplenił przerażony — wystarczyłyby na zburzenie całej willi i wysadzenie nas wszystkich w powietrze!

Policya, która nadjechała, zabrała kuferek z tak niebezpieczną zawartością i zaczęła na miejscu badać sprawcę.

Zrewidowano go najpierw kompletnie i znaleziono w jego kieszeni bocznej taki list:

"—Najdroższa Lino! Przebacz mi czyny tak okropne, ale nie mogłem dłużej znieść przerażających wieści o wojnie, podniecanej przez przesyłki broni i amunicyi i znaczne pożyczki tego kraju dla Anglii i Francyi.

Należało temu kres położyć, ubezwładniając głównego przywódcę w pieniężnej walce amerykańskiej przeciw Prusom. Brown nie mógł ujść kary. Sprawiedliwość uczyniła mnie mścicielem. Za miliony jeden, za całe pola niewinnych ofiar, jeden winny. Zasłużył. Nie mogłem się powstrzymać. Przebacz. Krwawię Twoje, ale rozdzieram własne serce. Aż do zgonu twój

Frank Gallen."

— Pan jesteś profesorem Uniwersytetu Lincolna w St. Louis? — pytał sprawcę zamachu detektyw po odczytaniu znalezionego listu.

— Tak panie!

— Czy chciałeś zabić Browna.

— Chciałem go uwięzić we własnej willi wraz z całą rodziną.

— Czy pomyślałeś, że on ma przecież ludzi na obronę?

— Miałem dynamitu dość na jego najmitów!

— I dlaczego chciałeś uwięzić Browna?

— Aby wymusić na nim cofnięcie pomo-

cy amerykańskich miliarderów dla Anglii i Francyi!

Paget nie mógł się powstrzymać.

— Więc byłeś narzędziem Prus? — zawołał.

— Działałem z własnej woli.

— A skąd wziąłeś dynamit?

— Kupiłem dla studyów?

— Takie masy?

— Wcale nie tak wiele, kilka świec to wszystko.

— A twoje przesyłki do Texas, i na pokłady Niagary, Hulvy, Nortonian, Defender...

— O tem nie wiem.

— Paki nadałeś w Detroit!

— Nadałem na okręty przeznaczone dla Anglii i Francyi.

Gallen podniósł się z dumą:

— Jeżeli na owych okrętach były magazyny eksplodujące dla wymordowania setek tysięcy Niemców, to czemu nie miałem poświęcić załogi z kilkudziesięciu majtków i kilkaset amerykańskich próżniaków w dodatku?

— Więc przyznajesz się do uplanowanego mordu...

— Do walki przeciw wojnie!

— I do konspiracyi!

— Nie układałem żadnej.

— A Stilburg i Von Kolnitz? — zapytał go nagle Paget i zwracając się do prokuratora, rzekł:

— Zarządź pan telegraficznie w jego domu rewizyę jak najdokładniejszą, choćby meble porozbijać i pokrajać. Tam muszą być ważne papiery!

Gallen zmienił się w jednej chwili. Z bohatera, urągającego Pagetowi, stał się złamanym człowiekiem. Niemal błagalnie wyciągnął rękę do prokuratora.

— Panie — rzekł — weź mnie na tortury lub wydrzyj mi życie, ale szanuj spokój mojej żony. Ona nie przeczuwa nawet, co ja uczyniłem. A ja musiałem! Nie mogłem inaczej!

— Dlaczego musiałeś ?

— Jestem Prusakiem!

— Prusaków w Stanach Zjednoczonych

bardzo wielu. Czemu który inny tego nie uczynił?

— Tak postanowiłem.

— Wyznaj prawdę a oszczędzimy twoją żonę.

Gallen zawachał się, ale tylko na chwilę.

— Cóż wam powiem — rzekł po namyśle. — Sam te okropności wymyśliłem i sam wykonałem. Jestem gotów na śmierć.

Zarzucili go wszyscy pytaniami.

Badali go razem i z osobna, godzinę, dwie, trzy, zemdlał ze znużenia, ale nic już nie powiedział.

Wieczorem pod silnym konwojem odwieziono go do Nowego Yorku do więzienia.

Gallen przed odjazdem jedno tylko postawił zapytanie:

— Czy żyje Brown?

— Żyje i wyjdzie zdrów z afery!

— Ale nim wyzdrowieje pożyczka pójdzie w odwłokę!

— A ty się z tego cieszysz? — wołał Paget.

— Ogromnie.

— Chociaż to tak drogo opłacasz i ty i twoja żona.

Wspomnienie żony było nowym strasznym dla Galena bólem.

Z całą mocą łzy powstrzymywał.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Za Kulisami.

W hotelu Plaza w Nowym Yorku był ruch nadzwyczajny.

Raz po raz zajeżdżały automobile. Dyplomaci, bankierzy, kongresmani, reprezentanci prasy i wielki orszak żądnych senzacyi zapełniał lobby i tłoczył się do biura informacyjnego.

Raz po raz można było słyszeć te same niemal pytania i te same odpowiedzi.

— Excellencya Stilburg?

— Nie ma go!

— Jakto, wyjechał?

— Wcale tu nie był!

— Ależ to jego hotel?

— A jednak go nie ma!

Jeden z niecierpliwych docisnął się aż do głównego managera hotelu.

— Panie, ja go muszę widzieć! — szepnął doń.

— Panie Gesler, żądasz rzeczy niemożliwej...

— Żądam przysługi dla mnie ogromnie doniosłej...

Manager wziął go pod ramię i odprowadził na bok.

— Czy chcesz mnie narazić na utratę stanowiska?

— Niemal, że życie moje jest w grze...

— Pan wiesz najlepiej, panie Gesler, że radbym panu dogodzić...

— Idzie mi także o zabezpieczenie Stilburga przed zamachem.

— Czyim?

— Kobiety rozpaczą prowadzonej.

Manager pomyślał chwilę i rzekł:

— Wejdź pan przez elewator bagażowy na ósme piętro i skorzystaj z jakiego przypadku, abyś mógł dojść do Excellencyi...

— Numer?

— Tego nie powiem, ale na to masz sam dość sprytu.

Herman Gesler uścisnął nieznacznie dłoń managera i zniknął w tłumie.

W tym czasie pod nr. 815 w półcieniu

spuszczonych firanek i wśród kłębów błękitnego dymu rozmawiał Excellencya Stilburg ze swoim sekretarzem.

— Więc mówisz — bąkał z dyplomatycznem panowaniem nad sobą — że w prasie nie ma żadnych do mnie przymówień w odniesieniu do tego... jakże mu na imię?

— Gallen Excellencyo!

— Tak, niewątpliwie, Gallen, zapewne socyalista, skoro tak gorący...

— Kto go wie...

— Jakże się tłumaczy?

— Wcale się nie tłumaczy...

— Przecież go badają?

— Trzecich stopni przeszedł już z pięć, ale nie powiedział zgoła nic...

— Czy, aby to pewne?

— Mamy zaufanego w biurze prokuratora stanowego i przez niego wiemy o każdym szczególe śledztwa.

— Jakież te szczegóły?

— Zasadzają się na tem, że żadnych nie ma.

— Taki twardy?

— Jak kamień!

— Ale jak go przyśrubują?

— Już go dość śrubowali...

— Przecież coś musiał mówić?

— Zdradził jedynie niepokój o żonę.

— Ach prawda, on ma żonę...

— Córkę Zalajasa...

— Oliwkową piękność o węglowych oczach, przypominam ją sobie. Cóż się z nią stało?

— Baron kazał jej strzedz, ale mamy pewną całkiem wiadomość z St. Louis, że zdołała oszukać czujność detektywów i umknęła...

— Trzeba było temu za każdą cenę zapobiedz. Najokropniejszem w takich sprawach jest szaleństwo rozkochanych kobiet. Taka meksykanka na wszystko gotowa.

Domawiając tych słów spostrzegł po niewczasie Stilburg, że się zanadto całkiem niepotrzebnie zapalił i spojrzał uważniej na sekretarza, jakby chciał z twarzy jego wywnioskować o wrażeniu słów swoich.

Ale sekretarz był "dyplomatą przyszłości" i jakby nie słyszał słów Stilburga, rzekł z ogromnym spokojem:

— Śledztwo w sprawie Gallena będzie zakończone bez tej kobiety...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że niepodobna dopuścić do dalszego rozmazywania awantury...

— Nazywasz to awanturą...

— Nie można dopuścić, aby inaczej o tem myślano...

— Czyżby prokurator?

— To amerykański doktryner, który radby senzacyę jak najwięcej rozdmuchać, aby wzmocnić przez to swoje szanse na przyszość.

— Więc co my możemy?

— Niech mi Excellencya pozwoli ratować się!

Stilburg udał, jakby się obruszył.

— Ale czyż potrzebuję liczyć się z tą aferą? — zawołał.

— Jeżeli nie wprost, to pośrednio wszyscy do Excellencyi zwracają się.

— A cóż mnie do Gallena?...

— Utrzymują, że jego czyny leżały w interesie misyi...

— Czyżby mojej?

— Poco pytasz Excellencyo, moim obowiązkiem działać...

— Co masz na myśli?

— Usunąć go!

— Gallena...

— Tak!

— A przecież z za krat go nie wywieziesz...

— Ale za kratami może zamilknąć na zawsze!

— Oby Bóg skrócił męczarnie tego nieszczęśliwca...

— Niechże będę Bożą ręką...

— Opatrznościową dla Prus.

— Wierną dla Excellencyi.

— Otrzymasz rangę, order i dużą gratyfikacyę, ale pamiętaj ja ani nawet słyszałem, coś mówił...

— Cała odpowiedzialność przy mnie. Nie chcę jej dzielić!

— Weźmiesz też całą, niepodzielną nagrodę!

— Idę więc do Gallena...

— Jakto, zaraz?

— O tej porze mogę łatwiej wkręcić się

w tłum ciekawych lub między dziennikarzy i dobić się do rozmowy z nim...

— Więc idź! W czasie wojny życie ludzkie nie warte czasem kuli armatniej.

— Ale kula zabijając niejedno życie, ratuje nasze szanse...

— Bezwątpienia, masz w sobie zdolności dyplomatyczne i pójdziesz wysoko...

Sekretarz był już przy drzwiach i z ostatnim głębokim ukłonem ujął właśnie za klamkę, gdy z zewnątrz silne pchnięcie rzuciło nań niemal drzwiami.

Ledwo miał czas odskoczyć.

Z ręką, którą popchnęła drzwi naprzód wyciągniętą, a drugą odpychając niezdarne i jakby umyślnie niedbałe powstrzymywanie jej przez jednego ze służby, wbiegła do pokoju Lina.

Sekretarz chciał ją przemocą zatrzymać, ale sam Stilburg to udaremnił.

Podszedł on z uśmiechniętą twarzą światowca do Liny i rzekł:

— Witam panią. Musiałaś pani formalnie walczyć o dostęp do mnie. Oto rezultat mojego incognito!

— Przypuszczam, że mnie zechcesz wysłuchać Excellencyo!

— Ależ naturalnie!

Wprowadził Linę z tymi słowy do drugiego wspanialszego pokoju.

Sekretarz odprawił tymczasem służbę i kilku ciekawych i już chciał drzwi zamykać, kiedy we framudze opodal spostrzegł Geslera.

— Oh, i pan tutaj? — rzekł wyciągając doń rękę na powitanie.

— Chciałem zapobiedz jakiemu szaleństwu Gallenowej...

— Właśnie weszła do Ekscellencyi...

— Niestety widziałem i jestem pełen obaw... to meksykanka!

— Trzeba ją było zatrzymać w domu.

— Przedstawiałem jej jak mogłem, że w pewnych bardzo drażliwych sprawach należy postępować ogromnie oględnie i napozór uspokoiła się.... Ale po pewnym czasie wymknęła się niepostrzeżenie... Gdyśmy się spostrzegli straciliśmy ją całkiem z oczu... Jedynie smutne przeczucie tu mnie przywiodło.

Podniesiony głos Liny dosiągnął właśnie ich uszu.

— Mój mąż — wołała wśród łkania — jest ofiarą waszej konspiracyi.

— Ależ pani — uspokajał ją Stilburg— ja o tem nic nie wiem i nie pojmuję jak mógł powstać tak szalony plan w głowie tak poważnego człowieka jak profesor. .. Przypuszczam, że straszne wieści z terenu wojny umysł mu pomieszały...

— Chcecie z niego zrobić waryata...

— Pani Gallen!

— Na nic wszelka perswazya. Ja wiem wszystko. Jesteś Excellencyo hersztem spisku i wiesz o wszystkiem najlepiej.

— Pani się zapominasz...

— Staram się panować nad sobą, chociaż to co wyprawiacie ze mną zdolne wyłamać mnie z wszelkich względów.

— Zapewniam panią raz jeszcze, że o niczem nie wiem.

— A pocóż tu pan przyjechałeś w czasie takich upałów? Czy dla przyjemności?

— Pani Gallen!

— Albo może nie znasz barona Von Kolnitz?...

— Jeźli go znam, toć jeszcze za niego nie odpowiadam.

— Między wami wszystko ułożone. On, a nie kto inny zmusił mego męża do tych przerażających czynów, on zemścił się na nim za mnie...

— Za panią?

— Żem odepchnęła go od nóg moich, tę gadzinę...

— To rzecz nowa dla mnie.

— A że mnie chciał porwać w St. Louis i uprowadzić, czy to także nowa rzecz dla Excellencyi?

— Porwać panią i uprowadzić? Pierwszy raz słyszę...

— Gdym wyjeżdżała na dworzec kolejowy wpadli na mnie trzej bandyci...

— Ależ pani, przecież wszyscy wiemy, jak częste są takie napady w tym kraju...

— Ale nie przez detektywów konzularnych...

— Pani ich rozpoznałaś?

— Nazwiska są Excellencyi i baronowi dobrze znane...

— Pani ich kazałaś aresztować?

— Kazałam ich obić mojej służbie i odwieść do hotelu pana barona...

— A on?

— Zapytaj go sam, Excellencyo, przecież on tu gdzieś musi być, jeżeli nie na wygodnym fotelu, to gdzieś pod podłogą lub za futryną okna, albo może nawet pod łóżkiem, ten pruski bandyta...

— Ależ pani...

— Jako herszt bronisz całej bandy, ale i ja jako kobieta, bronię mego męża i mego domowego ogniska.

— Czemże mogę pani służyć?

— Baron popchnął mego męża w to nieszczęście, niechże go z tego wyciągnie.

— Żądasz pani rzeczy niemożliwej...

— Dla was wszystko możliwe.

— Ale ja niestety mieszać się w te rzeczy nie mogę.

— Musisz!

— Czy niezbyt zuchwałe słowo, jeźli już

pominiemy nawet względy uprzejmości? Niezapominaj pani, że jesteś moim gościem!

— Pamiętam także i o tem, że popchnąłeś Excellencyo męża i mnie do najokropniejszej katastrofy...

— Ja?

— Ależ tak, to całkiem pewne! Jednak przerachować się raczyłeś Wasza Excellencyo, że to ujdzie bezkarnie. Musisz go wyratować, albo sam zginiesz.

Ostatnie słowa powiedziała Lina strasznym grobowym głosem, a domawiając ich, wydobyła szybko z za gorsetu rewolwer...

Stilburg, ani drgnął.

— Strzelaj pani — rzekł z pozornym spokojem. Atoli w rzeczy samej bronić się istotnie nie potrzebował, gdyż w tejże chwili sekretarz jego przez wpół otwarte drzwi z tyłu dopadł Liny, skierował jej ramię z rewolwerem w dół i przerażonej, niespodziewanym atakiem, wydarł broń z ręki.

W tejże chwili zbliżył się także do niej Herman Gesler.

— Co pani czynisz? — zawołał — w ten sposób nie zdołasz dopomódz mężowi!

— Wiem co mam czynić — odparła Lina z zawziętością — a od pana także rady nie chcę. Jesteś przecież u nich na żołdzie. Wyście wszyscy jednacy. Pruskie zbiry!

Gesler zwrócił się do Stilburga.

— Przepraszam Excellencyę — rzekł — żem tu wejść ośmielił się, atoli przeczuwałem nieszczęście i chciałem mu zapobiedz...

— To co zaszło — odpowiedział Stilburg — nie warte wspomnienia... Trzeba nam wszystko przebaczyć tak bardzo przez los dotkniętej kobiecie!

— Przez was, przez waszą konspiracyę dotkniętej!

— Ta pani zbyt się zapomina — odezwał się na to sekretarz — i nie zawadzi spisać protokół o zajściu.

— Ty mój sekretarzu, idź do twojej pracy — zawołał Stilburg z naciskiem — ty masz swój przydział, a my i bez ciebie uporamy się z tą sprawą.

Gdy sekretarz odszedł Stilburg zwrócił się do Geslera:

— To co się tu stało — rzekł — ma po-

zostać na zawsze tajemnicą. Odprowadź tę biedną chorą do domu!

Lina zerwała się z krzesła.

— Więc nie uczynisz nic dla mego męża?

— Pomyślę i o tem! — odparł Stilburg, starając się ją uspokoić i odprawić jak najprędzej, gdyż lada chwila spodziewał się przybycia barona.

Istotnie baron był już na schodach i wszedł do pokoju w chwili, gdy Gesler podawał Linie rękę.

— Słyszę Excellencyo, że tu był zamach — zawołał od progu — spotkałem sekretarza w stanie kompletnego zdenerwowania. Gallenowie, jak widzę nie oszczędzają nikogo.

— Oh, co do pana, to zastrzeliłabym go z przyjemnością jak psa! — odezwała się Lina, a wzrok jej przejmujący zdawał się mieć ostrza sztyletów, które wpadły ze strasznym rozmachem w samo serce barona.

— Pani jesteś zbyt łaskawą — rzekł tenże rozbitym głosem, w którym już nie było tej pewności siebie, jaką miał gdy wchodził.

Przekonał się, że pod wrażeniem jej o-

czu słabnieje i że jej pogarda dotyka go strasznie.

Nie chciał jednak poddać się jej w oczach Stilburga, więc odwracając się od Liny patrzał całą twarzą w Excellencyę.

— W tym usiłowanym dzisiejszym zamachu tej pani — mówił — i w zamachu na Browna widoczne są te same symptoma gorączki mózgowej, wywołanej wrażeniem wojny...

— Ja to samo właśnie przed chwilą powiedziałem, mój baronie — odparł Stilburg — i to mogłoby najskuteczniej pomódz Gallenowi....

— Ale ja tej pomocy nie przyjmuję — zawołała Lina — miejsce mego męża ma zająć pan baron Von Kolnitz.

— Nie nastawałem na niczyje życie — odezwał się tenże, unikając wzroku Liny — i nie wchodzę w tę aferę...

— Odkryję przed światem wszystkie pańskie zbrodnie...

— Proszę zacząć od swojej własnej, którą poświadczy także pan Gesler...

— A cóż on może powiedzieć!

— Gdyby nie sekretarz, opłakiwalibyśmy Excellencyę...

— Ludzkość cieszyłaby się...

— Więc i cynizm w dodatku?

— Panie baronie — odezwał się teraz Gesler — Excellencya uwzględnił całkiem naturalne wstrząśnienie nerwów u pani Gallen.

— Ale tego nie mogą uwzględnić Prusy, które cenią trochę więcej życie jednego z najlepszych swoich synów, aniżeliby to ze słów pańskich wypływało.

— Jeżeli Prusy — zawołała na to Lina — składają się z samych takich czcigodnych ludzi jak obydwaj panowie, to powinny zniknąć z powierzchni ziemi...

— Wpierw będziesz pani musiała obronić się przed ciężkim zarzutem usiłowanego morderstwa...

— A pan z wszystkich rzeczywistych i przez siebie wywołanych zamachów?

— Ja mam dowody, a pani?

Mówiąc to spojrzał wreszcie znowu baron z podełba w oczy Liny. Ale nie znalazł

w nich przestrachu, ale raczej nieubłaganą pogardę.

— Co ja mam na pana, o tem się pan wnet przekonasz!

Powiedziawszy to podała Lina ramię Geslerowi i wyszła z pokoju, nie kiwnąwszy nawet głową Stilburgowi i baronowi.

Ten ostatni chciał wybiedz za nią, ale go Stilburg zatrzymał.

— Unikjamy skandalów, mój baronie, — rzekł z naciskiem — rząd Stanów Zjednoczonych już i tak burzy się na nasze burmistrzowanie w tym kraju.

— To właśnie najważniejszy powód Excellencyo — odparł baron — abyśmy w takich sprawach, jak zamach na Browna odepchnęli od siebie wszelkie zarzuty i podejrzenie.

— Będzie to ogromnie trudnem. Gallenowa jest kobietą młodą i zachwycającą i ma za sobą znaczną fortunę i wielu przyjaciół.

— Rzuciłem już jednak na nią podejrzenie wobec sfer Waszyngtońskich, że kon-

spiruje z Huertą, aby mu utorować drogę do ponownej prezydentury w Meksyku.

— Rozśmieją się na takie podejrzenie.

— Zebrałem zaprzysiężone zeznania wielu wybitnych osób...

— Od nas zależnych...

— Ale świat waszyngtoński o tem nie wie i widzi w nich tylko obywateli tego kraju, wpływowych w obozie demokratycznym.

— Czyliżbyś zamyślał mój baronie procesować Gallenową?

— Wcale nie! Chcę ją tylko złamać i zmusić do poddania się nam...

— To strasznie zawzięta kobieta...

— Jest już w podejrzeniu o wichrzenie w sprawach meksykańskich, a teraz przychodzi awantura z dzisiejszym zamachem...

— Tego rozgłaszaćbym nie chciał.

— Czyż to nie będzie wspaniałomyślnie, jeżeli przedstawimy prokuratorowi dowody i zabawimy się w szlachetnych?

— Byle nie było dyskusyi...

— Nie będzie żadnej...

— Powinieneś uwzględnić baronie, że

tragedya Gallena ma w sobie wiele momentów, jednających mu sympatyę...

— Ale sprawa Grubera-Gallena nie pociągnie nikogo. Żonobójca nie znajdzie litości...

— Chcesz odsłonić tę straszną historyę z przed lat?...

— Już to uczyniłem.

— Baronie, wywołujesz nową katastrofę.

— Racz mnie dobrze zrozumieć Excellencyo. Odsłaniając w nim wyrafinowanego mordercę zamykam usta jemu i jego żonie i odbieram sprawie zamachu na Browna wszelki cień sprawy politycznej. Rozpisując się o morderstwie pierwszem, zapomną panowie redaktorzy o motywach drugiego zamachu. Ja to trochę pieniądzmi podeprę. Czyż zły plan?

— Masz głowę ministeryalną. Muszę ci to przyznać baronie bez zastrzeżeń. Ale musisz wiedzieć, że i mój sekretarz planuje rzecz niezłą...

— Byle mi w drogę nie wszedł.

— Chce sprzątnąć Gallena.

— Aż taki mądry?

— Wprawił tym pomysłem i mnie w zdumienie.

— Może się da z niego zrobić coś w guście dyrektora policyi w Poznaniu lub w Warszawie. W każdym razie sprytniejszy od Geslera.

— Z Hermanem masz na pieńku, baronie, wiem o tem. Ale jednak wprawił mnie on w zdumienie relacyami o urządzeniach militarnych i fabrykach broni palnej i amunicyi w tym kraju. To człowiek z talentem i bardzo pracowity.

— Uznanie Excellencyi poprawia jego pozycyę także w moich oczach, ale wyznaję, że nie mógłbym pracować z nim na jednym terenie.

— Ależ twoja rola, mój baronie w Berlinie przy cesarzu, a Geslera możemy zrobić gubernatorem Kamerunu.

Mówiąc to, zaśmiał się Excellencya z własnego dowcipu, a baron wtórował mu przez grzeczność.

Potem wybrali się obydwaj tylną furtą do gubernatora na obiad.

Gdy jechali doń automobilem dochodziły już do ich uszu głośne wołania roznosicieli gazet:

— Extra, extra! — Gruber-Gallen, rozpoznano mordercę własnej żony.

Zakupili kilka gazet i w każdej na pierwszej stronie były dwa portrety profesora: z przed lat i współczesny.

— Tyżeś to zrobił, baronie?

— A któżby?

— A fotografie zkąd?

— Z mojego albumu.

— Lina zagryzie się na śmierć.

— Mogła tego uniknąć...

— Zawsze to kobieta z towarzystwa.

— Z nienawiścią do Prus w sercu.

— Cóż znowu baronie! Zrozpaczona i tyle!

— Chciała mnie zdeptać, niechże przekoną się co to znaczy walka ze mną.

Przejeżdżali przed gmachem sądu kryminalnego i widzieli gapiące się tłumy.

Z więzienia powiatowego wychodził właśnie sekretarz Stilburga. Z dobrą miną

przeciskał się przez tłum i wszedł w boczną ulicę.

Automobil Stilburga podążył za nim i wnet go dopadł.

Stilburg pozwolił mu wsiąść i zaraz dopytywać się zaczął o Gallena.

— Widziałeś go?

— Widziałem i mówiłem z nim...

— No i cóż?

Sekretarz pochylił się do uszu swego szefa i szepnął:

— Dopala się z wewnętrznej męczarni i chce ją skończyć co prędzej.

— Czy mu powiedziałeś o dzisiejszym zamachu jego żony?

— Prawie, że głową tłukł o mur, gdy mu słowo o tem rzuciłem. Błagał, aby ją ratować i wywieść ztąd co prędzej.

— Szkoda, żeś mu nie wspomniał o wykryciu sprawek Grubera — wtrącił baron.

— Ależ powiedziałem mu i zdaje się, że to było ostatnim i najstraszniejszym dlań ciosem. Wsunąłem mu na to w rękę sporą dawkę strychniny i powiedziałem mu, że jego śmierć wszystkiemu kres położy. Nic już

na to nie odrzekł, ale gorączkowo dłoń moją uściskał. Ja wiem, że już po nim!

— Baronie, mam jak widzisz sprytnego sekretarza — rzekł na to półgłosem Stilburg — umie on grzebać katastrofy wstrząsające całem miastem.

— Niechże odszuka teraz Geslera i wraz z nim ukoi piękną Linę, zanim spadnie na nią tak okropny cios przez zgon najukochańszego z mężów.

Mówił to baron bardzo patetycznie, że aż zmęczył tem Excellencyę.

— Niechże idzie do nich mój sekretarz i niech działa na te rozpacze jak morfina, ale niechże już teraz nie słyszę o tem więcej, gdyż to popsuje mi do reszty apetyt.

Na takie "dictum" wysiadł pan sekretarz, a baron otoczył się kłębami niebieskiego dymu cygaretowego i w milczeniu już odtąd towarzyszył Excellencyi na obiad do gubernatora.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Wierna Żona.

— Lina!

— Margot!

Z uczuciem, jakby w bezbrzeżnej toni szło o ostatnią deskę ratunku, wyrwały się te słowa z ust dwóch kobiet, tem samem strasznem nieszczęściem dotkniętych, gdy się wreszcie spotkały po długiem wzajemnem szukaniu w Nowym Yorku.

Każdej z nich zdawało się, że nadzwyczajne od drugiej odbierze nadzieje i że nastąpi teraz przełom w rozpaczliwem położeniu bez wyjścia dla obojga.

Ale to pierwsze uczucie wnet prysło o szmat zimnego głazu twardej i nieugiętej rzeczywistości, kiedy obydwie doszły w myślach do granicy zupełności bezsilności.

I wtedy ze słów tych zerwał się ból w strasznym jęku i do głębi wstrząsającem łkaniu.

Potem nagle stanął przed ich oczyma

ten, którego opłakiwały i nad którym rozpaczały, a cień jego drogiej postaci niby fala wichru osuszył łzy, złamał rozpacz i rzucił przed nie jedno, jedyne pytanie:

— Co z nim?

Cicho i nieśmiało rzuciła to Małgosia, jakby lękając się odpowiedzi, a jeszcze ciszej, jak dech w agonii powtórzyła do Liny:

— Co z nim?

Ujęły się za ręce, spojrzały sobie w oczy i opuściły ręce, jakby z nich cała krew zbiegła aż do serca na tem straszniejszy ból.

Z drugiej izby wszedł adwokat Burres, jeden z najsłynniejszych w mieście, którego najął Herman Gesler do interwencyi w sprawie Gallena. Burres przychodził od prokuratora i miał minę pogrzebowego, który pragnie wybadać wiele chcą wyłożyć na trumnę.

Małgosia widząc rozpacz Liny nie chciała go słuchać, aby beznadziejnością wszystkich zabiegów, jeszcze więcej jej nie przygnębić.

Burres jednak poznawszy na pierwszy rzut oka Linę ani zważał na tajemnicze zna-

ki Małgosi i rzekł z wyrazem przerażenia i zdziwienia:

— Pani tutaj, czy pani wiesz na co się narażasz?

— Jestem zdecydowana do każdej ofiary dla uratowania męża...

— Pani nie możesz mu pomódz!

— A któż mu dopomoże?

— Raczej zapytaj pani: jeźli nie można dopomódz, dlaczego szkodzić?

— I pan to mówisz, jako adwokat?

— Właśnie dlatego, że nim jestem od wielu lat i że miałem w rękach wypadki najzawilsze, muszę ostrzedz panią!

— Mów pan otwarcie. W tak strasznem położeniu już mnie nic przerazić nie może.

— A gdybyś miała być pani uwięzioną, zaraz, natychmiast?...

— Podzieliłabym los męża...

— Ale nie mogłabyś go już ratować, a ten ratunek byłby może jednak możliwym...

— Mów pan! Jeżeli to możliwe, wszystko poświęcę, aby to przeprowadzić.

— I ja i Herman! — dodała Małgosia.

— Słuchajcież mnie panie. Mamy do czynienia z zemstą Brownów i z zawziętością pruską barona Von Kolnitza. W tych warunkach prokurator nie będzie żadnych względów ludzkości brać pod uwagę. Z zimną bezwzględnością gromadzić będzie jedynie dowody winy.

— A moje pieniądze? czy nie mogę zapłacić? — odezwała się Lina.

— Jeźli z prokuratora w tym kraju największych niemożliwości można zostać gubernatorem, to obecnie przed wyborami prezydencyonalnymi, prokurator nie da się ująć.

— A jednak bywały wypadki...

— Nie kończ pani. W tym wypadku nie zdołamy sztuką nic nadrobić.

— Więc ma zginąć?

— Niechże się pani przedewszystkiem usunie z Nowego Yorku i nie powiększa konfliktu. Jeźli panią przyaresztują i odstawią do granicy, stracimy największą korzyść i pomoc, jakie czas przynieść może.

— Nie ośmielą się mnie zatakować.

— Moja pani, to już postanowione.

— Jakto?

— Z Waszyngtonu jest rozkaz do władz federalnych, aby panią i ojca uwięzić.

— Nas oboje i za co?

— Ma to związek z onegdajszem uwięzieniem Huerty i Oroski w Del Pazo...

— A cóż nas to obchodzi?

— Przypuszczam, że baron Von Kolnitz wytłumaczył to inaczej w Waszyngtonie.

— Więc znowu on? I czegoż chce od nas?

— Podejrzenie o wywołanie zamachu na Browna chce odwrócić od siebie, od Stilburga i od swojego rządu...

— Jakże tego dopnie przez moje uwięzienie...

— Mieszając panią w spisek Huerty zdziera z pani aureolę kobiety pełnej najczystszego poświęcenia i wywołuje przeciw pani niechęć Amerykanów, w powszechności najgorzej dla sprawy Huerty usposobionych.

— Dajmy na to, że przez taki plan pie-

kielny mnie uwikła, to czyliż szlachetne bezwątpienia pobudki działania mego męża...

— Nie kończ pani, to czcze słowa, w szlachetność tych pobudek nikt już nie wierzy...

— Wszystkie pisma to stwierdziły!

— Te same pisma już to odwołały.

— Kiedy?

— Dziś! Czytaj pani!

Mówiąc to podał Linie jedną z najpoczytniejszych gazet.

Lina i Małgosia rzuciły się do czytania, ale ledwie spojrzały, zakryły oczy, wołając:

— To śmierć pewna! Grubera wydobyli z grobu, aby zabić Gallena!

— Aby zabić jego opinię u ogółu — poprawił adwokat.

— Biedny ojciec! — jęknęła Małgosia.

— Frank, mój Frank! — lamentowała Lina.

Przyszedł na to Herman Gesler, ale jego wpływ oddziałał jedynie na Małgosię uspakajająco.

Lina wysłuchawszy z kolei Geslera, zawzięła się jeszcze więcej i w końcu zawołała:

— Zostanę!

Gesler przedstawiał jej, że może być także uwięzioną za nieudały zamach na Stilburga, ale Lina na wszystkie argumenty jedno miała słowo:

— Zostanę!

Przyszedł ojciec.

— Lino ukochana — biadał — wyrywasz mi z rąk ostatnią szansę. Z gwiazdą Huerty mógłbym dojść raz jeszcze w życie do władzy i możesz wyobrazić sobie czegobym dokonał przy mojej głowie...

— Pokaż w tem głowę, abyśmy uratowali Franka, a potem zrobię cię choćby prezydentem Meksyku!

— Dziecko, przecież wiesz już jakiem jest prawo amerykańskie w wypadkach zabójstwa! To nie Meksyk!

— Punkt wyjścia znaleść się musi...

— Zapłaciłem już adwokatom z $10,000 i nie wymyślili nic. Za tę sumę wywlókłbym z więzienia w Meksyku z dziesięciu winowajców i wyciągnąłbym wraz z nimi za uszy samego zarządcę więzień, aby go ubić na śmierć!

— Niech papa da spokój meksykańskim historyom, niech ojciec radzi...

— A ja panią zaklinam — zawołał Burres — wyjedź ztąd natychmiast.

— Zostanę!

— Nieszczęście powiadam panu! — jęknął Zalajas i wyciągnął z izby Burresa, aby się z nim rozmówić na osobności.

Lina zwróciła się do Geslera i Małgosi.

— Wyszukajcie mi Piotrusia! — szepnęła.

— Co zamierzasz? — pytała Małgosia.

— Mnie to zostaw!

— Więc ty ojca istotnie nie opuścisz?

— Nigdy.

— A jak się zwrócą przeciw tobie?

— Umrę, ale nie ustąpię!

Stanęła przed lustrem. Uporządkowała włosy, twarz bladą utrefiła i wychodząc uścisnęła dłoń Małgosi i Geslera.

— Bywajcie — rzekła — byłam wam zawsze dobrą i pozostanę waszą siostrą aż do zgonu.

— Lino, co znaczą twoje słowa?

— Bądź bez obaw, a przyszlijcie mi co żywo do mojego hotelu Piotrusia.

— Natychmiast za nim idę! — zawołał Gesler, podając rękę Linie.

Atoli Lina usunęła swoją, mówiąc:

— Zostawcie mnie, mam ja moją własną drogę... Ty Hermanie pilnuj Małgosi i ukryj ją dobrze przed baronem.

— Tak ją ukryję, że już nikt jej nie porwie!

— Bywajcie!

U bramy przy automobilu czekał na córkę stary Zalajas z Burresem.

Lina tego ostatniego na bok odprowadziła i rzekła doń:

— Zostaw mnie z ojcem, a sam jedź mój zwycięsco z hal sądowych do twego biura i przygotuj dla mnie testament...

— Czy to pani mówi na seryo?

— A czyż miałabym odwagę żartować z najpoważniejszego z dzisiejszych Ligurgów?

— Któż ma być spadkobiercą pani? Zapewne ojciec?

— Ma on ogromny znaczny majątek.

Dziedzicem moim ma być mój mąż, a gdyby nie dożył — dodała z głębokiem westchnieniem — Margot. Dla Piotrusia i Zochny zapis płatny w dniu ich ślubu $50,000, Pawulskim i Porębskiej po $10,000, ojcu memu stajnię, automobile i pamiątki osobiste po mnie. Wreszcie zrób, mecenasie, zapis na sieroty po poległych w boju na imię i pamiątkę mego męża $100,000. Oto wszystko. A pospiesz się z tem, mój panie! Za godzinę będę w pańskiem biurze...

Burres spojrzał na zegarek.

— Ależ moja pani to pora obiadowa...

— Nie umrzesz z głodu rycerzu uciśnionych, a czasem nie starczy godzin nawet na obiad. Takie już życie. Zapłacę zresztą podwójnie. Do widzenia!

Uczuła się po tym wysiłku spokojniejszą i zwróciła się do ojca niemal z promieniem w twarzy.

— Mój drogi Excellencyo — zawołała — zabieram cię teraz na obiad do państwa Fuentes!

Zalajas z bardzo ponurego i rozbitego uczuł się odrazu pokrzepionym.

— A więc godzisz się z moim planem? — rzekł.

— O planach papo rozprawimy się później, teraz musimy złamać najniebezpieczniejszego twego wroga...

— Tego indyanina Carranzę...

— Jeszcze większego!

— Chyba pana Von Kolnitz.

— Ależ papo. Pana barona ja sama złamię. Ty masz innego wroga, tego, który tak cię osłabił, że ledwo trzymasz się na nogach.

— To głód, kochanko najmilsza.

— A więc precz z nim, jedziemy!

Gdy szofer korbę zakręcał, wychodzili właśnie z domu Herman i Margot. Lina skinęła im serdecznie, wołając:

— A nie zapomnijcie przysłać mi Piotrusia ale do Burresa, a nie do hotelu.

— Postaramy się! — odparł Herman, zdziwiony, że tak się prędko wypogodziła.

— Ona jest jak wiosna w Meksyku — rzekł do Małgosi. — Ołów chmur i różowe ciepłe słońce z wonią balsamów i z zefirem pięknego poranku.

Tymczasem ów zefir rozchmurzał papę

Zalajasa i wwiał mu w duszę i w serce promieniami słońca, jakby w najpiękniejsze dnie, tak, że u progu domu państwa Fuentes, Excellencya czuł się jak po wspaniałej biesiadzie u nieboszczyka Diaza lub za najświetniejszych tryumfów Huerty.

Pani Fuentes była rozczulona wizytą Liny, a Fuentes cenił widocznie ogromnie miliony Zalajasa, gdyż oddaliwszy służbę sam mu asystował i na pierwszem miejscu posadził.

Śniadanko, choć improwizowane, było przytem pierwszej jakości, a gdy przyszedł deser, a przytem szampanik i meksykańska fajeczka, Excellencya niemal, że się rozczulił i taki palnął toaścik na cześć Huerty, że rodzona jego córka, pani Fuentes, na szyję mu się rzuciła.

Lina, która zaledwie skosztowała rozmaitych smakołyków i mało brała udziału w rozmowie, starała się jednak jakby umyślnie wprawić ojca w jak najlepszy humor, i rzekła po tych serdecznych ojca wynurzeniach:

— Teraz moi państwo po naszym niezrównanym Huercie, kolej na jego wielkie-

go kanclerza. Niechże nam żyje były i przyszły minister dla spraw wewnętrznych Meksyku, mój papa — Excellencya!

— Taką to cię lubię i ubóstwiam! — wołał uszczęśliwiony Zalajas.

— A inną to nie? — przekomarzała się Lina.

— Każdą! Tyś mojem słońcem...

— I nie odmówi mi papa jednego może ostatniego życzenia...

— Ostatniego? Jakże to mówisz?...

— Tak sobie! Ale papa nie odmówisz?

— Oboje Fuentes biorę za świadków, że spełnię każde twe życzenie...

— Więc zostań tu papo w tym gościnnym domu i nie wracaj do hotelu...

— I dlaczegoż to...

— Baron Von Kolnitz rozbudził wrogów Huerty i szczuje przeciw tobie papo. Więc trzeba pokazać panu baronowi, że Excellencya meksykańska nie da się wziąść bez walki pruskiemu junkrowi...

— Ależ dobrze córko! Przyjdzie tu zapewne także i Fierro i zagramy w karcięta

dla zabicia czasu. Ale co ty masz w planie, moje słońce?

— Już wieczór, więc słońce zachodzi...

— Takie słońce jak ty, nie zachodzi nigdy.

— A więc przed kompletnym zachodem pójdę jeszcze nadokuczać Burresowi, wykłócę się z Piotrusiem Porębskim....

— I powrócisz?

— Bądźże papo spokojnym. Nie zapominam, że jestem córką Excellencyi.

Zalajas wyciągnął do niej ręce na pożegnanie, ale przeraził się jednak, gdy go zaczęła żegnać tak jakoś dziwnie i jakby na zawsze.

Długo, długo patrzał też przez okno, gdy odjeżdżała.

Potem przyszedł Fierro i rozłożono karty, ale Zalajas nie mógł jednak uspokoić się. Blada, smutna, choć napozór uśmiechnięta twarz Liny stała ciągle w jego myślach.

Tymczasem Lina załatwiwszy formalności testamentowe, rozmawiała z Piotrusiem.

Miał on powód żalu do profesora, ale

okropny jego los odczuł jednak tak bardzo, że odbiło się to w jego twarzy i głosie.

Starał się przecież pokryć to przed Liną, która napróżno usiłowała wtłoczyć w siebie łzy, cisnące się z żywiołowym naporem, a gryzące nieubłaganem cierpieniem.

Całe jej męstwo, które okazywała u Zalajasów, znowu prysło i rozbiło się na widok żywego świadka katastrofy jej męża z przed laty i przejść jego późniejszych.

Piotruś płaczącą za rękę ujął i w rzewnych słowach błagał:

— Uspokój się pani, rozpacz nie pomoże, trzeba działać!

— Trzeba umrzeć!

— Trzeba ratować!

— Jak? Wszystkie środki wyczerpane!

— Jest jeszcze jeden.

— Na Chrystusa: jaki?

— Odnalazłem listy, które niegdyś wziąłem z mieszkania Gruberów w strasznej nocy...

— Wiem co za noc była i nie mów o niej, bo serce mi pęknie. Co to za listy?

— Pana barona Von Kolnitz.

— Do zmarłej?

— Nie miałem odwagi oddać ich nieszczęśliwemu mężowi pani...

— Cóż one nam pomogą?

— Baron przypomniał światu sprawę Grubera, a listy mieszają go w tę sprawę, kompromitują go i mogą zachwiać jego pozycyę w towarzystwie...

— Masz te listy z sobą?

Piotruś dobył zwitek pożółkłych papierów, związanych czerwoną spłowiałą wstążką.

Lina nerwowo rozwiązała wstążkę i przerzuciła listy.

Sprawiły na niej widać ogromne wrażenie, gdyż po chwili wyciągnęła rękę do Piotrusia.

— Dziękuję ci — rzekła — może to istotnie pomoże. Jak ty jesteś z baronem?

— W sercu mam już na niego wyrok. Na oko znosimy się.

— Oddajże mi przysługę...

— Ależ najchętniej.

— Połącz się z nim telefonem i powiedz mu, że chcę się z nim widzieć natychmiast...

— Będzie się bał zamachu i nie przyjdzie...

— Powiedz mu, że nie potrzebuje się niczego obawiać, że żałuję uniesienia wywołanego rozpaczą, że go czekam natychmiast w hotelu Astor.

Piotruś podniósł słuchawkę telefonu i szczęśliwym trafem uzyskał połączenie z baronem.

— Mam misyę do pana!

— Czy od przyszłego króla polskiego?

— Skoro go Prusy mianują, zatelefonowałby do pana wprost.

— Więc któż na mnie łaskaw?

— Córka Excellencyi Zalajasa.

— Czy na seryo?

— Tak panie baronie. Jest ona pełna żalu, że się z panem pokłóciła.

— I czemże mogę jej służyć.

— Oczekuje pana w hotelu Astor.

— Czy z rewolwerem?

— Zapewniam, że nie. Chce z panem pomówić.

— To dziwne!

— Atoli Prusak, jak mi baron raz powiedziałeś, nie boi się nikogo jak tylko Boga.

— Masz pan racyę! Jadę do hotelu Astor. Ale pamiętaj pan o dyskrecyi.

— Kto otarł się o pana musi być już w małej cząstce dyplomatą.

— Przyda się to panu jako Polakowi. Jaktam z waszą partyą?

— Babrzą nas w gazetach za pobrane od was na agitacyę marki pruskie.

— Oh i mnie babrzą, chociaż daję, a nic nie biorę.

— Weźmiesz w końcu wielką chwałę baronie. Do widzenia!

Lina aż trąciła Piotrusia, że o chwale mówił baronowi.

— O stryczku lub kuli ołowianej trzeba mu było mówić — rzekła.

— Byłby nie przyszedł.

— Prawda!

Schowała listy i cała drżąca i niespokojna wybrała się w drogę.

Piotruś poszedł ze spuszczoną głową w ponurem zamyśleniu do przyjaciół. Od

dwóch dni już słyszał, że przyszły ważne wieści z kraju ojczystego, więc mu pilno było dowiedzieć się prawdy. Uspokojony w sumieniu swojem, że odszukawszy Linę, oddał jej najdonioślejszą usługę, na jaką mógł się zdobyć, szedł teraz za sprawą dla serca najdroższą, za spójnią z najsroższemi cierpieniami, jakie ludzkość kiedykolwiek przechodziła, a wśród których jęczała cała Polska.

W drodze spotkał Zochnę z Pawulską i z Janką. Już z daleka z ubogich szat cichych pracownic zabiły do niego serca pełne zapału.

Janka była jakby profesorką w tem gronie i nawet Pawulska, chociaż szlachcianka z rodu, chciwie jej słuchała i chętnie już nie łyżką, ale całą chochlą, jak się wyraziła, jadłaby jej rozum.

Pragnąć duchowo sprostać Piotrusiowi chciała ogarnąć cały patryotyzm od czasów niepamiętnych i od pokoleń dawno pogrzebanych i chciała go spoić w sobie z nadziejami Ojczyzny i jej potrzebami.

A cóż dopiero mówić o Zochnie!

Przygnębienie Piotrusia przypominało im dopiero, że stoczył mu się na pierś kamień, wyrwany z bardzo dawnych już wspomnień, przez jedną z katastrof dni ostatnich.

Zochna drżała na myśl, że ludzkie dla Małgosi współczucie, znowu go do niej przyciągnie i zbliżając się teraz do niego usuwała się dyskretnie za Pawsulką, aby natrętnością jeszcze więcej go nie zrazić.

Ale Piotruś zanim się jeszcze z nimi zrównał, najpierw do niej poskoczył.

— Nie chowajże się — zawołał — bo kiedy wszystko ponure i rozpaczone, szlachetne twe serce, daje mi oparcie.

Zochna z rozkoszą byłaby mu za te słowa rzuciła się na szyję, ale nie chciała tego uczynić przy Jance, więc obie tylko ręce doń wyciągnęła i rzekła z wielką czułością:

— Tyś właśnie oparciem dla mnie i dla wielu tysięcy, którzy z nami idą.

— Ale nie dla mnie chyba — zaśmiała się Janka — gdyż przy tobie Zochno, ani mnie nie dostrzegł.

— A do ciebie jednak szedłem Janka... odezwał się na to Piotruś.

— Ledwo uwierzyć mogę!

— Całkiem to przecież naturalne. W twojej głowie Janka jest zbiór wszystkich wiadomości, więc i wieśz o tem, gdzie mamy dziś zebranie.

— Zebrania większego nie ma, ale kilku przywódców zbierze się u Jaremy.

— Generalicya?

— A, niby tak!

Parę kroków dzieliło ich już tylko od posiadłości Jaremy i wnet znaleźli się w gronie samych koniowców.

Odczytywano właśnie poufne listy od zaufanych legionistów z królestwa.

Kwas czytał głośno akcentując ważniejsze zdania:

"— Ciężko nam nad wyraz, a wierzajcie bracia, że nie z powodu niewywczasu i umęczenia nieustanną walką, ani nawet z żalu po poległych legionistach, ale z rozpaczy wielkiej o beznadziejność dążeń, walk i po-

święceń naszych. Coraz jaśniej widzimy, żeśmy gromadką tylko wobec dwóch milionów polskich żołnierzy, rozrzuconych w rosyjskich i niemieckich trenszach i że nas prowadzą jedynie, jakby na świadectwo w oczach całego świata, że jednego z wrogów popieramy, że Prusakowi ufamy! Abyśmy za to mieli Polskę otrzymać, ani mowy nie ma. Gdy pana Beselera, pruskiego komendanta zapytał jeden z legionistów, kiedy będzie koronacya króla polskiego, to tak parsknął śmiechem, że aż nam krew do głowy rzuciła się na jego obelżywy impet. "Cóżto myślicie panowie Polaki — urągał nam — że walczymy dla was? Albo może was mamy pytać, czy wam będzie zamało królestwa i możeby wam jeszcze Prusy oddać, a może i Berlin, hę?" I zarychotał, że aż ciarki nas przeszły! Rządzą też tu wszędzie po niemiecku, a chłopom ani nawet zboża nie pozostawili, jeno wszystkich pędzą do roboty przy trenszach, a jak się sprzeciwić to stryczek założą i jazda na tamten świat! Po prawdzie to już nawet teraz niczego nie obiecują, a jedynie nam wymyślają, żeśmy z Ru-

skami i że Żydzi i Rusini od nas lepsi. Aż się serce kraje."

Smutne zapanowało milczenie, gdy Kwas dokończył czytania i dopiero po chwili odezwał się profesor Jąkała:

— Powiedział co wiedział, a oni tam w trenszach nic nie wiedzą. My tu wiemy sto razy więcej.

— I cóż wiecie? — pytał Jarema.

— Że przy pomocy Niemiec pobijemy Rosyę, a potem przy pomocy rewolucyi zawojujemy Niemcy.

— I gdyby do rewolucyi przyszło to co?

— Będzie Polska!

— Z pogorzelisk, pustkowia i trupów?

— Z niespożytej wiary w niepodległość.

— A jakżeto my tę wiarę krzewimy? Czyż nie oderwaliśmy się od związku z braćmi i nie oglądamy się wyłącznie na obcych.

— To nie obcy, to przyjaciele.

— A jakaż tu przyjaźń?

— Trzeba wszystko poznać, aby zrozumieć.

— Uświadamiajcie, czekamy!

— W czasie wojny trzeba słuchać komendy wodzów i basta.

— A cóż to za wodzowie?

— Wyszli z ludu i są reprezentantami woli ludu.

— A wszyscy inni?

— O odszczepieńców nie zabiegajmy!

— Więc mamy być jednym odłamem, a oni drugim. A jakiż stąd rezultat?

— Znajdując się przy boku zwycięscy będziemy dyktować warunki pokoju.

— Jako mniejszość?

— A któż wie jak podzieliliśmy się w domu...

— Czyż nie mógł nas wróg umyślnie sam podzielić?

— Chcesz obywatel, abyśmy szli tam, gdzie nas nie chcą?

— Zaiste boleśnie to — rzekł Jarema — że się tak bardzo oglądamy na obcych i tak ogromnie staramy się o ich łaskę, a nie znajdujemy łaski, gdy widzimy obok nas olbrzy-

mie polskie organizacye i tysiące swoich, którzy na nas czekają, a których wyzywamy i zniesławimy, aby swój separatyzm obronić.

— Nieprawda panie, przy nas Polska.

— A przy nich?

Profesor Jąkała zamilkł.

— Przy nich, jak widzimy — mówił Jarema — widoczną jest miłość Ojczyzny, widoczną ofiarność, i szczere serce, a my wobec nich jak wobec wrogów!

— Czyż mamy się przed nimi upokorzyć?

— Czyż to upokorzenie uznać klęskę z rozbicia i wziąść siłą z jedności i solidarności?

— I ja wam powiem — odezwał się z kolei Piotruś — że tutejsi kierownicy prusofilskiego ruchu drwią sobie z nas i kompromitują nas jedynie w oczach całego świata. Niechże wam opowiem jak postępuje baron i Excellencya Stilburg.

I zaczął opowiadać prawdę nagą, a w miarę jak ściągał z niej sztuczne dekoracye,

szychy i pozłótkę i docierał do faktów, dreszcz wstrząsał kośćmi obecnych rodaków i coraz więcej ich rozżalał, aż w końcu z wszystkich niemal piersi wybuchło bolesne, pełne grozy westchnienie.

— Jesteśmy więc w żelaznych kleszczach obcej polityki — zawołał Jarema — nas oszukają pruscy baroni, a my oszukujemy lud.

— Zawracanie głowy — odezwał się na to profesor Jąkała — lud wie do czego dąży lud chce naszego kierownictwa.

— Nie profesorze — odparł Jarema — lud chce życia dla Polski, a dla tego życia trzeba poświęcić wszystkie ambicye i złączyć się w nierozerwalną potęgę wszystkich sił całego Narodu.

Kwas potrącił Jąkałę.

— Chodźmy — rzekł doń.

— Ano chodźmy, szkoda czasu z nimi rozprawiać.

— A idźcie sobie panowie! Zapewne Excellencya Stilburg na was czeka.

Ordyniec starał się ich wstrzymać, ale Jąkała uparł się i poszedł z gromadką czerwonych.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły Zochna wybuchnęła płaczem.

Piotruś przyskoczył z pocieszeniem, ale ona otarłszy oczy, zawołała głośno:

— Tak się cieszyłam, że dla Ojczyzny coś wywalczymy, a my uprawiamy starą niezgodę i polewamy ziemię łzami krwawych przejść i cierpień.

— Aż pod uciskiem żelaznych obcych kleszczy ockniemy się wszyscy! — rzekł Jarema.

— Czy nie będzie wówczas już za późno? — zapytała Janka.

— Jeźli po tylu ofiarach i klęskach plon dobywa się jednak z ojczystego łanu jakże mówić można, że zapóźno! — odparł Ordyniec.

— Bądźmy apostołami prawdziwej jedności i wierności w uczuciach.

— W tem siła wytrwania. W tem życie!

Piotruś silniej uściskał przy tych słowach ręce Zochny, a ona mu tak spojrzała w oczy, jakby mu powiedzieć chciała:

— Wytrwamy razem w zgodzie bratniej i przy Ojczyźnie do zgonu!

W hotelu Astor rozgrywała się w tym czasie niezwykła scena.

Baron Von Kolnitz nie zważając na gadania ludzkie przybył tam w całym blasku swego dostojeństwa, aby złożył Linie wizytę.

Strzelec o rodowych jego herbach w paradnym uniformie wyprzedził go z kartą wizytową, a on sam z czarną wstęgą orderu Hohenzollernów przeszedł wśród szpaleru ciekawych do windy i w kilka sekund, po formie zameldowany, wchodził do apartamentów Liny.

Doznała ona tego przykrego uczucia, że chciał ją skompromitować i przez to uczynić powolniejszą.

Atoli drżące swoje od gniewu i oburzenia serce uspokoiła, jak mogła i zrównoważyła zuchwałość barona zimną grzecznością

wielkiej damy, przyjmującej z obojętnością hołdy jednego z licznych wielbicieli.

Wskazała mu krzesło, nie podając wcale ręki.

— Dziękuję, żeś przyszedł mój baronie — rzekła z dobitnym akcentem — dajesz mi przez to pożądaną sposobność wyrażenia mego żalu z powodu mojego uniesienia przy ostatniem naszem spotkaniu...

— Ależ od istoty tak niezwykłej przyjąłbym zawsze nawet najgorsze bez szemrania. Dlatego też stawiłem się na życzenie pani.

— Uniesienie moje wymagało jednak pewnego wytłómaczenia. Czy wiesz mój baronie co je wywołało?

— Przypuszczam, że niezwykła sytuacya, w którą panią los wepchnął.

— Może i to, ale głównie mały zwitek dawnych twoich listów baronie...

— Czy być może?

— Listy te pisałeś do kobiety, którą z

równą gorącością jak mnie zapewniałeś o swoich uczuciach...

— A które zostały wzgardzone, odepchnięte...

— I przypieczętowane śmiercią kobiety przez ciebie, baronie, uwielbianej...

— Jakże to pani dokładnie przedstawiasz...

— Gdyż chciałam panu uprzytomnić zajście z przed lat.

— Atoli te wspomnienia dla mnie zagasły.

— A gdyby owe listy znalazły się w pismach?...

— Napisałbym, że to szantaż i zaprzeczyłbym autorstwa...

—A jeźli wydrukują podobiznę autografu?

— To i tak moje zaprzeczenie będzie wiele ważyć.

— A moje oskarżenie?

— Przepraszam panią gorąco, ale we-

dług opinii ogólnej, żona profesora Gallena nie może nikogo skutecznie obwiniać... Zastrzegam się, że to nie moje zapatrywanie.

— Czyż kobiety nie mają tu żadnych przywilejów?

— Nie wierzą im, gdy ich uczucia w grę wchodzą.

— Pan więc nie lękasz się tych listów?

— Nic a nic!

— Chcę jednak — odezwała się — dać panu dowód życzliwości i oddam je dziś panu...

— To wspaniale i szlachetnie...

— Ale w zamian oddaj mi także, mój baronie, usługę...

— Uczynię co w mojej mocy.

— Postaraj się, abym dziś jeszcze, zaraz, natychmiast mogła pomówić z moim mężem!

Baron przysunął się na te słowa do Liny i rzekł:

— Uczynię to, ale zastanów się pani, że nie zdołasz w niczem mu dopomódz...

— Powinnam być jednak u niego i zapytać go o jego życzenia, a on powinien zobaczyć mnie troskliwą i wierną. Może mnie właśnie powierzy tajemnicę, której najsroższe badanie nie wyrwałoby mu z duszy.

— A jeźli przekonasz się pani, że uratować go nie można...

— Wówczas uczynisz ze mną, co zechcesz.

— Lino!

— Prowadź mnie do męża!

Lina uczuła swą bezsilność, ale chciała osięgnąć jakie takie choćby ustępstwo.

Wpływy barona były istotnie ogromnie poważne i sięgały przez całą sieć rozmaitych urzędowych tajemnic, aż do środowiska każdej sprawy.

Baron chciał przytem pokazać Linię jak daleko sięga jego kontrola i powiózł ją zaraz do prokuratora.

Tenże w pierwszej chwili ani słyszeć nie chciał o spotkaniu obydwojga Gallenów, ale baron szepnął mu do ucha jakiś argument

bardzo przekonywujący i w mgnieniu oka pan prokurator okazał się bardzo względnym i wydał zarządzenie, aby mu Gallena sprowadzono przez wewnętrzne korytarze do biura.

Zgodnie z tym rozkazem przejść musiał Gallen przez dwa korytarze więzienne i przez halę sądową, a następnie elewatorem i po schodach o dwa piętra niżej.

Żona czekała nań w pokoju, w którym odbywały się oględziny sądowe.

Stała przy oknie, które wychodziło na podwórze więzienne.

Otworzyła je, aby odetchnąć świeżem powietrzem.

W tej chwili drzwi odemknięto i stanął w nich Gallen.

Całkiem osiwiały, wyschły, o gorączkowo płonących oczach był jakby cieniem zagrobowym świetnego do niedawna tancerza i wesołego aranżera zabaw.

Lina przygarnęła go do siebie jak dzie-

cko i objąwszy ramionami jego głowę płakała nad nim i nad sobą.

— Powiedz jak mam postąpić? — błagała go.

— Odjedź stąd, opuść to miasto, to wszystko co jest dla nas najniezbędniejszem...

— Czyż myślisz, że znajdę gdzie indziej spokój?

— Lino, bądź mężną!

— Czyż nią nie jestem. Pokonałam nawet niedostępność tych murów...

— To istotnie bardzo wiele, ale to nie dość, musisz gotować się na najgorsze...

— I cóż mnie czeka? Powiedz!

— Musisz mnie pożegnać, na zawsze. Jam u kresu mej drogi. Muszę umrzeć!

— Lina zatrzęsła się na to jak w febrze.

— Czyż niema ratunku?

— Nie!

— Nie możesz obronić się?

— Broniąc się musiałbym honor, wol-

ność, a nawet i ciebie jeszcze poświęcić i w nieszczęście wciągnąć.

— Więc co mam dla ciebie uczynić?

— Przebaczyć mi, najdroższa, że odchodzę, że ciebie opuszczam na zawsze.

— Frank!

— Muszę umrzeć, muszę ciebie zostawić samą! Każdy Opatrzności tem dług spłaca, co mu najdroższe.

— To straszne!

— Ale jednak lepsze jak życie w tych warunkach...

— Jeźli tak, to umierajmy razem...

— Lino!

— Frank!

Padli sobie w ramiona, ale gdy on ją ściskał, Lina wciągnęła już w siebie z tajemnej skrytki w brylantowym pierścionku zabójczy jad. Zaczął on działać tak szybko, że gdy Gallen po chwili ujął w swe ręce jej twarz, aby ucałować jej usta, znalazł w jej oczach nieohybne znaki śmierci.

Lina wskazała na otwarty pierścionek i raz jeszcze wyciągnęła ku niemu rękę do ostatniego uścisku.

Ale ta ręka w pół drogi opadła, a w ramionach Gallena zawisł zimny trup ukochanej żony.

W tej chwili wszedł prokurator, aby przerwać i zakończyć przydługą rozmowę.

Dla Gallena był to ostatni sygnał.

Z wysiłkiem strasznej rozpaczy wdarł się na okno i rzucił w dół.

Prokurator przerażony cofnął się, aby zarządzić ratunek nieszczęśliwca, a w tym czasie baron wszedł do pokoju i w kilku szybkich krokach już był przy Linie.

Oczy jej szeroko otwarte patrzały na niego z przejmującym bólem. Pochylił się nad nią i ujął ją za ręce. Nie opierały się już więcej. Były zimne i sztywne.

Martwe ciało usunęło mu się do nóg.

Ale w tej chwili dostrzegł baron za gorsetem Liny swoje listy. Wyrwał je stamtąd i schował w zanadrze.

Zrobił co chciał, jak mu przyrzekła. Nie broniła się więcej.

Ale on jednak uczuł świętokradztwo swego postępku i uczuł ból, jakiego nie doznał jeszcze nigdy.

Lina łamała mu serce.

Była pomszczoną. Przez chwilę zdawało mu się, że i on umiera z żalu. Ale w jaki kwandrans był już otoczony liczną rzeszą funkcyonaryuszy sądowych i policyjnych i zaczęły się inadagacye tajnych agentów i argumentacye lekarzy, które wyrwały go z odrętwienia. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył teraz obok Liny profesora Gallena z rozbitą głową, z twarzą krwią zalaną, z dziką rozpaczą w zagasłych oczach.

Baron dostrzegł w nich oskarżenie straszne, niby wołanie pozagrobowe przeciw sobie i nie mógł tego znieść.

Odwrócił się i spotkał się oko w oko z prokuratorem. Ale i z jego strony spotkał go gorżki wyrzut.

— Pięknie mnie pan ubrałeś! — odezwał się prokurator.

— Któż mógł przewidzieć?

— A teraz ja mam największy kłopot, jak to zatrzeć, aby skandalu uniknąć.

Baron zastanowił się przez chwilę, a potem rzekł:

— Ciało Liny odeszlij prokuratorze do

państwa Fuentes, a tam odbierze je stary Zalajas i odwiezie je do Meksyku.

— A ten drugi zgon?

— Przypadek i nic więcej. Tak należy to określić. Trzeba to nawet wmówić we wszystkich.

— Pan i w obliczu śmierci rachujesz....

— Aby nie przeliczyć się i nie przegrać. Ale teraz żegnaj pan. Pojadę do klubu prasowego. Tam sfabrykuje się odrazu stosy legend na temat nieszczęśliwej Liny.

— Szkoda jej!

— To jej wola, tak właśnie chciała, aby mnie dosięgnąć i dobić!

— Cóż to pan mówisz, baronie?

— Oh nic, mówię, że mnie dobijają takie afery, gdyż rozstrajają moje nerwy.

— A czyż to żelazo ma nerwy?

— Ma je nim ostygnie...

— Widać, że pod żelazem jest czasem serce.

— Ale gdy żelazo ostyga — zawołał baron — zamienia się ono na żelazne kleszcze. Biada kto w nie wpadnie!

— Panie baronie przerażasz mnie.

— Czyż już lęk u was wzbudzamy?

— On jest wypływem tego faktu, że tak uporczywie forsujecie swą sprawę.

— Albowiem trzeba je znać te nasze "żelazne kleszcze."

— Mówisz baronie, jakbyś był echem wojny i stał wśród stosu trupów.

— A ja patrzę tylko w Ojczyznę moją pruską i druzgotałbym dla jej dobra nawet najniewinniejszych.

— Okropna ta wasza siła!

— A czemże innem może być, jeźli ma podbić świat cały?

KONIEC.

Deacidified using the Bookkeeper process.
Neutralizing agent: Magnesium Oxide
Treatment Date: March 2007

PreservationTechnologies
A WORLD LEADER IN PAPER PRESERVATION
111 Thomson Park Drive
Cranberry Township, PA 16066
(724) 779-2111

THE LIBRARY OF CONGRESS

LIBRARY OF CONGRESS

00027100235